

Waligóra

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

WALIGÓRA

Powieść historyczna

z czasów Leszka Białego.

I.

Gęstwiną puszczy odwiecznej, która zalegała niepewną granicę ziemi krakowskiej od

Śląska, drogą, wijącą się wałami i moczarami, między wybująymi drzewy, dziką i zdającą się czasem ginąć wśród zarośli i kłód, przez wichry obalonych, — sunął powoli, wśród uroczystej ciszy jesienno-wieczora pogodnego, długi orszak, któryby za procesyję kościelną wziąć było można, gdyby wszyscy udział w nim mający zamiast iść pieszo, nie jechali konno...

W pośrodku tego szeregu duchownych i rycerzy, dworzan, pachołków i służby,

najrozmaiciej poprzybieranej i zbrojnej, widać było podeszłego wieku mężczyznę, w którym łatwo było poznać prałata, zajmującego w hierarchii duchownej wysokie stanowisko. Z poszanowaniem otaczali go wszyscy; jechał jakby odosobniony, a wieczorne światło pięknego dnia na schyłku oblewało poważną twarz jego łagodną aureolą.

Było to oblicze wpośród wszystkich obok niego i za nim widnych wśród zarośli naj-

piękniejsze i wyszlachetnione a opromienione świętością wielką i myślami wielkimi.

Pomimo wieku, zmarszczki prawie nie pofałdowały twarzy spokojnej, zachowała ona

młodzieńczą świeżość i siłę... Na pięknym czole rozjaśnionem, wyniosłem, nie było śladu ziemskiej troski, oczy spoglądały z wielkiem męstwem i dobrocią, na ustach był uśmiech łagodny, a słodycz łączyła się tu z siłą i ufnością, z nią tak się harmonijnie jednocząc, iż mąż ów obudzał cześć i miłość zarazem...

Lekki płaszcz okrywał szerokie i wiekiem jeszcze niezgięte ramiona, a z pod niego widać było szaty biskupie, krzyż na łańcuchu u piersi i białą rokiętę, która w podróży dziwną się zdawać mogła, lecz była oznaką dawnego ślubu zakonników świętego Wiktora.

Na powolnym, ciężkim i silnym koniu jechał prałat ów, rzuciwszy mu cugle na szyję; koń

nawykły widać do tego, sam sobie drogę wybierał, szedł swobodnie i śmiało, z głową spuszczoną, a jadący wcale, się on nie troszczył. Oczy miał wlepione w niebo, usta poruszały się modlitw zdawał się oderwany od ziemi.

Wszyscy też jechali za nim powolną stępią; była to godzina niesporów i modlitwy wieczornej,

które, czasu nie tracąc, odprawiano w drodze.

Jadący w pewnym oddaleniu od biskupa kantor, z księgą otwartą w rękę, intonował śpiew, inni mu głosy zgodnymi odpowiadali... Duchowni mieli głowy poodkrywane lub lekkimi czapczkami tylko osłonięte, reszta szyszaki i kołpaki zdjęte wiozła w rękach. Na twarzach wszystkich malowało się pobożne usposobienie i przejęcie modlitwą.

Konie nawykłe pewnie do śpiewu, znając, że im przystało wtedy stąpać powoli i cicho, kroczyły niby odpoczywając i ledwie się ośmielił który schwycić zieloną gałąź, gdy mu się jak pokusa pod pysk nawinęła. Chrząst zbroi żelaznych i mieczów mało co przerywał górą niosące się głosy, w których brzmiał zachwyt pobożny i wielka gorącość ducha.

Wiek to był takich namiętnych uniesień ku niebiosom, cudów i zachwytów wielkich...

Orszak, towarzyszący prałatowi w tej podróży, dosyć był mnogi i sam już dostojność jego oznaczał. Nie było w nim błyskotliwego przepychu, ani nic, coby na okaz ludziom służyło, ale dostatek pański i skromna a trwała zamożność, z jutrem się licząca, ludziom i koniom dworu nadawała cechę właściwą.

Dwór, jak pan, czuł się bezpiecznym a pewnym siebie. Twarze zdały się dobrane tak, by jedną rodzinę duchowną składały. Jeśli nie braterstwo krwi, to powinowactwo myśli i obyczaju ich łączyło. Coś z tej świętej pogody biskupa, przodującego wszystkim, zlewało się na drużynę.

Wprawdzie rysy były różne, lecz jakby skąpane w jednym strumieniu łaski.

Gdy chwilami pieśń ustała, szumiący cicho las zdał się ją pokornym echem powtarzać.

Ostatnie promienie bliskiego już zachodu słońca, wdzierając się wpuszczę gęstą i ciemną, złociły wierzchołki drzew, a niekiedy przerzynały się i spływały po gałązkach i obnażonych konarach aż ku ziemi. Czasem promyk taki złocisty zabłysnął na ramieniu zbrojnego męża, na czarnej sukni którego z duchownych, na szyszaku, spartym o kark konia, na zwieszanej u ramienia małej tarczy, której gwoździe połyskiwały chwilę i wnet nikły w półcieniach.

Nareszcie intonujący śpiew zamknął ostatnią księgę, którą trzymał przed sobą, a z ust całego orszaku ozwało się powtórzone głosem podniesionym:

— Amen!

Biskup przeżegnał się i jakby po modlitwie potrzebował spoczynku, czas jakiś jechał milczący.

Poza nim, wśród zbrojnych dworzan, czeladzi i pachółków, ciche szepty zwolna się słyszeć dały.

Zdawano się naradzać i jedni jeźdźcy przyzostawali dla rozmowy z drugimi, inni pochylali się ku sobie, zcicha coś pomrukując. Zbrojni mężowie wkładali na głowy szyszaki i kołpaki, konie trochę żywiej poruszać się zaczęły i łby popodnosiły.

Z obu stron wciąż się wznosiła puszcza gęsta i wyniosła — wspaniała rozrostem swobodnym i siłą, którą z dziewiczej ziemi czerpała; lecz droga niekiedy tak się zdawała wąską, że orszak się rozsuwać musiał i przedłużać.

Wtem po prawej ręce jadących gąszcz zrzedniała, rozsunęły się drzewa i dostrzeżono polanę zieloną, którą twarze wypatrujących czegoś zdala powitały wejrzeniem weselszem.

W tejże chwili prawie biskup konia zwolna idącego, który podniósł był głowę i powietrza nozdrzami zaczerpnął, — zatrzymał i zwolna głowę odwrócił, szukając kogoś poza sobą.

Zgadując jego myśli, podbiegł ku niemu mąż w sile wieku, zbrojny, pięknej postawy, starając się uprzedzić pytanie. Oko jego przypadkiem padło pomiędzy drzewa i stanął zdumiony.

Dostrzegł wśród polany jakby rodzaj obozowiska, które go równie, jak biskupa zdumiało...

Stanęli wszyscy jadący i ścisnęli się w gromadę.

Biskup patrzył i ręką na dolinę wskazywał. Zbrojny mężczyzna spoglądał też, ale wejrzenie jego badało próżno widok, który się przedstawiał, nie mogąc sobie zdać sprawy z niego.

Na zielonej polanie u skraju lasu, nieopodal od jadących, rozbity był namiot biały z powiewającą nad nim chorągwią białą, oznaczoną krzyżem czarnym. Za nim u żłobów płóciennych żywiły się właśnie silne i rosłe konie. Widać było rozpalone ognisko, około niego kilkunastu uzbrojonych olbrzymiego wzrostu ludzi, których rycerskie rzemiosło odgadnąć było łatwo. U namiotu, na pniach, siedziało osobno dwóch starszyny, z których ramion płaszcze białe z krzyżami czarnymi spływały... Krzątano się około namiotu i ogniska.

Biskup patrzył, chcąc jakby sobie coś przypomnieć, i po chwili się uśmiechnął. Właśnie zbrojny, który ku niemu przybiegł miał się puścić naprzód, aby zapewne dostać języka, gdy duchowny dał mu znak...

— Są to Bracia Szpitalni Maryi Panny, niemieckiego domu! Widziałem ich z temi płaszciami w Rzymie... Lecz skąd się tu u nas wzięli?

— Mam-li jechać popytać? — odezwał się zbrojny.

— Nie będzie to potrzebem, — rzekł biskup łagodnie. — Nie mogą to być inni, tylko

wysłańcy Zakonu, których brat pana naszego, Konrad Mazowiecki, posyłał... Zboczyli pewnie z drogi, a jam rad, że ich zobaczę i rozmówię się z nimi...

Z ciekawością przez gałęzie przypatrywali się jeszcze towarzyszący biskupowi małemu obozowisku, gdy pasterz dał znak i wszystko z miejsca ku dolinie się poruszyło.

Tętent koni i szcęk oręża teraz dopiero musiał zwrócić uwagę obozujących, którzy trochę niespokojnie skupili się. Dwa płaszcze białe podniosły się spoglądając ku lasowi. A wtem i biskup a z nim drużyna jego cała wysunęła się z gąszczy i podjechawszy nieco, gdy cały orszak wydobył się z nich — stanęła.

Kilkaset kroków zaledwie dzieliły dwie owe gromadki, lecz że dzień jeszcze był biały, jasny, obie się sobie dobrze mogły przypatrzeć,

A z szat i z orszaku musieli domyśleć się obozujący dostojnika kościelnego; pierwsi

poruszyli się i po krótkiej naradzie dwa białe płaszcze poczęły się zwolna zbliżać do stojącego na koniu biskupa, który postanowił czekać na nich.

Mógł teraz lepiej się im przypatrzeć.

Dwaj rycerze, którzy jeszcze zbroi z siebie zrzucić nie mieli czasu, a szyszaki nieśli w rękach, byli to wzrostu ogromnego, silni i barczyści mężowie, jakby stworzeni do swojego rzemiosła, które im z oczów patrzało. Nie wiele po nich widać było zakonu i zakonnego ducha, i gdyby nie owe płaszcze, a na nich krzyże, trudno się mógł kto domyśleć braci, ślubami pobożnymi związanej. Starszy z nich, który szedł przodem, trzymał bystre oczy czarne wlepione w biskupa, a choć z krzyża i sukni mógł w nim poznać wysokiego dostojnika Kościoła, wcale pokornej nie przybierając postawy, rosnął w butę, powoli idąc ku niemu. Drugi postępujący za nim, jaśniejszego włosa, twarzy płomienisto czerwonej dzikiego wejrzenia, szedł też, z dumą głowę podnosząc.

Zbliżali się, rozpatrując, jakby do równego sobie, a że niepewni być mogli, z kim do

czynienia mieli, dla uprzedzenia ich o tem, zsiadłszy prędko z konia, którego pacholek pochwycił, podszedł zbrojny dworzanie biskupa szybkim krokiem ku nim i pozdrowiwszy już na widok jego zatrzymujących się braci niemieckiego domu, rzekł:

— Książd pasterz nasz krakowski, Iwo...

Czarnowłosy poruszył głową, dając znak idącemu za nim rudemu, i nie odpowiedziawszy na to oznajmienie, kroczyć zaczął znowu do stojącego na koniu biskupa...

Dawszy im podejść nieco, biskup ręką ich pozdrowił naprzód, na co lekkim skinieniem głowy odpowiedzieli.

Iwo przemówił po łacinie:

— Bywajcie mi pozdrowieni, bracia mili a goście. Kędyż to was wiedzie ta droga?

— Do Płocka jedziemy, wezwani przez księcia Konrada, — odezwał się niepewną trochę łaciną czarny. — Chcieliśmy kraj poznać i nakładamy w podróży.

To mówiąc, ręką dotknął zbroi i mianował się:

— Konrad von Landsberg Miles, hospitalis Sanctae Mariae Hierosolimitanae.

Potem wskazał na towarzyszącego mu rudobrodego i dodał:

— Otto von Saleiden!

Ten skłonił nieco głowę, ale ją podniósł natychmiast.

— Żeście braćmi tego zakonu, który się niegdyś wsławił i męstwem przeciwko niewiernym,

i miłosierdziem dla ubogich pielgrzymów, — rzekł biskup, — poznałem zaraz ze znamienia, jakie wam Ojciec nasz, papież, a biskup rzymski, dał dla odznaki od Templaryuszów i braci Johannitów.

Bądźcie pozdrowieni na ziemi tej, dzieci moje... i niech Bóg w niej orężowi waszemu błogosławi.

Słyszeliśmy, że książę Konrad nadać wam miał piękny kraj Chełmiński aż po granicę Prusów.

Konrad von Landsberg z wolna postąpił ku biskupowi, a Otto, jego towarzysz, podszedł także.

— Tak jest, — odezwał się pierwszy, — ale chociaż mamy na to potwierdzenie cesarskie i

Ojca świętego, chcemy wprzódy sami oczyma swemi obejrzyć posiadłość, aby nas tu ten los, co we Węgrzech, nie spotkał. Krwią to przyjdzie okupywać, więc trzeba znać, za co ją damy.

Biskup nie odpowiedział nic. Upłynęła chwila.

— Rozbiliście widzę obóz na noc, — rzekł, jakby rozmowę zwracając, — a ja też nie wiem, kędy spocznię... bośmy pono z drogi się zbili.

To mówiąc, obrócił się do stojącego i czekającego rozkazów zbrojnego,

— Co na to mówicie, Zbyszku? Uśmiechnął się.

Zagadnięty, zniżając głos, odpowiedział:

— Sądzę, że droga nie była błędna, dobrze nam ją przepowiedziano, lecz do Białej Góry

dostać się nie łatwo... mało kto zna przystęp do niej... odległości ludzie dają różne... Winniśmy byli

stanać na noc przy granicy, a dotąd jej nie widać... Rozkażesz wasza pasterska mość posłać którego z młodszych na zwiady?

— Gdybyś wasza pasterska mość, — przerwał Konrad von Landsberg, — tymczasem chciał przyjąć gościnność namiotu ubogiej braci...

Wskazał w stronę obozu.

Zawahał się biskup, lecz niepewność ta krótką trwała chwilę, konia potrącił z lekka i poszeptał coś Zbyszkowi, sam w towarzystwie jednego duchownego ku namiotowi jechać zaczął.

Dwaj bracia domu niemieckiego szli przodem, prowadząc go.

Biskup może nie tyle gościnności potrzebował, jak się chciał przypatrzeć wędrowcom nowym na tej ziemi, na której jeszcze nigdy noga ich nie powstała.

Mnożyły się naówczas zakony pobożne i rycerskie — milicya Rzymu i Kościoła. W Ziemi świętej powstałi dawniej Templaryusze i Johannici, po nich Bracia Szpitala Panny Maryi, mnisze reguły coraz nowe przybywały. Sam biskup Iwo, widząc w nich krzewicieli wiary i pomocników najdzielniejszych Kościoła, wznosił klasztory Cystersom, Norbertanom, wprowadzał Braci

Dominika, a wkrótce i synowie ubodzy Franciszka z Asyżu mieli przyjść ubogi lud pocieszać.

Po dworach pańskich, gdzie nie było rozpasania i dzikości, panowała pobożność niemal namiętna, a kobiety w niej mężczyźni wyścigały. Cuda były chlebem powszednim, święci cudotwórcy roili i mnożyli się, zbroje często zmieniając na kaptur i habit szorstki; secinami z nimi wyrastały klasztory, które nadawano bogato. Pobożność stawiała się upojeniem, zdało się, że cały nawrócony świat chrześcijański szedł, nie patrząc na ziemię, z oczyma w niebo wlepionymi.

Kantykiem na chwałę Bożą rozlegała się odradzająca Europa.

Pomimo to zepsucie było wielkie, okrucieństwa szalone, namiętności poskramiane budziły się i wybuchały tem gwałtowniej, a po nich sroga, krwawa, bezlitośna pokuta.

Niejeden płaszcz królewski okrywał włosienicą okrwawione ciało, niejeden wczoraj możny władca szedł nazajutrz pieszo i boso do Rzymu pokutnikiem, a powróciwszy do domu, zabijał brata i znów przywdziewał pasek żelazny, chłostą dobrowolną okupując swoje grzechy.

Duchowieństwo wszędzie na wspólnie z panującymi rządziło tak, jak cesarz rzymski na wspólnie z papieżem władał światem i tak samo ściągało się z władzą świecką, jak papież z cesarzami, którzy złamani klątwami, szli przebłagać, a nazajutrz do nowego buntu się rwali.

W tej walce o panowanie nad światem Rzym się też w rycerstwo zaopatrywał, a lękając się, aby mu biskupi nie wypowiedzieli posłuszeństwa, mnożył zakony należące do Stolicy Apostolskiej, zakony, z których jedne szły z modlitwą i krzyżem, drugie z pobłogosławionym mieczem. Do ostatnich należeli Bracia Szpitalni niemieckiego domu, dziś wypadkiem wyrzuceni z Ziemi świętej.

Niedawno jeszcze nie młodzi i nie możni, w chwili, gdy ich spotykamy w Niemczech, już opatrzeni, dobrze rozsiedli, a przez Mistrza Zakonu, Hermana von Salza, wielkich zdolności i powagi, wzrastali w łaskach cesarskich, w opiece papieskiej, w miłości wielkiej u rycerstwa niemieckiego.

Do Jerozolimy nie mogąc iść, szukali właśnie miejsca w Europie, w którymby ślubom i powołaniu mogli zadość uczynić. Nastroczało się ono tu i na pograniczu państwa, a nieopatrność księcia Konrada Mazowieckiego dawała im na obozowisko ziemię i wszystko, co siedząc na niej, podbić mogli...

Dwaj towarzyszący biskupowi Iwonowi rycerze, Konrad i Otto, jechali właśnie opatrywać kraj, w którym panować i wojować mieli. Dano im orszak z osiemnastu olbrzymich pachołków zbrojnych, najrośniejszych i najdzielniejszych, jakich w Niemczech wyszukać było można; ciągnęli też za sobą czeladź liczną i kilka wozów.

Chociaż bracia zakonnicy, na piersi noszący znak krzyża, dwaj Niemcy, którzy wiedli biskupa do namiotu swojego, ani obejściem się, ani postawą niepodobni byli do pokornych mnichów, ani jak oni nie okazywali zbyt wielkiego poszanowania dla biskupa, raczej go jako równego niemal sobie, niż zwierzchnika zdając się uważać. Nawet wrażliwa wszystkim cześć twarz księdza Iwona i powaga jego nie czyniła na nich wrażenia.

W miarę, jak się zbliżał do namiotu, mógł się biskup przekonać, że te suknie zakonników ducha wcale nieklasztorne okrywały.

Knechty, zebrane za namiotem, patrzyły tak dziko na jadącego, jakby się nań rzucić były gotowe, a zamiast nabożeństwa za krzewami słychać było wesołą pieśń światową, rozlegającą się ze śmiechami.

U wniścia do namiotu samego, oprócz chłopięt dwojga, którzy przy Konradzie i Ottonie służbę paziów sprawowali, spostrzegł biskup dwóch rycersko przyodzianych młodych chłopaków, swobodnie się rozglądających po okolicy, którzy ani płaszców, ani żadnej oznaki zakonnej na sobie nie mieli.

Oba oni, znać dzieci rodzin zamożnych, strojni byli wykwiłtnie, a twarze wesołe, uśmiechnięte, kipiące życiem, powiadały, że się na tę wyprawę więcej dla zabawy, niż z obowiązku wybrać musieli.

Tak było w istocie, bo gdy biskup bliżej podjechał, dał znak brat Konrad, aby przystąpili nieco — i rzekł, wskazując na nich:

— A to są nowicyusze, którym się po dobrej woli zachciało nam towarzyszyć w tej wycieczce na północ, choć wątpię, by z nich który myślał o ślubach zakonnych: mój synowiec, Geron i Hans von Lambach.

Chłopcy, którzy oczyma mierzyli przybywającego, skłonili głowy i wnet poprawili trochę długich włosów, które im na czoła i twarze opadły....

Pacholę wzięło konia, z którego biskup zsiadł powoli. Podniesiono wnijsie do namiotu i wprowadzono go, by spoczął.

Na obozowisku rycerskiem i zakonnem w lesie nie wiele się spodziewać było można; tymczasem namiot zduni. onemu nieco biskupowi, nawykłemu do bardzo skromnego żywota,

wydał się do zbytku zaopatrzony we wszystko, czego i po pałacach naówczas nie łatwo było znaleźć. Skóry i kobierce pokrywały naprędcie urządzone siedzenia, stały przy nich dzbany i kubki srebrne; zbroi wykwiłtniej było do zbytku i na lutni nawet nie zbywało. Wszakże sam mistrz Zakonu, Herman von Salza, sływał niegdyś jako śpiewak i poeta; w pieśniach się kochano, więc i błędni rycerze lutnię z sobą wozili, aby po drodze nuceniem się rozrywać.

Za to biskup nie dostrzegł księgi do modlitwy, ani żadnego znaku pobożności pod namiotem. Trochę smutku powiało po jego czole, lecz prędko wypogodziła je myśl jakaś.

Starszy z braci, Konrad, gospodarzyć począł pod namiotem i krzątać się, aby przyjąć gościa.

Lecz był to dzień piątkowy, a biskup surowym postem nawet w podróży go obchodził. Podziękował więc za posiłek, prosząc o kubek wody i kawałek suchego chleba.

— Zgorszysz się nami, miłość wasza, — rzekł, słyżąc to Konrad, uśmiechając się lekkomyślnie, — my, potrzebując sił do boju, a w drodze będąc, dyspensujemy się od postów.

— Rzecz to waszego sumienia i reguły, której ja tak dalece nie znam, — odparł biskup, — jak skoro nie grzeszną pożądlwość, a potrzeba powołania zmusza do tego...

Uczynił znak ręką i nie mówił więcej.

Nieco opodal przysiadł na pieńku Konrad a ocierając czoło, ciągnął dalej:

— Ogronneż to pustynie! Wszakby one dziesięćkroć, ba! więcej ludu wykarmić mogły, niż

go mają! Lasy i lasy, którym nie ma końca. Ledwie jedne się skończyły, jużci drugie poczynają. Dla wojujących niedogodna to rzecz te puszcze i bagna. Nieprzyjaciel w nich, jak w twierdzy się kryje...

a rycerstwo łatwo przepada...

Lada zasiek w lesie.... Wojna ta ciężką być może, choćby i z dziczą, a pierwszą pono rzeczą, by się tu utrzymać — trzebić, ciąć.

— Tak, — rzekł powoli biskup Iwo, — trzebiemy też i wycinamy powoli, aliści las ten nie darmo nam dała Opatrzność: to nasza spiżarnia i skarbiec. Tu niehodowanego zwierza mamy poddostatkiem, tu nam niezliczone pszczoły miód na pokarm, a wosk dla kościoła zbierają..... z tego lasu chata i wóz i socha, i wszystko.

— Dla dzikiego, jak ten, ludu, — odezwał się Konrad, — pewnie las jest skarbnicą, ale nie wyjdzie ze swej dzikości, dopóki te lasy nie padną.

Biskup westchnął i wskazując ręką w dal, dodał:

— Wieki temu nie podołają. Tymczasem na te ręce, co mamy, pola dosyć!

I pobłogosławił jakby cały ten kraj pustynny przed sobą.

Wszyscy z natężoną uwagą słuchali mówiącego biskupa, — towarzysze Konrada i dwaj

młodzieńcy, stojąc we drzwiach namiotu, kilku knechtów zbliżających się do nich ukradkiem. —

Iwo mówił powoli, z tym spokojem, jaki daje wiek, doświadczenie i wielka wiara w opatrzność Bożą.

Jeżeli się wam pustynniami wydały te kraje, któreście, jadąc tu, przebywali, a nad którymi już od dwóch wieków krzyż Chrystusowy świeci, cóż dopiero te, które zająć macie? Tamci jeszcze trwa pogaństwo, którego nie mógł wykorzenić pobożny biskup Chrystyan, ani mnodzy apostołowie, przez niewiernych pomęczeni.

— Boć ich nie krzyżem, ale mieczem chrzcić potrzeba i nawracać! — zawołał Konrad

dumnie, — *Ego de baptiso in gladio!* — powinno być hasłem naszym.

Iwo głową potrząsł.

— Nie kościelny to oręż ten wasz, — rzekł, — lecz gdy inne się wyczerpały, a dzicz

kościółom i naszym owieczkom zagraża...

— Owieczki te wasze, — rozśmiał się Konrad, — któreśmy po drodze spotkali, do kozłów podobniejsze, niż do trzodki spokojnej.

Towarzysze rycerza żarcik ten jego powitali nietłumionym wybuchem śmiechu, a biskup głową tylko potrząśł.

— Bez niemieckiego żelaza, — mówił zachęcony powodzeniem Konrad, - bez niemieckich rąk, niemieckiego rozumu i zabiegliwości, z tego kraju nigdy nic nie będzie. Dla tego wielce się pochwała książętom tutejszym, iż wprowadzają tu niemieckich ludzi i obyczaj

Biskup Iwo nie przeczył, lecz na twarzy jego znowu się pokazał obłoczek smutny i zniknął, a rycerz, ośmielając się coraz bardziej, ciągnął dalej:

— Cesarze niemieccy nasi wielokroć te kraje zająć chcieli orężem, bo się one im należą tak, jak i cała ziemia.

— Nad pogany zawojowanemi więcej prawa ma nasz Ojciec św., papież rzymski i ten rozporządza koronami, a rozdaje one.... — rzekł biskup.

— Ale co Rzymowi podlega, to i cesarzowi przez to poddanem być musi — dodał Konrad

— dwie to władze nierozdzielne.... — odparł rycerz i dodał prędko:

— Niepotrzebnie w te dzikie kraje iść było z wojskami, aby je tu, jak cesarz Henryk, potracić od głodu i zdrady. Niepotrzebnie wojować było, kiedy my je, kropli krwi nie dając, zagarniemy. Nie obejdą się bez naszych rzemieślników, osadników, duchowieństwa i pomocy żołnierskiej. Niechaj tylko ciągną chłopci nasi, niech miasta budują a ziemię te zajmujemy i niemieckimi uczynimy !

Biskup milczał jeszcze, spuścił głowę na piersi.

— Com rzekł o kraju, iż dziki jest i na pół pogański, — kończył Konrad, — prawdę

mniemani, lecz, jakom słyszał w Magdeburgu i na dworze cesarskim, z książęcemi dwory lepiej pono, bo tam nasze księżniczki zaprowadziły wszędzie obyczaj i język niemiecki. Śląscy panowie nasi są, naszym się stanie i książę Konrad, a dalej i drudzy. Po drodze mnogośmy napotkali Sasów, ba, i dalszych ludzi z Frankonii i Turyngii, którzy tu gromadami ciągną, wiedząc, że ziemię darmo dostaną.

— Nic w tem złego, — odezwał się biskup, — że ci do nas idą, a przynoszą nam z sobą

naukę rzemiosł i czegośmy nauczyć się radzi. — Z pomocą Bożą, na tej ziemi i otoczeni ludem naszym, staną się później naszymi. Wszyscy też ludzie braćmi są wedle prawa Pana naszego Chrystusa.

Krzyżak głową potrząsnął.

— Mnie się widzi, — rzekł, — iż jakoinne kraje barbarzyńskie, któreśmy pozaj mowali —

tak i te niemieckimi stać się muszą. Samo imię tych ludów stare, na niewolników ich piętnuje....

Wśród tej rozmowy, do której biskup, pijąc z kubka wodę i jedząc chleb, który na drobne kruszył kawałki, mieszał się mało, zaczynało ciemnieć, gdyż i bliski las rzucał mrok wczesny na obozowisko. Ksiądz Iwo oglądał się niespokojnie trochę, gdy Zbyszek szybkim krokiem ku

namiotowi się przybliżał.

Biskup, jak gdyby przybycie jego przeczuł, podniósł się z siedzenia i ku wnijściu pochylił.

— Cóżes ty mi, Zbyszku, przyniósł? — odezwał się łagodnie.

— Tak, jakem przeczuwał, — odparł Zbyszek z twarzą rozweseloną, — granica Białej Góry

nieopodal, ale co po niej? Obcego nikogo na Mszczujową ziemię nie puszczają, taki tu obyczaj, a co do grodu i co do samego Mszczuja Waligóry, mówią, że nikomu a nikomu, choćby najbliższym był i największym, przystępu nie dają.

— Toć wiem, że mój brat Waligóra zdziczał zupełnie, — odrzekł biskup zawsze łagodnie,

— ale przecie mnie, jako duchownego i brata swojego, odepchnąć nie zechce i nie może.

Krzyżacy, słuchający tej rozmowy, zdziwieni, szeptać zaczęli, a Konrad odezwał się

ochoczo:

— Jeżeli wasza miłość potrzebować możesz posiłku naszego przeciw opornemu, rzecz tylko

słowo. Miłoby nam było trochę z pochew zaspanych dobyć mieczów i pokazać, co umiejają

niemieccy rycerze!

Biskup obie ręce podniósł do góry i prędko zawołał:

— Niechże mnie Bóg uchowa, abym ja przeciw swoim aż przymusu używać miał; słowa

mojego dosyć, spodziewam się, będzie, aby mi bramy otworzyli. Brat mój dziki jest, cudzych nie lubi, od wszystkich się jak murem opasał, żyje sam, ludzi unikając, lecz na mój głos nie będzie głuchym.

— Dziki to więc, czy zły jest człowiek, — wyrwało się Konradowi, — jeżeli się tak zamyka?

— Złym nie jest, — rzekł biskup, lecz że wiele ucierpiawszy, niemal pustelnicze życie prowadzi, tego mu za złe poczytać nie można. Dążę do niego, abym mu pociechę przyniósł.

— Więc, jeżeli do onego grodu niedaleka droga, toćbyśmy się i my mogli do orszaku miłości waszej przyłączyć, — odezwał się Konrad, a choć dziwowisko jakie tutajszych krajów zobaczyć.

— Chętniebym was pod dach brata mojego zaprosił, odparł Iwo, — lecz gdybym z obcymi do niego przybył, zaprawdęby mi to przystęp utrudniło. Zostańcie tu, a gdy ja zdobędę gród i uścisknę brata, może go skłonię, aby i wam dał gościnę.

Krzyżak schylił głowę i nic nie odpowiedział. Biskup pobłogosławił ich dokoła i wśród milczenia wyszedłszy z namiotu, dosiadł konia swojego.

Orszak jego, który był u skraju lasu trochę spoczął, wnet też do koni się wziął i za biskupem podążał.

Wszyscy krzyżaccy ludzie, kupą zebrani, zdala się jadącym przypatrywali. Konrad też, Otto, młodzi Gero i Hans z namiotu powychodzili i gwarzyli wesoło.

— Szkoda! — zawołał piękny Gero po cichu, rękami poprawiając włosy, które mu na ramiona spadały i trochę niewieścią dawały fizyognomię, tembardziej, że na twarzy ledwie się złocisty puszek wysypywać zaczął, — szkoda, że ten smutny biskup tak się nas niegrzecznie pozbył, bylibyśmy na grodku jego bratanka polskiego piwa się napili i może jaką niebrzydką zobaczyli niewiastę!

— A tobie one tylko w głowie! — rozśmiał się Hans, który wsa już mógł pokręcić i tem prawem, choć niewiele starszy, Gerona za wyrostka poczytywał.

— Wyście nie lepsi, — rozśmiał się Geron. — Pamiętacie zawczora, jakieście to w polu za białą się uganiaли podwiką?

— Tylko mi tego nie przypominaj zawodu, — krzyknął Hans namiętnie. — Koniam zhasał, a baba, która ze strachu na ziemię padła, gdym ją dogonił, ostatni ząb, jaki miała, wybiła sobie.

Wieczór był ciepły i piękny, a mimo postu piątkowego, który im biskup przypomniiał, na

wieczerzę piekło się udziec sarny, zabitej w drodze. Konrad kazał zastawić stół na dworze, we czterech zasiedli doń Krzyżacy i ochotnicy z wesołą myślą, którą pomnożyło wino nalane ze dzbanka w kubki.

— O biskupie Iwonie, któregośmy spotkali, dużom słyszał, — rzekł Konrad, — i nie

sprzeciwia się to, com wiedział, temu, co widziałem dzisiaj. Mąż to ma być wielce świątobliwy i pobożny. Dobrze on stoi w Rzymie, a bratanków swych dwóch dawszy na wychowanie ojcu

Domingowi, już z nich zrobił apostołów i zakon kaznodziejski do Krakowa wprowadził. Ma być prawą ręką księcia krakowskiego, Leszka, który bez niego nie czyni nic.

— Ale nam po nim też nic, — przerwał cicho, zabierając się do przyniesionego mięsiwa

Otto, — nam po nim nic, bo pono, co miłe Leszkowi, to naszemu Konradowi obmierzłe.

Konrad się ku niemu zwrócił.

— Bracia przecież nie wojują z sobą, — rzekł powolnie.

— Ale Konrad nienawidzi starszego, jak głoszą, — dodał Otto, — co nie nowina między

braćmi. Młodszy jest, wyprawili go w puszcze i błota na płacheć ziemi, w której mu się utrzymać trudno; co za dziw, że wolałby w Krakowie siedzieć spokojnie!

— Z tego, co się tu i owdzie po drodze słuchiwało, — odezwał się milczący dotychczas

Hans, — zdaje się, że Leszek w księżowskich rękach, pan pobożny a miękki, choć mężny, wojny nie lubi. Konrad, jeżeli go z siodła wysadzi, to, byle spadł, na nie skoczy i wszystkim zawładnie.

Tak ludzie prorokują.

— Źle wróżą, — przerwał Konrad, marszcząc się. — Jakby to na granicy silniejszych a

bliższych Śląskich nie było, co już Niemcami są i siłę mają a rozum nasz....

— A cóż pomogło Władysławowi temu długonogiemu, o którym nam w Magdeburgu

opowiadali, — odezwał się Hans, — że Niemcem jest i obyczajem i mową?... Toć siedział na Krakowie, a jak się dał wziąć nań, tak się dał z niego dobrą wolą wyprosić.

— E! — krzyknął Konrad, — bo ten Władysław niemiecki ma język, prawda, ale serce miał

polskie. Dobry człek, a z dobrocią do kądzieli, nie na koń.

Rozśmiali się wszyscy, potwierdzając.

— No to i Śląscy nic nie wskórają, — dodał Hans uparcie, — boć księżę Henryk chodził już pono

raz pod Kraków i skończyło się na tem, że im księża kazali się uściskać i zgodę zapisać!

— Książę Henryk wrocławski pobożny pan, — odezwał się drwiąco Konrad. — Biskupowi nic nigdy nie odmówi. Temu tylko kaptura braknie, by mnichem był, a żona mniszka prawdziwa.

— Więc bądź co bądź, — rzekł Otto, — naszemu księciu Konradowi najlepsza gwiazda świeci, bo ten, słyszę, serce ma kamienne a ręce żelazne. Życie ludzkie mu za muchę nie stoi. Z duchownymi też, jak go słuchają — dobry; jak się ostro stawia — nie patrzy, czy łysina na łbie — i...

— Daj pokój naszemu, — odezwał się Konrad, — przecieżeśmy jego lennicy i bronić go powinniśmy.

— Jakto lennicy? — oparł się Otto. — Nie lennem nam prawem ziemię dają, ale dziedzicznym. Mistrz nasz, Herman, jest księżciem cesarstwa i my nikomu lenna ani pokłonu nie winniśmy, krom cesarzowi.

Konrad zamilkł chwilę, potrząsając głową. Wychylone kupki nalano na nowo.

II.

Mrok już był dobry, gdy na jedynym gościńcu, który przez las prowadził, zdala się ukazało coś, jakby ogrodzenie wyniosłe i brama.

— Otóż i granica Białej Góry! — zawołał Zbyszek.

W owych czasach, gdy rubieże większej części posiadłości były wątpliwe, a miedz, kopców i granic nie pilnowano tak bacznie, bo pustej ziemi było dosyć — obwarowanie tak ściśle musiało się czemś osobliwym wydawać. Biskup stanął i patrzył długo milcząc, inni też spinali się na koniach, szepcząc i uśmiechając się. Ruszano ramionami.

Orszak cały, który się był wstrzymał na krótko, ciągnął ku zagrodzie, coraz już widoczniejszej.

Gościniec przecinał głęboki parów, wał, a na nim stało ogrodzenie i widniała dosyć mocna dawniej, teraz trochę opuszczona, brama zamknięta. Nie dochodząc do wału, przyparta do niego, nędzna, rozkraczona szeroko, siedziała buda, której dach ladajako poosuwanemi dranicami pobity, cały kurzył dymem od wewnątrz płonącego ogniska.

Przez małe otwory w ścianach o mroku wieczornym błyszczowało światełko czerwonawe.

Ludzie tu więc byli.

Nie długo na ukazanie się ich czekać było potrzeba, gdyż jak tylko posłyszano w chacie

stąpienie zbliżających się koni, naprzód jedno okno przyciemniało, bo je ktoś, wyglądając niem, głową zaparł, potem skrzypnęły drzwi i człek jakiś wyszedł naprzeciw jadącym. Stał jak wryty u progu, zdając się oczom nie wierzyć, gdy zobaczył tyle ludzi i koni.

Zbyszek chciał ku niemu podjechać, gdy biskup, ręką nań skinąwszy, aby pozostał, sam się do strażnika przybliżył i pozdrowił obyczajem chrześcijańskim.

Stróż był to człek stary, silny jeszcze z brodą siwą, postrzyżoną i głowę odkrytą, już

wyłysiałą. Na sobie miał kozuszek krótki, włosom na wierzch, spodnie płócienne i chodaki. W rękę, czy dla oznaki swego urzędu, czy dla obrony, trzymał ogromny drąg, w którego końcu był

przytwierdzony kawał żelaza.

Mruknął coś niewyraźnego za odpowiedź na pozdrowienie biskupa.

— Otwieraj mi wrota, — odezwał się Iwo, wskazując ręką na nie. — Jestem bratem

Mszczujowym i jadę go odwiedzić, a pobłogosławie mu.

Stróż nie zdawał się rozumieć, podniósł głowę, pilno się przypatrując, oczy wytrzeszczył, usta mu się bezzębne otwarły szeroko, lecz nie odpowiadał. Biskup cierpliwie powoli powtórzył

rozkaz, wskazując na bramę, ale człek się ani ruszył, ani odpowiadał. Zwrócił się Iwo ku Zbyszkowi, a ten już zsiadł i podszedł do stróża.

Powtórzył mu, nalegając, wolę biskupa i dodał, że jadący był najwyższym pasterzem, a

należał do rodziny pana z Białej Góry. Wszystko to jeszcze nie trafiło do przekonania milczącego strażnika. Słowa z niego dobyć nie było można.

Już ludzie biskupi zabierali się ku wrotom iść i przebojem je otwierać, coby łatwo przyszło, gdy milczący stróż zaparł im drogę sobą i drągiem. Iwo dał znak, by siły nie używać.

Złękły człek bełkotać poczynął. Mówił coś, lecz dla braku zębów i głosu, który przestrasz stłumił, zrozumieć go było trudno. Wywijał tylko żwawo drągiem, usiłując zapierać drogę konnym.

Uląkwszy się nacisku ludzi, którzy z koni posiadali i zbliżać się do niego i do wrót zaczęli, jakby z rozpacz, nagle począł pod kozuchem szukać czegoś drżącymi rękami i dobywszy rogu, tak rozpaczliwie zatrąbił, iż konie się zachnęły, a kilka z nich w bok rzuciło. Tylko biskupi rumak, uszy nastawiwszy do góry, ani drgnął, za co go Iwo po szyi pogłaskał.

Wrzaskliwy głos rogu wśród ciszy, po nocnej rosie rozszedł się szeroko, jakby go fale niosły

powietrzne.

Upłynęła chwila niepewności; patrzano na siebie i na biskupa, który dał znak, aby czekano.

Dosyć długo stali wszyscy w miejscu, nieruchomi, aż Zbyszek pierwszy usłyszał zdala

przybywającego konia. Pędził ktoś od wzgórza, po za którym nic widać nie było. Tętent coraz się stawał wyraźniejszy i za wrotami mignął człowiek na koniu, który, nie zsiadając z niego, przez szpary począł zaglądać.

Zbyszek podszedł ku niemu. Nim przybyły miał czas zapytać się, — usłyszał, kto czekał i rozkaz, aby wrota otwierano.

— Nikomu się te wrota nie otwierają, choćby i sam pan, a król i książę był, bo tu jedynym panem pan nasz. My do nikogo nie mamy nic i nie chcemy, aby do nas miano.

— Ależ brat i biskup, zawołał gniewnie Zbyszek — Słyszysz ! My tu nie ścierpimy, aby słudze Bożemu opór kto stawiał, wrota wywalimy!

— To co? — krzyknął człek z za wrót,. — Wywalicie bramę, pojedziecie pod gród,. a

przecie go nie zdobędziecie, bo my w potrzebie bronić się umiemy; zamiast od tych. wrót, pójdziecie od tamtych.

Wtem biskup sam głos podniósł.

— Słuchaj, dziecko moje, — rzekł łagodnie, — jedź na Białą Górę i powiedz Mszczujowi, że Iwo, brat, u wrót jego stoi. Iwo z Krakowa.

Wyrazy te miały jakąś siłę nakazującą, bo człek, posłyszawszy je, zamilkł, nie odpowiadając nic, konia zawrócił i popędził.

Stróż z drągiem, trochę na bok się usunąwszy, lecz od bramy nie odchodząc, oburącz na broni swej wsparty, pozostał nieruchomy.

Na dworze ciemniało powoli, a biskup, z głową spuszczoną cierpliwie, modląc się po cichu, czekał odpowiedzi, której zwłoka Zbyszka widocznie niecierpliwiła.

Lekki wiatr zerwał się od zachodu i choć niebo było miejscami wypogodzone, pędził

porwane chmury, które zdały się posłańcami, wyprawionymi na zwiady, zapowiadającymi zmianę pogody. Powietrze stawało się chłodniejszym, jak zwykle jesienią, gdy słońce zajdzie.

Po dość przeciągniętem oczekiwaniu znowu dał się słyszeć tętent, stróż zwrócił oczy i

głowę ku wrotom, prostując się i gotując jakby na obronę stanowiska, bo był pewien, że z gródka przyjdzie odpowiedź odmowna. Za bramą pokazał się jezdny, a Zbyszek co prędzej dopadł do niego.

— Miłościwy pan nasz, — rzekł przybyły trochę zadyszany, — choć nikogo obcego u siebie nie chce, brata gotów ugościć. Tylko nie z orszakiem i nie z dworem, ale samego.

Wśród dworzan biskupich wybuchnął szmer dość głośny, tylko Zbyszek spojrział na pana, czekając, co ów powie.

— Rozbijcież tu sobie namioty i napalcie ognia, — rzekł pasterz, — a ja pojedę na nocleg do Białej Góry, kiedy inaczej być nie może. Żal mi was, dzieci moje, ale inaczej chybiłbym celu podróży.

Wtem kanclerz biskupi, ksiądz Sylwan, nie mogąc wytrzymać, zawołał głośno:

— Ale miłości waszej puszczać się tak samemu ani przystoi, ani bezpiecznie. Jak to być może, żeby choć jednemu z nas towarzyszyć mu nie było wolno!

Posłyszawszy to posłaniec, od bramy powtarzać zaczął:

— Jednego tylko księdza brata puścić mi wolno! Jednego!

Ksiądz Iwo uśmiechnął się i ręką począł żegnać dwór duchowny i orszak.

— Zbyszek, — rzekł do czekającego swojego ochmistrza, który stał z głową frasobliwie spuszczoną, — proszę ja cię, niech wszystkim będzie na obozowisku przymusowem dobrze...

Uczyń, co można.

Rękę podniósł i pobłogosławił.

Koniowi biskupiemu nie bardzo się od gromadki chciało odchodzić, lecz ksiądz Iwo

przemówił doń łagodnie i koń ruszył po-słuszny ku wrotom, które stróż, drąg postawiwszy przy tynie, z trudnością otwierać zaczął.

U wrót stojący pilnowali, aby nikt więcej wcisnąć się za nie nie mógł.

Dopiero, gdy biskup oddalił się nieco, a bramę na nowo drągiem założono, wśród dworu

głośniej się odezwali oburzeni księża i Zbyszek przeciw dziwactwu pana z Białej Góry, który ich sądził niegodnymi przestąpienia progu swojego grodka. Stary tylko kapelan biskupi, ksiądz Ambroży, nawykły do poddawania się wypadkom, nienawidzący próżnych wyrzekań, po

pierwszym wybuchu zaraz im usta zamknął tem, że człowieka nie znając, sądzić się go nie godzi.

— A czy my wiemy, — rzekł, — dla czego ten człek dzikim się stał i czemu z ludźmi nie

obcuje? Cóż, jeżeli to czyni z pobożności i potrzeby ducha... Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni!

I tak z wolna szemranie ucichać zaczęło.

Biskup tymczasem jechał stępią, o drogę nie pytając, koniowi dawszy wolę, zamyślony, a

pewien będąc, że trafi na grodek. Za nim w pewnym oddaleniu włókł się sługa zamkowy z głową odkrytą. Dostyc zarosła drożyna spinała się trochę pod górę, którą od zachodu oświecała resztką odbłasków wieczornych. Nie widać jednak było długo nic na wysokości tej, krom wału ziemnego i tynu, który przez długie lata przybrał barwę ziemną i pookrywał się zieleń, co go przysłaniało.

Podjechawszy dopiero nad wał, podnosić się im w oczach zaczęła wieżyca zamkowa, ale drewniana, z ogromnych starych balów zbudowana, podobna do wielkiego stosu bierwion, daszkiem pokrytych. Nad nią nic więcej z za wałów nie wyrzało, choć się ku nim zbliżyli.

Przewodnik biskupi wyprzedził go, bokiem jadąc, i huknął naprzód, aby im otworzono

pierwsze wrota... Te przebywszy, jechali jeszcze pod górę ku drugiemu wałowi i drugiej bramie, która nie naprzeciw pierwszej, ale w bok od niej wśród okopu się czerniła. Zbudowana była bardzo starym sposobem z niezmiernie grubych pni, pomazanych i pooblepianych gliną....

Furtę tylko dla biskupa otworzył jakiś człek, a tę przebywszy, znalazł biskup most na rowie głębokim, za którym grodzisko, iakby w kotlinie, na wierzchu góry leżało.

Szary mrok nie dawał dobrze rozpoznawać zabudowań rozległych, różnych wysokości i

kształtów, skupionych u podnóża drewnianej wieży, których barwa szara nie wiele się różniła od ziemi, na której siedziały. Cicho tu było i zdawało się pusto, choć gdzieniegdzie w otworach ścian z wnętrzów błyszcząły ognie....

Gdy biskup most minął, ujrzał przed sobą stojącego mężczyznę nadzwyczajnego wzrostu,

istnego olbrzyma, a choć twarzy jego nie mógł dojrzeć, z tej postaci, dla której Mszczuja u pospolitego ludu przewano Waligórą, poznawszy brata, obie ręce wyciągnął ku niemu.

Olbrzym ów chwycił rękę Iwona i nie mówiąc słowa, ale zanosząc się płaczem, całował ją począł.

Dopiero po chwili, gdy Iwo zsiadł a stanął, opierając się o rękę brata, dało się słyszeć:

— Iwo mój— Iwo!

— Mszczuj? Bóg z tobą!

Oba byli tak wzruszeni, że mówić nie mogli; w milczeniu, przerywanem łkaniem i westchnieniami, ciągnęli ku domostwu.

W szarym mroku widać było popod ścianami cicho, trwożliwie przesuujące się postacie służby, niktące prędko. Szczekanie i warczenie psów słyszeć się dało i wnet umikło.

Gospodarz wiódł prałata ku budynkowi, obciążonemu podsieniami na słupach. Czeladź, która tu stała, rozstąpiła się na widok pana i uszła na stronę.

Drzwi wielkie a ciężkie, otworem stojące, prowadziły do sieni tak rozległej, jakby secinę jaką ludzi mieścić potrzebowała. Z boku jej płonęło ognisko.

Tu się nie zatrzymując, wprowadził Mszczuj księdza Iwona do izbicy na lewo. I w niej paliło się jasno ognisko, oświecające ściany drewniane poczerńiałe.

Starodawnym obyczajem izba była ubrana dokoła w ciężkie ławy, w police nad niemi. Małe otwory, w ścianie od podwórza okiennicami pozamykane, we dnie mało światła wpuszczać musiały.

Choć nad ogniskiem był zwieszony dymnik, jak kaptur olbrzymi, sadzą smolnych łuczyw okopcony, nieco dymu sinego rozpościerało się po izbie i jakby pasy rąbku leżało pod pułapem.

Stół, wbity nogami w ziemię, zajmował jeden kąt izby, a na nim widać było dawnym

obrzędem rozpostarty ręcznik, chleb, nóż, kubek i kubki drewniane. Wszystko to było do zbytku ubogie i proste.

Gdy Waligóra w świetle ognia, palącego się pod dymnikiem, pokazał się bratu, który go o mroku wprzód dobrze widzieć nie mógł, oblicze księdza Iwona zadrżało jakby uczuciem radości.

Spodziewał się go znaleźć złamanym i zestarzałym, a miał przed sobą męża jeszcze w pełni sił, jakby do boju gotowego.

Wprawdzie włos bujny i ciemny na głowie i na brodzie już się miejscami pasami srebrzyć

zaczynał, czoło było poorane w brózdy głębokie, ale oczy czarne, ogniste, patrzyły życiem, błyskały ogniem, ramiona i barki nie ugięły się pod brzemieniem lat, szeroka pierś sklepista oddychała swobodnie. Tylko w wyrazie tej twarzy i oczów było coś tęsknego i gniewnego razem, może wzruszeniem zapalony ogień jakiś niepowszednich dni — bo z nim żyćby długo nie można. Drżał

ów olbrzym, patrząc na biskupa, który, wpatrując się w niego nawzajem z łagodnością i spokojem, nie opuszczającym go nigdy, zdawał się litować.

— Pokój tobie i domowi! Bóg z wami! — rzekł głosem słodkim a kojącym.

Obejrzał się.

— Po staremu u ciebie, ubożuchno, a po prostu! — dodał.

— Bom ja stary człek, — odparł Mszczuj, stary człek i prosty... nowego ja nie chcę, nie — i mądrego a sztucznego, a, uchowaj Boże! obcego!

Rzeki to gospodarz prawie namiętnie i, niechcąc dłużej się rozgadywać, pospieszył dorzucić:

— Co wam dać na wieczerzę?

— Piątek, post, — rzekł biskup, — a niedawno posiliłem się kromką chleba i wodą. Wodę świeżą rad zawsze piję, macie-li też pieróg lub chleb — nie odmówię; więcej mi nie wolno nic!

Waligóra włosy potarł... spojrział na ławy nieokryte, i, zwróciwszy się ku kąтови, dobył kawał grubego sukna, którym zasłał siedzenie, wskazując je biskupowi.

— Choć ja jeść nie chcę, to nie przeszkadza, — rzekł Iwo, — abyście wy swej postnej wieczerzy podać sobie nie kazali; będę miał tem większą zasługę, gdy mi uczyni pokusę, którą zwyciężę.

— Jam już jadł i syt jestem, — rzekł Waligóra.

— Siadajże przy mnie, niech na ciebie patrzę, mów, niech cię słucham, tłómacz się, niech cię zrozumiem... Policz-no lata, ile ich upłynęło od czasu, gdy cię ten giez ukąsił, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę — i tyś bez żadnego powodu zerwał z światem i z rodziną.

Waligóra uśmiechnął się, ale tak boleśnie patrząc na brata i takie mu się wyrwało westchnienie ciężkie z piersi, iż biskup rękę mu na ramieniu położył, widząc, że cierpi.

— Dobrześ rzekł, bracie, giez mnie ukąsił, giez, a rana od tego gza do dziś boli! Ino, choć ty jesteś duchowny i brat, nie pytaj mnie, jak się on zwał i kędy mi ranę zadał — nie czas mówić... nie czas! Zerwałem z światem i z rodziną... a tak — bom ja tam nie miał co robić.

— Bracie! bracie! — przerwał biskup, — jam tu właśnie przybył cię nawracać. Nie pytam, co zabolalo, choćbym może, za pomocą i łaską Bożą, ranę zagoił, lub ból zmniejszył — gwałtu

choremu zadawać taki lekarz, jak ja, nie może... chory doń sam przyjść musi, aby leki były skuteczne. Tylko mi ciebie żal, bracie mój, i tęskno mi po tobie, a ta rodzina, którejś się wyrzekł i opuścił ją, potrzebuje ciebie.

Waligóra, słysząc to, wyprężył żylastą swą, ogromną, silną prawicę z pięścią ściśniętą i mruknął:

— Ręki wam trzeba... Ha! już ona nie ta, co dębczaki z korzeniem rwała z ziemi — nie ta!

— I pięśćby się przydała może, — odparł biskup, — więcej serce.

— I ono zamarło i zamarzło! — westchnął Waligóra, — co wam po niem i po mnie?

— Słuchaj, miły mój! — odezwał się biskup. — Chrystusowi służy, jakim ja jestem,

gwałtu nikomu nie zadają; ich orężem słowo i miłość, innego nie mają. Więc słuchaj słów moich, które czasem Duch święty i ubożuchnym natchnąć może. Dobrze jest w tej pustelni, spokojnie; nie widzisz złości ludzkich, nie potrzebujesz się borykać z niemi. Tobie błogo, ale rzecz mi z sumienia twego, czyś ty był na to stworzony i ochrzczony dziecięciem społeczności Chrystusowej, abyś sobie tylko służył, czy byś dzielił losy braci i ludu twojego? Powiedz mi? Cóż to jest ten chrzest święty, jeżeli nie zaciąg na wiekuiste żołnierstwo, które ucieczkę czyni sromotną? Król nasz Bolesław, tchórzom, co mu zbiegali z wojny, słał kądziele i skórki zajęcze! Cóż Chrystus pośle wam, którzyście z szeregów jego wystąpili?

— Przecież ja się Chrystusa Pana nie zaparłem, — odparł żywo Mszczuj. — Przecież modłę się i księdza trzymam, spowiedź odprawiam, postów nie łamię.

— Albo myślisz, że na tem dosyć! — rzekł biskup łagodnie. — Hetmana się nie zapierasz,

ani chorągwi, cóż, gdy cię w boju nie ma, a poszedłeś bezpieczny pod krzak i szukasz pod nim schronienia.

Waligóra się zżymnął.

— Ja z tobą na stowa walczyć nie potrafię, — odparł, — pobijesz mnie niemi.. lecz, bracie, posłuchaj i ty mnie, posłuchaj i przez miłosierdzie — nie potępijaj!

— Siądź przy mnie, — szepnął biskup, — słuchać cię będę, owszem, bylebyś ty potem mnie dał ucho. Mów — siadaj.

— Nie każ mi siedzieć, — odezwał się Waligóra, — krew mi nie da na miejscu pozostać, ruszać się muszę.

Tchnął mocno i widząc, że ogień na kominie przygasa, poszedł parę szczap przyrzucić.

Biskup siedział milcząco, on czoło tarł i włosy rozrzucał — oczy mu się paliły.

— Mówisz, że ja zbieg wojenny, — rzekł. — A! gdyby życie dając, można zwycięstwo zdobyć, nie wahałbym się! Nie o życie mi idzie, ino bym się nie zbrukał i nie zabłocił na duszy... abym, patrząc na to, co się dzieje, nie rzekł nareszcie obłąkany, iż tak się dziać powinno.

— A cóż tak złego dzieje się, lub stało?

— przerwał biskup, składając ręce. — Bogu najwyższemu dzięki, błogosławieństwo nad krajem, wiara się mnoży, kościoły budują, lud z pogaństwa obmywa... światło przychodzi!

— Patrząc tylko w niebo, — zawołał Mszczuj, — pewno więcej nie widać. A na ziemi co?

Zamilkł chwileczkę.

— Nasza ziemia na kawałki się porozpadała, bracia biją się o kawałki. Mało tego. Kto nam panuje? — ty powiesz: chrześcijańscy panowie — pewnie, tylko nie naszej już krwi, języka, obyczaju.

Biskup drgnął.

— Co mówisz? — zapytał.

— Wszakem ci ja patrzył na dwór i na osobę Laskonogiego, na śląskie książęta, na innych, na ich czeladź, na ich zabawy i rządy... Wszystko to Niemcy, a Niemców u nas liczba rośnie, rośnie, i my w domu sługami ich... Wasze klasztory niemieckie, wasze kościoły, co mają, z Niemiec wzięły, zbroi nie ma lepszej jak z zagranicy, miecza drogiego tylko od nich... Sukno wam tkają Niemcy, klejnoty kują, dobrze, że chleba nie pieką. Miałem się ja na to patrzeć z założonymi rękami, a dziękować, że mi serce wyjadali!

Biskup popatrzył nań łagodnie.

— To ci żółć zburzyło? — spytał. — Więc pociesz się, bracie, boś nie dobrze widział i

zawczasu zrozpaczył. I ja na to patrzę, ale okiem wesołym, nie lękając się... Cóż szkodzi, że oni nam służą? Posiedziawszy z nami, Niemiec się przerodzi... a co przyniósł z sobą, zostanie...

Wiedzieć musisz, co za świętych ludzi dał mi Bóg uczynić ze dwu naszych bratanków, z Jacka i Czesława! Ci przecie, w Rzymie Niemcami nie zostali — klasztory też nie wszystkie niemieckie... a i te, co są, aby żyć, muszą się stać naszymi.

— A książęta? książęta! — przerwał Mszczuj. — Alboż tonie wiesz, co z ich dworu płynie, jak ze źródła, i że gdy oni czarni, wszyscy dla nich mazać się muszą? Pokażże ty mi dwór u pana, coby do Niemców nie lgnął, coby się obchodził bez nich? Śląsko sąsiednie zalali już Niemiaszki, siedlą się w niem, miasta budują, prawo swoje przywożą, aby naszego nie słuchali, krzyżem się zasłaniają, aby

się im nic nie stało...

— Bracie miły, — westchnął biskup, — rozzalon jesteś, a w Bożą opiekę nie wierzysz. Bóg i takich narzędzi używa do nawracania. Jam spokojny. Nas tu więcej jest; co mi przybysze szkodzą, gdy je życie nasze obejmie i przerobić musi?...

— Aby nasze siły Niemca ze skóry jego wywlokły i nową mu dały? — zawołał Mszczuj. —

Zaprawdę, widziałem dużo naszych, co się poniemczyli, ale ani jednego Niemca, coby się znaszyl.

Gdyby się i mowy nauczył, i strój wdział, i pogłaskać dał, siedzi w nim zawsze coś, co mi śmierdzi.

— Ale wszyscy chrześciance braćmi są, — rzekł biskup, — o tem zapomniałeś.

— Nie, ino chcę, aby brat każdy u siebie siedział, a do zagrody mi się nie wpierał, — rzekł

Mszczuj. — Im się chce naszej ziemi! Nie mogli jej zawojować orężem, chcą ją posiadać bez krwi rozlewu, przebierając się za czeladź i służąc nam... Ano, biada temu żupanowi, co na gród puszcza przekupniów, nie znając ich... Nocą mu wrota nieprzyjacielowi otworzą... Ja ich nie chcę mieć ani panami, ani sługami, a braćmi za drzwiami.

Widząc, że biskup milczy, głowę spuściwszy, ciągnął dalej:

— Nie mogli nas pożyć inaczej, mądry naród na sztukę się wziął. Królom i książętom

poczęli żony stręczyć, bodaj z klasztorów.

Biskup syknął.

— Tak ci było, — dodał Mszczuj, — Bolesław mniszkę zaślubił, nie wyklęli go.

— Złem to było, — rzekł biskup.

— Nikt nie pisał, — mówił Waligóra. — Za taką panią musiały służki iść, i czeladź, i

kapelan, i rzemieślnicy, i zbrojni. Na dworze wszyscy dla miłości jej poczęli bełkotać i szwargotać.

Urodził się książę, pierwsze słowo, co rzekł do matki, a ona do niego — nie nasze było. Dla syna musiał uczyć się ojciec, a potem mu smakowało to, jak co przedniego, i ze swemi dworzany wolał

paplać tą mową, którą szatan wymyślił.

— Bracie! — zawołał biskup.

— Przebacz, a no żółć kipi już we mnie, — dodał Mszczuj. — Tak było. Co nasze nie

smakowało nam... nie starczyło, choć wiekiśmy tem żyli, od rzemyczka do sprzączki musiało wszystko iść z za gór, z za mórz, inaczej nie smakowało. Tak nam się Piastuny nasze

poprzemieniały na Laskonogich, że gdyby ich człek spotkał na gościńcu, nie znając, wziąłby za obcego.

— A święty, poczciwy i pokój miłujący człek, — rzekł biskup.

— Jabym wolał, żeby wojnę miłował, a Niemcem nie był, — mruknął Mszczuj. —

Laskonogiemu zarzucić nie można nic, ino to, że to choć niby krwią nasz, a duszę Niemcom sprzedał. Wszakże dobre panisko było, bo gdy go na Kraków powołali, nie chciał Krakowa brać, ażby mu Leszek pozwolił; potem, gdy po Zawichoście Leszka sobie upodobali nasi Krakowianie, którym zawsze nowego sitka na kołu potrzeba, Laskonogi się nie spierał i poszedł precz. Możeż być lepszy człek? A złe broił, bo przy nim wszystko niemczało.

— Cóż ci Niemcy zawinili? — spytał łagodnie biskup, — powiedz!

Mszczuj się zaczerwienił.

— Mnie nie uczynili nic! — zawołał, — Jam człek mały i bezemnie, choćbym zginął,

niewieleby ziemia nasza straciła, ale państwo nasze przepada przez tę niemczyznę. Patrzcie na sąsiedni Śląsk, jak go zalewają. Jeszcze trochę, a nie rozmówisz się swym językiem na swojej ziemi.

I przerwawszy krótko, Mszczuj dodał:

— Żle z nami! źle! Za Mieszka i za syna, i za Krzywoustego jeszcze do kupy się łączyły

ziemie i powiaty, panowanie rozlegało szeroko, potęga rosła... a dziś co? Co mi z tego, że dąb poszczepany na klepki gładko wygląda; mocy już tej nie ma, jak gdy grubym był i w sobie jednym.

Tak i owo państwo Bolków dziś na klepki i tarciczki rozpiłowało potomstwo. Niemcom w to graj, bo pokrajane kawałki łykać łatwiej.

Zasepił się biskup i milczał, patrząc w ziemię.

— Słuchaj, Mszczuj, — rzekł. — Tobie się potęgi chce, a nie wiesz, czyby ona, rosnąc, i po twoją głowę nie sięgnęła. Wielcy panowie i cesarz, gdy w siłę urosną, nie szanują nic, ani praw Kościoła, ani praw człowieka. Musiało się rozpaść po Krzywoustym królestwo, aby religii, duchownym i wam, ludziom swobodnym, na karkach nie ciążyła tyrania! Przecie te wszystkie kawałki mają jedną głowę w naszym arcybiskupie gnieź- nieńskim i duchowieństwie — wszystkie podlegają Rzymowi i metropolii, stolicy swej. Duchowieństwo was broni od samowoli tyranii! Ono czuwa; królem waszym, Pan nasz, Jezus Chrystus... Mamy, jako oręż nieskruszony, klątwę, która ze społeczeństwa wyłącza, i pokazaliśmy, że się jej i na stojących najwyżej użyć nie zawahamy...

— Tak, ale popróbujcie klątwę waszą rzucić na Połowców i Rusinów — co ona pomoże? —

zapytał Mszczuj.

— Na nasze zawołanie wszyscy książęta się zjednoczą, pójdą na pogan, — rzekł biskup, —

i zwyciężą!

— Pójdą, tak, — mruknął uparty olbrzym, — ale, zamiast z pogany, z sobą się zwaśnią, aby jeden drugiemu kawał ziemi opanował i wyrwał! Dla was duchownych pewno lepiej z wielu

małymi pankami, niż z jednym silnym, ale ziemi tej... ziemi tej, którą oni, z sobą się drąc i jedząc, krwawią — popytajcie! Ziemia ta wam odpowie, jakom ja niegdyś słyszał, że czytano z pisma: biada temu królestwu w sobie rozdzielonemu! biada!

— Po ziemsku patrzysz na te sprawy, — odezwał się biskup, nieco pomilczawszy. —

Naszej ziemi naprzód było potrzeba wiary świętej i światła; nie pytaliśmy i nie pytamy kto je nam przynosił, bo bez nich życia nie było. Krzyż nas wyzwolił od zagłady, od zawojowania przez cesarstwo. Pierwsi Benedyktyni, pierwsi mnisi i kapłani niemieccy, czescy, francuscy, włoscy, przecież nas nie porobili niczem innym, tylko chrześcianami.

— Zaczekajcie ino, — zawołał Mszczuj. — Gdy Niemcy napłyną, zobaczycie dopiero, czem będziemy.

— A gdyby i tak było, jak mówicie, — przerwał biskup, — cóż za powód uciekać i kryć się, kiedy właśnie, jak sam powiadasz, Niemców odpierać trzeba?

— Nie czas już! zapóźno! — krzyknął Mszczuj. — Śląsko przepadło! Nie wiem, co się

dzieje w świecie, lecz nie daj Boże, by Mazury i inne ziemie nie zostały oderwane. Książęcia, coby Niemcem nie cuchnął, nie ma... wszyscy...

— Nie mów mi nic na pana mojego, Leszka, bo dobry i najlepszy jest, najszlachetniejszego serca, jako ojciec był, pobożny, świątobliwy, sprawiedliwy, — żywo odezwał się biskup. — Daj nam Boże takich więcej.

Mszczujowi oko błysło, a usta się ścięły — zamilkł nagle. — Biskup, na ogień patrząc,

dumał jakoś, niby po cichu się modląc.

— Nie darmom ja tu do ciebie sam przybył, aby cię z tej jamy, w której, jak niedźwiedz, łapę liżesz, wyciągnąć, — rzekł, po- wstając. — Pana mamy dobrego, miłościwego, szlachetnego, lecz zagrażają mu nieprzyjaciele; siły wszelkie jakie są, koło niego skupić się powinny; przedewszystkiem my, Odrowążowie, całą gromadą, od której ty się oddzielać nie możesz. Ród cię woła. Kto nie ma już ojca, jak my, temu ród i ojcem i matką — kto na jego głos nie odpowie, ten się swoich zapiera i zostaje sam. Mszczuj, jam po ciebie tu przybył...

Waligóra stał niemy, zdziwiony ale milczenie jego nie zdawało się zwiastować

posłuszeństwa. Czuł to biskup i począł coraz żywiej:

— Tak jest, bracie, panu naszemu zagrażają skryci i jawni nieprzyjaciele... Wy...

— Ja o niczem nie wiem, bo od Laskonogiego na świat nie wyjrzałem, — dodał Waligóra.

— Wy musicie i powinniście iść z nami, — mówił biskup. — Na pozór ulega wszystko

naszemu, ale w rzeczy samej zazdroszczą mu Krakowa, zazdroszczą mu siły i cnoty, i miłości, jaką ma, a mniemają go słabym. Rodzony brat, Konrad, choć jawnie mu posłuszny, patrzy tylko, czy się nie zdarzy sposobność opanować i tę dzielnicę, a jest gwałtowny, krnąbrny, chciwy i srogi.

Książętom śląskim nie odeśniło się jeszcze, że do Krakowa prawo mają większe, niż Leszek; ma Laskonogi przyjaciół, ma Plwacz, a najgorsza ze wszystkiego, że Jaksowie po staremu

nienawidzą nas, knują przeciwko temu, przy którym my stoimy.

— Więc zgody z nimi nie ma? — spytał Mszczuj.

Westchnął biskup.

— Bóg widzi, że nie my, Odrowążowie, temu przyczyną jesteśmy, — rzekł. — Ja, jako

sługa Chrystusowy, ze wszystkimi zgody pragnę. Wszakżeśmy próbowali z Jaksami zawrzeć pokój nieraz i daliśmy im dziecko z naszego domu do ich łóża, a wzięli córkę od nich dla naszego dziecięcia — nic to nie pomogło. Zawzięci na nas, jako byli. Zazdroszczą nam łaski pańskiej, mnie

— stolicy biskupiej, opieki, jaką mam w Rzymie, zazdroszczą mi dwóch świątobliwych bratanków, Jacka i Czesława, złem okiem patrzą na klasztory, które buduję, i kościoły, które wznoszę. Spiskują potajemnie z Konradem, z Plwaczem, a głową ich — Światopełk, którego osadzono w Pomorzu, naprzód ojca wielkorządcą, potem syna kneziem. Ten już pana, co mu dał tę ziemię, znać nie chce i myśli się oderwać. Jaksowie przez niego silni są.

Aleć wy, bracie, macie Leszka! — rzekł Mszczuj. — A ten silniejszy jest od Światopełka pomorskiego?

— Dopóki do jednego zdrajcy nie przyłączą się inni, — odparł biskup. — Uchowaj Boże

upadku pana naszego, runiemy i my rodem całym i pójdzie ta ziemia znowu na łup ziemczących Ślązaków, albo Plwaczowi nielepszemu, lub okrutnemu Konradowi Mazowieckiemu, który zakon Braci Szpitalnej niemieckiego domu, co się narodził w Jerozolimie, już ściąga w pomoc i Chełmno im już dał.

Mszczuj słuchając, za głowę się pochwycił.

— Jakto? — krzyknął z gwałtownością wielką, — jeszcze jeden zakon niemiecki u nas? I

już mu ziemię wydzielają?

— Zaprawdę tak jest, — odparł biskup, — a niejedno to niebezpieczeństwo zagraża! Myśl

więc, Mszczuj, że i tyś mi potrzebny, że ja się bez twej dłoni, serca i głowy a sumienia obejść nie mogę... że czas jest, abyś wylazł ze swej skorupy.

Gdy to biskup mówił, pierwsze koguty zapiały.

— Czas do spoczynku, — rzekł, — jutro po Mszy świętej więcej i szerzej pomówimy.

III.

Zaprowadziwszy biskupa do izby gościnnej, w której pacholę czekało na usługi, widząc, że Iwo, zaledwie tu wszedłszy, na kolana się rzucił i z wielką rzewnością i przejęciem na głos modlić się począł, wyszedł stary Mszczuj, samym go zostawiając.

O te czasy zwykle na Białej Górze u niego spało wszystko i on sam już odpoczywał, teraz gość, którego tu od lat wielu nie widziano, trzymał dwór cały na nogach i w niepokoju jakimś.

Na wracającego do izby gościnnej Waligórę czekali wszyscy domownicy, by ich miał na

zawołanie. Lecz stary szedł upojony tem, co słyszał, co mówił sam. Szumiało mu w głowie, dzwoniło w uszach; odurzony, oślepy, włókł się, nie wiedząc dobrze, dokąd idzie.

Rozbudziło go dopiero światło, które z otwartych drzwi z jego komory sypialnej od ogniska połyskiwało.

Podniósł głowę i spostrzegł za progiem stojące córki swe, które się jeszcze nie były

pokładły, może dla wielkiej ciekawości tego przybysza, w którym się powinowatego domyślały, dobrze nie wiedząc, kto był. To samo, że ojciec, który nigdy nie przyjmował nikogo, wpuścić go dozwolił i tak długo z nim trwał na rozmowie, świadczyło, że mąż był w rodzie swym mocen i wielki.

Słyszały dziewczęta o świątobliwym biskupie Iwonie, a choć ze świata mało tu dochodziło, tem go były ciekawsze. Jak sam Mszczuj po za granice ziemi swej nie wstępował od lat wielu, tak i córki trzymał przy sobie zamknięte. Syna nie miał, owdowiał dawno, były one jedyną jego pociechą, ale i troską największą.

Spojrzawszy w izbę swą, zobaczył je obie na progu stojące, w bieli, z wianuszkami na

głowach, pół uśmiechnięte, pół nastraszone, a że od ogniska światło padało na nie silnie, jakoś mu w niem te dwie promienne dziewicze postacie wydały się, jak dwa widma straszne; drgnął. Dwie córki Mszczujowe były bliźniaczkami, tak do siebie podobnemi, że je nawet we dnie ojciec własny z trudnością mógł odróżnić. To bliźnięce podobieństwo czyniło nie tylko twarze białe, oczy niebieskie, kosy złote, wzrost, ruch i głosy jednemi, ale dawało im niby jedną rozpołowioną duszę.

Choć były zdala od siebie i nie wiedząc o sobie, dziewczęta myślały jedno, robiły jedno, pragnęły tego samego, smuciły się i śmiały razem. Obejść się też bez siebie nie mogły i nie umiały, a gdy przypadkiem na dłużej rozdzielić się musiały, tęskniły za sobą do szaleństwa. Zachorowała jedna z nich, musiała słabować druga. Nie potrzebowały mówić, aby się zrozumieć, myślały to samo. Razem się budziły ze snu, usypiały w jednej chwili. Jedna drugiej nie sprzeciwiła się nigdy.

Mszczuj kochał je równo, a naprawdę miłość dla nich była jakby miłością istoty jednej, podwojonej.

Miały po lat ośmnaście i zwały się imieniem jednym Halki, z tem tylko, że ta, co niby starszą była, Halki imię nosiła, a druga Hali.

Mszczuj wołał na nie jakby na jedną... szły razem na jego wołanie. Odziewały się też tak, że ich odróżnić było niepodobna; a suknie tylko cieńszą tkaniną różniły się od tych, jakie nosiły wiejskie dziewczęta, bo Mszczuj, z nienawiści ku Niemcom, nie dopuszczał do domu nic, coby obcym było wyrobem.

Najprzedniejsza rzecz, gdy nie swoja była, gdy się nie zrodziła na swej ziemi, w swoim domu, nie miała u niego łaski. Orężem nawet starym musieli się posługiwać jego ludzie, bo z Niemiec i z za granic przywożonego nie cierpiał, łamać kazał i wyrzucał. Wszelakiego też rzemieślnika miał w swoich osadach około Białej góry i nosiły one nazwiska od rzemiosł, którymi się ludzie w nich zajmowali. Żaden przekupień z Niemiec i Włoch, których naówczas już włączyło się mnóstwo po kraju, na ziemię jego stąpić się nie ważył. Wprawdzie wymykali się ludziska na sąsiednie targi pokryjomu czasem, aby sobie coś zagranicznego kupić, lecz musieli się z tem kryć, gdyż Mszczuj surowo za to karał.

Jednemu księdzu do Mszy świętej wolno było kazać przywieźć wina z Krakowa, ale uparty

Mszczuj, zasłyszawszy, że w Czechach dla wina do świętej ofiary kneziowie winnice zaprowadzili, u siebie też, od Benedyktynów z Tyńca latorośle przywiózłszy, kazał sadzić wino, którego, choć marzło i nie dojrzewało, wyrzec się nie chciał.

Tak było ze wszystkim u niego...

Zobaczywszy dwie swe Halki na progu, Mszczuj stanął i długo patrzył na nie.

— Czegóż wy tu stoicie jeszcze? — zapytał, głos swój łagodząc dla dzieci, — wszak to pierwsze kury piałły?

Halki spojrzały na się, oczyma się porozumiały i... nie dały odpowiedzi.

— Spać idźcie, — dodał Waligóra, — a wstawajcie mi do dnia, aby gościowi, bratu memu,

biskupowi Iwonowi, dopilnować polewki. Pobłogosławi was mąż święty, gdy się pokłonicie. Chcę, byście i na Mszy jego były.

Mszczuj, co miał zaraz ledz na posłanie, u ognia stanąwszy jak wmurowany, nie widząc chłopaka, który czekał, pozostał długo w zadumie głębokiej.

Wstrząsnęło nim całym to przybycie brata biskupa, od lat tylu niewidzianego, i zbliżenie się choć słowy do tego świata, od którego przez lat tyle głos żaden doń nie dochodził.

Nazajutrz do dnia kaplica zamkowa, która za kościół parafialny okolicy Białej Góry służyła, przygotowaną była na przy. jecie pasterza. Był to budynek nieopodal od dworu mieszkalnego, niezbyt obszerny, bo wszystkie dawne kościoły u nas w początku były niewielkie. W przybytku mieścili się zwykle duchowni i dostojni, a lud stał przede drzwiami.

Z drzewa pobudowany, nie odznaczał się niczem prawie, oprócz tego, że nad czołem miał

rodzaj wieżyczki niskiej z krzyżem, w której wisiał dzwonek, wołający na modlitwę. Zakrystya była do boku przyparta osobną izbą, sam zaś przybytek, drewnianą galeryjką niską przepołowiony, zawierał jeden ołtarz od ściany odstawiony, okryty obrusami białymi, szytymi wzorzysto, a na nim krzyż biały i świeczniki.

Dwie chorągwie, prztwierdzone z obu stron do galeryi, świeczniki z rogów jelenich przy

ścianach stanowiły całą ozdobę wiejskiego kościółka. Przez parę okien, zamykanych

okienniczkami, wlatywały i wylatywały, szczebiocąc, wróble, które zdawały się tu być, jak w domu.

Dwie Halki, które się bardzo cieszyły z przybycia biskupa i z nabożeństwa, któremu

przytomne być miały, od świtu już biegały około tego domu Bożego, do którego drogę wysypać kazały zielonym kosaćcem, a u drzwi zawiesić zielone gałęzie.

Staruszek w długiej sukni czarnej, człek pobożny, któremu nauki zabrakło tylko, aby mógł

księdzem zostać, jak sobie dusznie życzył, miał zdawna w opiece zakrystyę i pomagał

proboszczowi przy kościele. Nosił on opończę kleszą i miał się niemal za duchownego. On tu zawczasu wszystko z dziewczętami przysposobił, aby, gdy biskup wstanie, znalazł do Mszy świętej w pogotowiu, co potrzeba.

Wcześniej, niżeli się go spodziewano, ksiądz Iwo wyszedł z książką w rękę, na której

modląc się i nie patrząc co się w około działo, poprzedzany przez pacholę, dane mu do usługi, wprost udał się do kościoła.

U drzwi czekały nań w bieli poubierane dziewczątka, które z bijącym sercem patrzyły na

zbliżającego się, i gdy już podchodził ku nim, z pochyleniem główkami przyklęły, prawie mu zatamowawszy drogę.

Biskup je zobaczył dopiero, gdy już był u drzwi samych, podniósł oczy i z uśmiechem

dobrotliwym począł się im przypatrywać ciekawie. Dwie te postacie, tak bardzo do siebie podobne, taką młodością i niewinnością a prostotą jakąś wiejską nacechowane, wzbudziły w nim uczucie dziwne. Podniósł rękę złożoną do błogosławieństwa, lecz spytał wprzód:

— Dzieci moje... wszakci Mszczujowe jesteście? Tak?

Dziewczęta, nie śmiejąc odpowiedzieć, uśmiechnęły mu się wdzięcznie, obie jednym oblewając się rumieńcem.

— Niech was Bóg błogosławi! Niech błogosławi, aniołki moje, a zachowa tak czystymi, jak jesteście!

I począł żegnać je krzyżem świętym, gdy one, poję jego ręki ujawszy, całowały ją.

Waligóra, spostrzegłszy, że ksiądz Iwo poszedł do kaplicy, już za nim podążył. Z innych budynków, co było wiernego ludu, sunęło co prędzej, bo w tejże chwili Dobruch posłał chłopię do dzwonka i głos słaby kowanej kampany brzmiał już po grodzie, jakby w święty dzień niedzielny.

Uboga zakrystya nie mogła biskupowi dostarczyć szat takich, w jakich zwykł był zbliżać się do ołtarza. U Mszczuja i kościół nawet musiał obchodzić się domowymi wyrobami; kielich był

srebrny, ale z prosta ukuty, patena także, ornat szyty przez dzieci, w jaskrawe kwiaty na wełnianej tkaninie.

Dobruch sam szedł służyć biskupowi.

Nie zdawała się ta prostota i pozorne ubóstwo czynić wrażenia na pobożnym panu, który

wszystko, co miał, na chwałę Bożą obracał. Mszę świętą odprawił tak zatopiony w Bogu, w takim jakimś uniesieniu, iż nie widział nic, co się działo na ziemi; pobożność zaś ta tak była przejmującą wszystkich, tak przenikającą serca, iż Dobruch spłakał się przy Mszy, dziewczęta wyszły z niej, jakby powróciły z innego świata. Sam Mszczuj poczuł się zmienionym i zmiękkłym.

Co mogło tak podziałać na przytomnych, niktby powiedzieć nie umiał. Biskup czytał Mszę

świętą głosem cichym, nie śpiewał pieśni, nie kazał językiem zrozumiałym, szepcząc, odmówił

modlitwy — coś przecie w jego postawie, w ruchach, w wejrzeniu było takiego, że ilekroć się zwrócił do ludu, uginały się głowy trwożliwie, padali wszyscy na twarze i uczucie jakieś straszne a błogie przejmowało ich dreszczem. A gdy w końcu Mszy podniósł rękę do błogosławieństwa, Mszczuj stary miał łzy na powiekach.

Milczenie uroczyste w czasie nabożeństwa przerywał ledwie świergot wróbli.

Jesienny poranek, mglisty i pochmurny dotąd, nagle w końcu Mszy się wypogodził, obłoki białe roztwarły się i jasno zaświeciło słońce.

U drzwi kościelnych na modlącego się biskupa czekał Mszczuj z córkami swemi, które popłakawszy się przy Mszy, teraz, jak ptaszyny, już wesołe były i rozprawiały ojcu, jak je ksiądz Iwo błogosławił.

Znowu weszli oba do tej izby, w której Waligóra przyjmował brata wczoraj, a tu już zastawiony był ranny posiłek na stole i polewka gorąca w misach czekała.

Dziewczęta, doprowadziwszy gościa do progu, cofnęły się. Zostali sami.

Mszczuj posługiwał biskupowi, który po wczorajszym poście wcale się nie czuł osłabionym, ni głodnym.

Inna troska go zajmowała.

— Myślałeś, com ci mówił wczoraj? — zapytał ksiądz Iwo. — Ja, nie mogąc więcej, modliłem się, aby cię Duch święty natchnął.

Spojrzał nań: na twarzy Waligóry, wczoraj jeszcze jakby burzą wewnętrzną miotanej i

niespokojnej, dziś widać było niepewność, zwątpienie, słowem jednym, wahanie się, które wróżyło, że się opierać nie powinien.

Poznał to biskup łacno.

— Otwartym bądź ze mną, — rzekł. — Choćbym cię siłą i powagą mojego starszeństwa

pociągnąć mógł za sobą i skłonić do posłuszeństwa, nie chcę cię mieć nieprzekonanego, idącego mimo swej woli; chcę, abys i ty pragnął tego, co ja.

— Jedno powiem ci, — odezwał się Mszczuj. — Co wam po mnie! Zналиście mnie niegdyś

silnym onym Waligórą, który i na ludzi i na góry porwać się był gotów — dziś jestem inny! Długi ten spoczynek złamał mnie i osłabił, we własną siłę wiary nie mam... Aniby się jeden człowiek oprzeć potrafił temu, co może napisano w niebiesiech. Tak, jak to nasze królestwo, niegdyś wielkie, rozleciało się na kawały i zginąć może, tak może i Odrowążom przeznaczono paść, a Jaksom się ich łupem żywić. I na to patrz, że jam dziś ślepy, ludzi waszych nie znam, nawet tych, którym bliski byłem. Nie wiem, co się stało z Leszkiem, który rycerzem był dzielnym pod Zawichostem a ksiązęciem być nie umiał... Mógłżem ja to przewidzieć i odgadnąć, Iwonie mój, że urośniesz na tego

wielkiego Pasterza, który stać będzie na świeczniku? Tak samo dziś nie wiem, co się stało z tymi, których małymi znałem, czy wyrosli, czy skarleli? Na cóż się wam zdam taki ślepy i tak słaby?

— O, bracie mój, — ozwał się biskup, — niedługo ci uczyć się będzie potrzeba! Oczy masz wypoczęte, zobaczysz łącniej to, czego my, patrząc na to ciągle, obywszy się, już nie wiele postrzegamy. Odrowążom wodza potrzeba świeckiego, czynnego, tak, jak ja nim jestem i będę duchownym. Mnie nie na wszystko patrzeć się godzi, nie o wszystkim wiedzieć, nie wszędzie wnijsć, nie zawsze być surowym, gdzie potrzeba. Ja modlić się tylko umiem, przeczuć i zawołać, gdy czuję niebezpieczeństwo. Mówiłeś wczoraj o królestwie rozerwanem, iż mu biada; jać powiem to samo o rodzie który, gdy głowy nie ma, a spójny nie jest, przepada. Jesteśmy, jak trzoda, co się wilkom obroni, gdy stanie kołem zwartem, a gdy się rozsypie, rozchwycą je. Ale nie o ród nasz sam idzie mi, bracie, boć w mocy Bożej podnieść go i obalić: idzie mi o królestwo to, aby gorzej rozerwanem nie było i straconem dla tej chwały Pana Niebieskiego, na którą ono pracować miało, słowa jego przyjmując do duszy i mogąc je w życie wprowadzić. Zginiem my, padnie z nami kraj w moc barbarzyństwa i na pastwę ludzkich złości.

— A jaż się wam zdam do tak wielkiej sprawy, ja, człek tak mały? — zapytał Mszczuj. —

Anim nie dorósł Goworka, ani wojewody Mikołaja, ani Krystyna z Ostrowa, o którego losie doszły mnie wieści... Wiesz, jak oni wszyscy skończyli: Go worek na wygnanie musiał iść dobrowolnie, drugiego się matka Leszkowa zaparła i musiał się oddać Mieszkowi, służyć mu, całemu życiu kłam zadając. Krystyna wreszcie Konrad oślepić, uwięzić i zabić kazał za to, że mu służył i kraju bronił.

— Tak jest, — przerwał biskup z zapalem, — aleć to cnót wielkich działem jest na tej ziemi, że one cierpieć muszą za innych, i to ich tryumfem, że męczeństwem kończą. Ty się zaś złego końca nie masz co lękać, bo silną podporę mieć będziesz we mnie. Ja zaś, Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, siłę mam, jaką on mi dał na chwałę swą, i pożyć się nie dam łącno. Za mną i ze mną pójda biskupi wszyscy i ojciec nasz gnieźnieński, i całe wojsko nasze duchowne i cała potęga klasztorna.

— Więc pocóż ja? — zapytał Mszczuj.

— Ażebyś mi był prawicą, — zawołał biskup, — ręką, w którąby ja wierzył, jak we własną!

Waligóra zamilkł, głowę spuściwszy.

— Mów, bracie miły, jako stoicie? Co czynić mamy? — rzekł z cicha, już jakby na pół zwyciężony.

— Mamże ci ja opowiadać całe dzieje naszą, których byłeś w części świadkiem po śmierci Kaźmierzowej? — począł biskup.

— Tak jest, mów wszystko, bo nie wiem nic, — potwierdził Mszczuj. — Wszakci dziesięć

lat już tu żyję na tej pustyni, a co tu do mnie dochodziło, często tak w ustach ludzkich skrzywiło się, żem nie wiedział, ani skąd szło, ani dokąd! Na puszczy głosy giną.

Biskup zlekka poruszył ramionami. — Chciałeś sam o wszystkim zapomnieć i dla tego ci

już dziś powtarzać trzeba nawet to, o czem wiedziałeś.

Mszczuj, na rękę oparty, gotował się w milczeniu do słuchania, a Iwo z wolna rozpoczął opowiadanie.

I począł biskup opowiadać długo Mszczu-ł jowi, który go słuchał z natężoną uwagą, jaki to się z dopuszczenia Bożego zmarło Sprawiedliwemu Kaźmierzowi. Po Kaźmierzu została wdowa Helena, dobra pani, ale słaba niewiasta i dwóch synów, Leszek i Konrad. Ledwie Kaźmierz oczy zamknął, powstał spór, czy syn jego Leszek, czy też stryj Leszka, Mieszko, obejmie księstwo krakowskie, a z niem zwierzchnictwo nad całym krajem. Panowie krakowscy, licznie zebrani, poczęli się naradzać, kogoby osadzić na opróżnionym tronie. Panowie krakowscy przyznawali władzę Leszkowi, ale i Mieszko miał swoich! przyjaciół. Jedni z drugimi wojowali, palili! wsie i miasta, a naród cierpiał głód i nędzę. Opowiadał dalej obszernie, Jako wsparty! przez książąt śląskich, wkroczył opiekun małoletniego Leszka, Mikołaj, wojewoda krakowski, do Małopolski, wezwawszy na pomoc ruskiego księcia Romana i jak przyszło!

do bitwy pod Mozgawą, w której obie strony poniosły straty. Ale Mieszko przegrał bitwę, utracił syna Bolesława. Wtedy przez czas niejaki rządziła Leszkowa matka, Helena, aż wreszcie Mieszko postawił na swoim i skłonił słabą niewiastę do tego, iż przestając na księstwie sandomierskim, oddała mu Kraków. Ale go wkrótce stamtąd wygnano i śmierć jego w Kaliszu położyła kres dalszym jego knowaniom.

A dalej opowiadał biskup, jak to Mikołaj, wojewoda krakowski, z nienawiści do Goworka, wojewody sandomierskiego, a opiekuna i nauczyciela Leszkowego, którego młody książę ceniąc i kochając, nie chciał oddalić, usunął Leszka i dokazał tego, że ogłoszono księciem krakowskim Władysława Laskonogiego, syna Mieszka. Ale rządy jego nie trwały trzech lat nawet, bo gdy umarł wojewoda Mikołaj, usunięto Laskonogiego, aby przywrócić prawowitego pana.

Wspomniał jeszcze biskup, że knują się spiski przeciwko Leszkowemu panowaniu, w

których bierze udział i Odonicz Plwacz i Konrad mazowiecki i Światopełk pomorski, głowa rodu Jaksów; wiernymi pozostali tylko książęta śląscy, ale jak długo, to Bóg tylko raczy wiedzieć.

— Tak, bracie mój, — zakończył długą swoją opowieść biskup, — Leszka wszelkimi siłami należy popierać.

To mówiąc, nad schyloną głową starego Waligóry biskup w powietrzu ręką drżącą krzyż zakreślił.

— Wstań, — rzekł, — i idź, błogosławię ci! Rzuć wszystko, a towarzysz mi; zobaczysz

oczyna własnymi, jako był potrzebny. Z dawnych czasów znasz pewnie niektóre książęta, poznasz innych; zobaczysz, jakim się stał Leszek nasz, którego my wychowaliśmy.

Waligóra powstał, posłuszny rozkazaniu, lecz w męskich oczach łzy mu się zakręciły.

— A dzieci moje? — wyjąknął po cichu.

— Cóż dzieciom twym na tym gródku zamkowym zagraża? — odezwał się biskup. —

Jedna chyba tęsknota za tobą! Nie będziesz przecie tak zaprzątniętym sprawami naszymi, ażebyś do domu zaglądać nie mógł Stara niewiasta, ochmistryni, zostanie z niemi, służba wierna.....

— A! bracie, matki nie mają, a ojca nic im nie zastąpi, — westchnął Waligóra.

— Dlaczegożbyś córek nie miał z sobą wiaść do Krakowa? — zapytał biskup.

Słyszając to, wstrząsnął się Mszczuj.

— Niech Bóg uchowa! Do miasta je brać, na ludzkie wejrzenia narażać. Nie! nie!

— Pobożne są, — rzekł Iwo z cicha, — gdzież większe szczęście i spokój dla nich, ieżeli nie w klasztorze? Gdybyś chciał, czemuby nie miały z księżniczką Adelajdą, siostrą pana naszego, Leszka, mieszkać w Sandomierzu?

— Nie, — odparł Mszczuj, — nadto do swobody nawykły.

— Przecież co myślisz na przyszłość dla nich?

— Sam nie wiem, — westchnął ciężko Waligóra. — Skarb to mój jedyny, z którym mi się

rozstać będzie trudno, który nie wiem, jak podzielić. Pan Bóg mnie nim ubłogosławił i pokarał, bo są jako bliźniaczki przywiązane do siebie tak, że żyćby rozdzielone nie mogły i trzeba by chyba dla nich na mężów dwóch braci, jak one z jednego ojca zrodzonych, coby się rozłączać nie chcieli.

— Któż wie, — szepnął Iwo, — ażali to właśnie znakiem nie jest, że one są przeznaczone

dla tego Oblubieńca niebieskiego, którego serce starczy dla milionów?

Mszczuj nie odpowiedział nic. Pomimo troski o córki, był już tak pod władzą biskupa, iż mu się opierać nie śmiał.

— Idź teraz, — odezwał się Iwo, — urządź sprawy swe domowe, zdaj rządy, opatrz grodek, abyś mi w imię Boże mógł towarzyszyć. Zabieram cię z sobą.

Waligóra i przeciw temu rozkazowi nie śmiał słowa rzec, skłonił głowę i wyszedł, a biskup, korzystając z chwili, leżącą na stole księgę otworzył i spokojnie modlić się zaczął.

A na modlitwie czas mu zwykł był upływać tak prędko, iż nigdy się z nim policzyć nie mógł, choć Waligóra zabawił długo, nie opatrzył się Iwo, gdy go ujrzał wchodzącego z powrotem do izby.

Gdy nań obrócił oczy, za ledwie w nim poznał widzianego przed chwilą. Waligóra zmuszony do podróży, musiał zmienić odzież, przywdziać zbroję, dawno już nie noszoną i jakby po latach zdomowienia znowu do młodszych, zabytych obyczajów powrócić.

Lecz jakże Iwonowi, nawykłemu do nowych rycerskich zbroi, oręża i stroju, wydał się dzikim i dziwnym! Wszystko to, co na sobie miał, niezgrabne, ciężkie, miało cechę prastarą i w oczach ludzi na dworze Leszka i innych książąt czyniłoby Mszczuja śmiesznym.

Skórzany pancerz z zardzewiałymi łuskami, chodaki grube, powiązane powrozami prostemi, odzież ze skór wyprawnych w domu, sukno z krosien własnych, niebarwione, kołpak, który w rękę trzymał, z obręczami żelaznymi, biskupowi, nawykłemu do rycerstwa włoskiego, do dworaków cesarskich, do świetnych strojów śląskich panów — wydały się niegodnymi potomka Odrowążów.

— Najmilszy bracie! — zawołał, widząc wchodzącego, — Bóg widzi, że do sukni i

marnego przepychu nie przywiązuje wagi, która grzechemby była, lecz nie potrzeba, byś oczy ludzkie zbyt ściągał na siebie, a w tem ubraniu i uzbrojeniu... głupi palcami wytykać cię i śmiać się z ciebie będą.

— Toby najmniejszym było, — odparł Waligóra, — bo mi ich śmiech, równie jak poklask,

obojętny. Gorsza to, iż waszej miłości wstyd bym uczynił mojem ubóstwem wiejskiem. Lecz wszystko to, co do nas z Niemiec przywożą, — dodał, — obrzydłe mi i obmierzłe, przeto i zbroi nowych nie mam i nad stare nasze domowe mieć nie chcę.

Iwo się uśmiechnął.

— Więc chybaby ci z Włoch lub dalszego jakiego kraju je sprowadzić, — rzekł, — a

tymczasem choć opończę weźcie, abyście jechać ze mną mogli... Odrowąż musi rodowi swojemu możnemu, dopóki w świecie jest, postawą odpowiadać. Świecić nie trzeba i śmieszyć nie można.

Czesław i Jacek, kochani moi, grube suknie noszą, ale ci z Bogiem, nie ze światem obcują, a tobie przypada część cięższa: sprawa z ludźmi.

Waligóra stał, ku oknu patrząc.

— A! gdybyście mnie nie wyciągali stąd! — westchnął.

— Bogu, nie mnie służyć będziecie, — odparł biskup, — bo różne są drogi i powołania, a i w klasztorze i na świecie Jemu jednemu służyć trzeba. Nie dla siebie biorę cię, ale dla Pana.

Waligórze głowa na piersi opadła, zawahał się i wyszedł krokiem powolnym.

Słońce już się było pochyliło ku zachodowi, gdy z gródka na Białej Górze wyruszył Iwo, a za nim ciągnął, zwracając głowę ku domostwu, u którego słupów stojąc, dwie Halki płakały, stary Mszczuj, otulony ciemną oponczą. Jechał jakby jeniec w niewolę wzięty, sercem się odwracając ku spokojnej siedzibie swej, w której lat tyle przebył wśród ciszy, powracając znowu do walki, którą miał za skończoną, do ludzi, których się był wyrzekł, do pracy, od której odwyknął.

— Bogu na chwałę! — mówił w sercu swem stary.

IV.

Na obozowisku krzyżackim po odjeździe biskupa zabawiano się długo rozmowami,

którymi niewiele się młodzież zbudować mogła. Płaszcz z krzyżami, które mieli na ramionach Konrad z Landsbergu i Otto z Sa- leiden, wcale ich nie powstrzymywały od wesołych rozpraw o świeckich rzeczach, o przygodach na Wschodzie, w których piękne niewiasty grały rolę

niepoślednią, przeważnie o rycerskich dziełach, o zabawach wesołych w czasie tych wypraw do Ziemi świętej, którym towarzyszyły nie święte kumoszki i nie pobożni pieśniarze.

Mówiono o łupach bogatych, przy zdobywaniu miast wziętych, o pochwytyanych pięknościach i o losach, jakim później ulegały w niewoli.

— Ze wszystkiego, co tu widzimy po drodze, wnosząc, — rzekł ryży Otto, — nic się

podobnego w tych krajach spodziewać nie możemy. Wprawdzie ziemię posiąść będzie łatwo, lecz złota i srebra ona nie rodzi... a lud do zwierząt podobniejszy jest, niż do człowieka.

— Juści z Niemiec do nas osadnicy napłyną, byleśmy kraj ten od dziczy pogańskiej oswobodzili, — odezwał się starszy Konrad.

— A tymczasem, — rozśmiał się Gero, bratanek jego. — niczego pono nie mamy wyglądać, oprócz ran od ich oszczepów, a w zdobyczy — kozuchów i tarczy łubianych!

— Jedna rzecz będzie pociechą, — wtrącił młody Hans von Lambach, — a przyznaję się, że ta mi się niepospolicie uśmiecha — to kraj łowów: zwierza mnóstwo! Jeśli gdzie, to tu się człowiek napoluje do syta!

— Lubię i ja łowy, — rzekł towarzysz jego Gero, — przecie one mi nie starczą: po łowach dobrze

mieć się przed kim z nimi choć pochwalić, tu zaś nie będzie nawet z kim pogwarzyć.

— Mylisz się, — przerwał mu stryj Konrad, — na dworach książąt życie po naszymu, niemieckie, język — nasz, śpiewy — naszą, ludzie z naszych ziem.

— Tylko kobiet tu naszych brak, — rozśmiał się Gero.

— Są i kobiety nasze, — westchnął Krzyżak, — ale to bieda, że jak żona księcia Henryka, Jadwiga... święte bardzo i pobożne, zatem i na dworze ich więcej słyhać psalmów, niż pieśni miłosnych.

— Eh! — odezwał się Hans, — darmo by już i mówić o tem, co tylko tęsknotę obudza, — gadajmy lepiej o łowach. Ja jutro już muszę trochę w las się puścić, bo mi dłonie świerzbią.

— My jutro w dalszą drogę musimy, — rzekł sucho Konrad von Landsberg, który dowodził całym oddziałem.

— Musu przecie nie ma, — ciszej odezwał się von Saleiden, — co za mus? Moglibyśmy dać tu koniom się odpaść jeden dzień, a młodzieży dać trochę po lasach popłądrować.

— Tak! tak! — rzekł szyderczo Konrad, — żeby gdzie wpadli na książęce lasy i straże albo na jakie ostępy biskupie lub opacie i kłopotu nam naciągnęli!

— Cóż znowu! — krzyknął Hana, — przecie tym, co niosą życie w obronie wiary na pogan, nikt nie może zabronić rozrywki niewinnej. Radbym widzieć biskupa lub opata, coby śmiał to zrobić! Starsi się rozśmieli.

— Patrzcie go, jaki pewny siebie, choć jeszcze krzyża nie nosi! — zawołał Otto, — a cóż to będzie, gdy was do zakonu przyjmujemy!

— Więc choćby nam, Krzyżakom — dodał Konrad, — wolno było coś więcej, to nie wam, którzy jeszcze nimi nie jesteście.

— Dodaj, stryju kochany, — rzekł Gero, — że podobno oba nie będziemy nimi nigdy. Pójść z wami, polować na dzikich ludzi — zgoda, ale śluby składać na cały żywot...

Śmiano się i dowcipkowano.

Wśród gwarzenia młodzież potrafiła starym, którzy do kubków często zaglądali, wmówić, że konie potrzebowały odpoczynku, a oni polowania. Czeladź, której się spieszyć nie chciało,

przywołana na świadectwo, potwierdziła to, że spoczynek był dla zmęczonych szkap zbawienny.

Zatem rankiem pozwolono się Geronowi i Hansowi sposobić do łowów w lasach sąsiednich, o które nikt się nie troszczył, czyje były, ani o pozwolenie na myśliwstwo. Rycerzom niemieckim zdawało się, że na całym świecie wszystko im było wolno.

Otto von Saleiden, choć starszy od dwóch ochotników, dał się też skusić na łowy. Konrad tylko, jako dowodzący oddziałem, postanowił pozostać przy swych knechtach w namiocie i wypocząć do dalszej podróży.

Tego dnia, gdy biskup bawił jeszcze na zamku w Białej Górze, Gero, Hans i Otto ruszali ze świtem w lasy, zabrawszy psy, które mieli z sobą i dwoje czeladzi.

Nie znali wcale okolicy, lecz nawykli byli w podróży kierować się po słońcu drzewach i ścieżynach, nie obawiali się więc zabłąkać, a nie myśleli zbyt głęboko w puszcze zachodzić.

Mglisty ranek jesienny, wilgotny, psom i myśliwym sprzyjał. Zaledwie się puścili od skraju w gęstsze zarośle, gdy gończe ich zławiać poczęły i odzywać się, jakby już zwierza tropiły.

Zagrzało to młodych myśliwców, którzy ochoczo za nimi podążali. Lecz las mało widać

był spolowany, zwierza w nim się legło wiele; psy, coraz to nowe trafiając ślady, to tu, to owdzie, zrywały się i goniły. Sami łowcy widzieli w gęstwinach przemykające się sarny i pomniejszego zwierza, nie mogąc ani z łuku strzelić, ni inaczej go dosięgnąć. Choć się zrazu wszystko obiecywało najpomyślniej, ale zdawało urągać dwom niedoświadczonym, a gorącym chłopakom, z których starszy Otto wyśmiewał się, sam więcej świadkiem chcąc być, niż współuczestnikiem zabawki.

Szyderstwami jego pędzeni Geron Hans coraz żywiej gnali za psami w las, starając się tylko razem się trzymać i być sobie pomocą. Parę razy udało się im strzelić z ciężkich łuków, ale bełty poszły próżno, lub utkwily w drzewach.

Cały tak czas do południa, męcząc siebie i konie, postradawszy psy, które daleko odbiegły i których głos ledwie niekiedy ich dochodził, nic nie wskórawszy, błakali się po lesie; aż ostrożniejszy Otto, ciągle z nich szydząc, nakazał spocząć i sam legł, wołając, aby na psy trąbili.

Słońce się już w góry podniósłszy, z obłoków wybiło, dzień stał się prawie gorący, więc na pagórku wstrzymawszy się, wszyscy zabrali się wytchnąć nieco i posilić.

Oba młodzi przeklinali lasy tutajsze i zwierza, który, jakby na szyderstwo, pokazywał się gęsto, a pochwycić nie dawał.

Trąbiono na psy, rozkładając zapasy wzięte z namiotu, z których głodny Otto najpierwszy skorzystał, bo Gero i Hans sprzeczekali się, nawzajem na siebie składając winę niepowodzenia.

Powrócić do obozu z próżnymi rękami wstyd było, a choć Otto radził już mieć się do

odwrotu, wyprosilili mu się młodzi, by im pozwolił próbować jeszcze szczęścia. Psy też po jednym, z językami powywieszanemi zziajane, powoli ściągały. Jeden z czeladzi przybył także opowiadając, iż napotkał stado dzikich świń, które musiało przylegnać niedaleko w gęstwinie.

Porwał się zaraz Hans, rzuciwszy jadło i ciągnąc za sobą Gerona, psy nawołując, puścił się z pachołkiem, który mu miał wskazać, gdzie się z dzikami spotkał. Odbiegli nie wiele od tego miejsca, w którym Otto leżał jeszcze na murawie, gdy pod kłodą olbrzymią, na pół przegniłą, nagle ruszyło się coś i zaświeciły dwa ogromne białe kły dzika.

Psy już z obu stron próbowały chwycić starego odyńca, który z ciężkością zdawał się z pod kłody dobywać. Gero i Hans, oba naprzód wypuściwszy strzały, które gdzieś w grzbiecie potwornej bestyi uwięzły, do- bywszy mieczów, śmiało z nimi rzucili się na dzika, ogarniającego się psom natrętnym.

Hans przypadł pierwszy ku niemu, gdy, dotąd jak nieruchomy, nieprzyjaciel nagle skoczył

na biegnącego i kłem nogę mu rozplatawszy, obalił go na ziemię. Gero, który za nim pędził z podniesionem żelazem, nie miał czasu uskoczyć mu z drogi i cięty, z kolei padł, mając jeszcze tyle odwagi, że miecz cały dzikowi wraził w szyję. Z nim razem uchodził, krwawiąc się, ranny, a psy szarpały go, przytrzymując po drodze.

W gąszcz się zaszywszy, znikł im z oczów.

Hans usiłował się podnieść, nie czując zrazu, by rana była ciężka, lecz zaledwie na rękach się sparł, by się podźwignąć, padł twarzą na ziemię i przytomność postradał, krew lata mu się z nogi strumieniem!

Gero miał też nogę podciętą do kości, na której ostry kiel się zatrzymał; rana jednak mniej była niebezpieczną, czy on silniejszy, bo nie straciwszy zmysłów, miał czas trąbkę ująć i choć słabo odezwać się o ratunek.

Krzyki, które im obu w chwili, gdy padali, mimowolnie z piersi się wyrwały, powołały ku nim Ottona i pachołków.

Gdy Salaiden przybiegł na miejsce, przytomny jeszcze Gero wskazał mu nieopodal leżącego Hansa, który był wyciągnięty na ziemi jak trup, nie dając znaku życia.

— Macie wasze polowanie! — krzyknął gniewnie Krzyżak, opatrując Hansa, którego bladą głowę podniósł w rękach, patrząc zarazem na okrwawioną i rozplataną nogę.

Do rycerskiego rzemiosła należało wówczas umieć sobie radzić z ranami w pierwszej chwili i Otto też, złożywszy omdłego na murawie, naprzód rzucił się nogę zawięzywać, aby upływ krwi powstrzymać. Gero, choć osłabły, toż samo już zabierał się czynić z raną swoją. Czeladź też wróciła, spiesząc na ratunek.

Obwiązano Hansowi chustami straszne owo cięcie, na którego widok Otto głową

potrząsając, ledwie nie zwątpił o jego życiu. Gero też ścisnął nogę swą, na którą jednak stąpnąć nie mógł. Cucono Hansa, dającego jeszcze znaki życia, a tymczasem z porady Ottona jeden z czeladzi siadł na koń, aby szukać jakiegoś ratunku i przytułku.

Choćby się obu rannych udało dowieść do obozu, nie było tam co poczynać z nimi, a póki żywi, nie godziło się ich opuścić.

Otto klął zuchwałą i nieroztropną młodzież, która zamiast im być pomocą, stawała ciężarem. Łajał Gerona, który milczał, Hansowi zaś powracające omdlenie nie dołączało słyszeć, ni rozumieć, co się w około niego działo.

Tymczasem miało się już ku wieczorowi a posłany chłopak nie powracał. Szczęściem

wybrał się był taki, który cokolwiek mowę tutejszą mógł zrozumieć, bo sam z Pomorza pochodził, lecz dzieckiem gdzieś zabrany, przez Niemców został wychowany. Można więc było mieć niejaką nadzieję, iż natrafiwszy gdzie na ludzi, pomoc sprowadzi. Ale dokoła był las gęsty i na mieszkanie, chatę człowieka nie łatwo mógł natrafić. Szczególnego na to szczęścia trzeba było.

Zmierzchało się już, gdy w krzakach dał się słyszeć szelest i głosy, a po chwilce ukazał się wysłany, prowadząc za sobą starą kobietę, wylękłą, chudą, okrytą koszulą zgrzebną, z siwymi włosami, rozrzuconymi na głowie, jakby drapieżna ręka chłopca targnęła się na nie. Prowadził też ją, opierając się mu, jak niewolnicę, poganiając bez litości.

Gdy na polankę ową wyszli, a baba zobaczyła leżącego na niej Hansa, Gerona skulonego, z nogą obwiązaną i dumnej postawy Ottona, ulękła się bardziej jeszcze i składając ręce, rzuciła się na kolana.

Chłopak, który ją przyprowadził, niemi, łosiernie smagał ją po plecach. Sam pono nie

wiedział, dla czego się tak znęcał nad starą, ale ze strachu o rannych przytomność postradał, a nikogo oprócz baby nie znalazłszy w lesie, przygnał ją bezmyślnie prawie. Rozmówić się z nią było trudno.

Otto, przytomniejszy od innych, widząc, że krzyk i groźby mogą tylko większym strachem

ją nabawić, zbliżył się do klęczącej i proszącej o miłosierdzie, pokazując jej rannych i rękami tłómacząc, że potrzebowali ratunku. Na poparcie tego języka i ruchów rzucił jej kilka srebrnych pieniążków.

Widok ich podziałał szczęśliwie i baba ośmielona wstała, zbliżając się ku leżącym na ziemi; ale popatrzwszy na okrwawione chusty, zaczęła pokazywać także rozłożonemi szeroko rękami, że ona nic na to pomódz nie może. Wskazała jednak stronę, w której ratunek mógł się znaleźć, a chłopak, co ją przyprowadził, wyrozumiał z jej mowy, że należało poranionych zanieść do bliskiej chaty. Stara ofiarowała się prowadzić do niej.

Ale Hansa nieść było potrzeba, a Gero, choć mógł się wlec z biedy, wspierając się na

ramieniu jednego z pacholków, często musiał spoczywać — i nierychło mogli dojść do schronienia obiecanego.

Na prędcie musiano zrobić nosze, które do dwóch koni przytwierdzić było trzeba; na jednego z nich Gero ofiarował się wdrapać i próbował, czy nie potrafi jechać. Nim się znalazły gałęzie, sznury i nim się nosze urządziły, w lesie zupełnie ściemniało; baba mogła, niestrzeżona, łatwo się wymknąć, ale owe srebrne pieniądze uczyniły ją wielce ochotną i czynną. Pomagała więc czeladzi, chodziła, wyszukiwała i zręcznie splatała gałęzie, na które Hans miał być złożony.

Według jej zaręczenia mogli, zwolna się wlokąc, dojść do obiecanej chaty przed nocą. Gdy wszystko było nareszcie gotowe, cały ten pochód z Ottonem na przedzie, któremu baba

towarzyszyła, zapuścił się w las powoli Gero mężnie znosił boleść, zaciąwszy zęby i nie chcąc się okazać słabym; Hans jęczał i omdlewał, cucono go więc wodą i pocieszano tem, że podróż nie potrwa długo.

Otto choć milczał, w duchu przeklinał całe tę szaloną wyprawę młodzików.

Baba prowadziła gąszczami bez drogi dosyć długo, dopóki nie dostali się na jakąś ścieżkę widoczniejszą. Tu już nadzieja wstąpiła w serce, bo stara coraz ręką ukazywała przed siebie, oznajmiając, iż byli niedaleko od chaty.

Jakoż między gałęzmi zabłysnęło światełko, w powietrzu dał się czuć dym, drożyna

szerszą się stała i jakieś zabudowania ukazały się przed nimi. Była to chata leśna, siedząca na pół w ziemi, pół nad ziemią, przyparta do wału, ostrokołów i wrót, co je zamykały.

Znaleźli się właśnie u tej granicznej strażnicy Białej Góry, przez którą przed niewielu godzinami przejechał nazad biskup Iwo, wiodąc z sobą brata. Orszak biskupi, który tu nań oczekiwał, wyruszył za nimi.

Baba, wyprzedzając Ottona, pobiegła dać znać stróżowi — a ten, uzbrojony w swój drąg

kuty, zjawił się przestraszony. Od lat wielu, jak tu siedział, pilnując granicy, nie trafiło mu się nigdy naraz dwóch podróźnych widzieć u tych wrót, które stały zawsze zaparte, wpuszczając i

wypuszczając tylko rzadkich posłańców Waligóry.

Stary był przerażony i gniewny tym ruchem, który przerywał mu spokój zwykły. Wyjazd pana, który nigdy z zamku się nie ruszył, niebytność jego w domu jeszcze pomnażała jego trwogę.

Przywlókł się sam, aby przypatrzeć się przybywającym, a widząc na noszach rannego i

skaleczonego na koniu, a obok dumnie nakazującego rycerza Ottona, stracił głowę.

W chacie, w której on sam mieścił się z żoną i wyrostkiem, nie było dla podróźnych nawet barłogu wygodnego, aby ich złożyć można; dla koni brakło szopy, a na pobyt dłuższy — pokarmu dla ludzi.

Otto tymczasem, pobrzękując mieczem, krzyczał i klął, aby chatę opróżniono. Stary stróż, ze strachu nie wiedząc, co począć, zbiegł do chałupy, drzwi zamknął i drągiem zawalił ze środka, okiennice zasunął i zdał się na wolę Bożą.

Baba napróżno szturmowała do okien zamkniętych, usiłując przekonać stróża, aby przyjął rannych do siebie.

Tymczasem Hans jęczał coraz boleśniej.

W niewielkim oddaleniu był obóz krzyżacki, ale Otto o nim nie wiedział, zupełnie się

zbląkawszy na polowaniu; gwałtownie trzeba było szukać jakiegoś ratunku dla poranionych. Baba, przekonawszy się, że stróż ich tu nie przyjmie i nie myśli im otwierać, choć mu nagrodę obiecywano, zaczęła niewyraźnie bąkać o Białej Górze.

Chłopak, który się coraz lepiej z jej mową oswajał, wyrozumiał z tego, iż jakiś gród był za wrotami temi niedaleko i że do niego nie puszczano nikogo.

Temu uwierzyć nie chciał.

Otto von Saleiden, gdy tylko mu o Białej Górze oznajmiono, natychmiast postanowił z

rannymi jechać do niej, zwłaszcza, iż grodek miał leżeć niedaleko. Wrota wprawdzie stały zaparte przed nimi, ale na to Krzyżak wcale zważać nie myślał. Zakląwszy okrutnie, dał znak, by ku nim jechać, sam zaś, zsiadłszy z konia, począł do starych wrót się dobijać; czeladź wyłamała je łatwo.

Dopiero usłyszawszy ten łomot, stróż, który się zamknął w swej chacie, wybiegł z drągiem bronić, ale naówczas już Otto i ciągnące za nim konie, baba, która drogę pokazywała i cały ów pochód przebył okop, ostrokoły i puścił się drogą ku zamkowi.

Noc była ciemna i chłodna, a mgła jesienna okrywała doliny, w górze tylko gdzieniegdzie gwiazdy migotały blado, gdy Otto znowu ujrzał przed sobą bramę. Począł z całych sił trąbić.

Tych wrót obronnych ani mógł myśleć zdobywać.

Stanęli, oczekując, aby się kto zjawił od grodu. Nierychło coś zaszarzało na wyżkach i słaby głos począł pytać — kto i czego chce tutaj?

Pytania trudno było zrozumieć, a niemiecka odpowiedź Ottona ten skutek miała, iż człowiek znikł z wyżek i nastąpiło głucho milczenie.

Otto znowu niecierpliwie trąbił, a dobierał najwrzaskliwszych głosów swojego rogu, tak że musiały wszystkich pobudzić.

Wzdłuż wałów i na bramie zaczęli pokazywać się ludzie i oglądać na stojących wrót, lecz nie okazywali ochoty ni do rozmowy, ani do otwierania. Stara przewodniczka wzięła zatem na siebie

przemówienie do ludzi zamkowych. Opowiadała im coraz głośniej i krzykliwie], gdzie i jak tych Niemców napytała i jak się tu dostali.

W ostatku ktoś złażał ją za to, że naprowadziła na gród nienawistnych ludzi, jakby nie wiedziała, że noga ich nie powstała nigdy na gródku Waligóry.

Po długich krzykach i sprzeczkach ktoś z góry, czy miłosierdziem tknięty, czy chcąc się zbyć niepokoju, kazał podróżnym jechać pod wałami na podzamcze i tam w jakichś szopach szukać schronienia. Przystępu do zamku wzbroniono zupełnie. Pana w domu nie było, a gdyby ten o Niemcu u siebie się dowiedział, własnąby spalił siedzibę, żeby ślad stóp jego zatrzeć.

Już Otto miał się według wskazania skierować ku szopom, do których też sama baba

prowadzić się ofiarowała, gdy do stojącego na koniu Ottona zwiesiła się z bramy głowa człowieka, którego pociemku rozpoznać mu było niepodobna i który cicho a ostrożnie łamaną niemiecką mową rozpytywać zaczął.

Posłyszawszy zrozumiałe mu wyrazy Krzyżak miał się za ocalonego.

— W imię Zbawiciela i Matki jego, Najświętszej Maryi Panny, której my sługami jesteśmy,

— krzyknął zapalczywie, — cóż to za kraj? Jacy w nim mieszkają ludzie? Czyśmy już do pogan się dostali? Jesteśmy zakonnicy szpitalni niemieckiego domu z Jerozolimy, jedziemy, przyzwani przez księcia Konrada, do objęcia danej nam ziemi i walczenia z poganami. W drodze młodzież naszą spotkał przypadek w lesie: sroga bestya, na którą się nierozważnie rzucili, poraniła ich okrutnie.

Żebyśmy też przytułku i ratunku nie znaleźli!

Z góry dało się słyszeć westchnienie.

— Kraj-ci to chrześcijański, — odparł głos, — ale pan gródka tego z niemieckimi rycerzami i nierycerzami wcale do czynienia mieć nie chce. A i doma go nie ma; bez niego zaś nikt się tu was wpuścić nie waży.

— I dacie tym szlachetnym młodzieńcom ginąć marnie? — zawołał Otto rozpaczliwie.

Na to nie dano odpowiedzi, aż po chwili ktoś rzekł cicho:

— Jedźcie tam do szop na podwalu, jedźcie. Chróstu jest dosyć, by ognia zapalić, a i woda w pobliżu się znajdzie. Może się uda dać wam stąd pomoc jaką.

— Macie pewnie kogoś, coby umiał rany opatrzyć, przyślijcie go, zapłacimy! — krzyknął

Otto dumnie.

— Jedźcie! — powtórzono z góry, Znowu tedy przybyli musieli ciągnąć drogą na podwalu,

aż się okazały szopy opuszczone, z chróstu plecione, z dachami na pół poobrywanymi. Dawno widać nikt tu nie mieszkał oprócz bydła, gdy je burza z pola wracające napadła. Lecz co poczynać mieli?

Baba, dowiódłszy ich tu, a bojąc się pewnie, by ją za posługę Niemcom nie karano, przyszła do Ottona pożegnać się, to jest o zapłatę się upomnieć i zamyślała uchodzić. Niemiec znowu dał jej trochę pieniążków, ale puścić nie chciał, bo służyć nie było komu.

Kazano jej chróst zbierać i ogień niecić, a że czeladź pilnowała, musiała więc być posłuszną.

Była już noc późna; na gródku słyszeli piejące kury i naszczekujące psy, które poczuwszy obcych, straszliwie na wałach ujadły i wyły.

Gdy ogień zapłonął, Otto mógł dopiero nieco się rozpatrzeć po okolicy. Z jednej strony we mgle nocnej majaczyły bory czarne i płaszczyzna, która się zdawała błotnistym moczarem; z drugiej sterczało nad nimi grodzisko, góra, wały i ostrokoły. Nawykłe do postrzegania oko Krzyżaka dopatrzyło w pewnem oddaleniu małą furtę w ostrokole od której kręta ścieżynka prowadziła ku szopom.

Otto jeszcze się rozglądał, gdy u furty zobaczył jakiś cień człowieka, który zdawał się z niej wysuwać i ostrożnie ku niemu spuszczać ową drożyną. Nie dowierzał swym oczom, lecz po chwili człek ten zbliżyć się zaczął ostrożnie i Krzyżak mógł nawet rozpoznać, że był przygarbiony, niewielkiego wzrostu, osłonięty opończą z kapturem. Światło od ogniska padało na niego i długi cień idącego na pochyłości góry wyciągnął się, ruchomy, ginąc w mrokach.

Otto śmiało wystąpił przeciwko niemu Postrzegłszy go idący, kroku zwolnił i oba ciekawie przypatrywać się sobie zaczęli. Zamkowy człek z bladą twarzą miał postawę nierycerską, a broni żadnej — Otto nie miał potrzeby obawiać się go, a był też tak mężnym, że i czterechby się nie uląkł.

Był to ksiądz Żegota. On też, ciekawością i miłosierdziem powodowany, dobył z siebie tych kilka słów niemieckich, niegdyś wyuczonych, gdy się na duchownego przy niemieckich

zakonnikach sposobił. Nigdy on się z tym językiem nienawistnym nie wydawał przed Waligóra, zapomniał go nawet wiele, ale dziś rad był, iż cokolwiek jeszcze mu z niego zostało.

Pamięć młodości a może i zbytnia nienawiść Waligóry ku Niemcom budziły w starym księdzu Żegocie uczucie przeciwne.

Pomimo więc, iż wykradając się z gródka do nienawistnych Niemców, narażał się na gniew

Waligóry, biegł ksiądz Żegota w pomoc tym, którzy jej potrzebowali. Strach go przejmował, ale szedł, zakrywał twarz, zmienił głos, a wstrzymać się nie mógł.

— Czem można być wam pomocą? — wyszeptał, zbliżając się do Ottona. — Wcale źle was

do tego miejsca przyprowadzono: nasz miłościwy pan, komes Mszczuj Odrowąż z Białej Góry, możny i wielkiego rodu mąż, nie lubi waszego narodu. Gdyby był w domu, nicby się tu nie można spodziewać, odpędzićby kazał. Ja jestem kapłanem i choć wiem, że za to pokutować mogę, radbym braci zakonnej służyć; alem ja człek biedny i sam niewiele potrafię, choćbym najmocniej chciał!

Otto słuchając, bacznie przypatrywał się mówiącemu.

— Niemcy, czy ktokolwiek jesteśmy, — rzekł, — przecież ludzie! Nie godzi się zabijać, to przykazanie Boże, a ten zabija, kto nie ratuje! Dwóch ślicznych młodzieńców leży rannych, jęczy i nie ma ich komu opatrzyć. Ulitujcie się — głodni jesteśmy, siły się wyczerpały. Ratujcie, a gdy ratunku nie można się spodziewać, radźcie, dokąd się udać. Niedaleko stąd musi być nasze obozowisko, ale do niego trafić trudno; a gdybyśmy się tam dostali, cóż zrobimy z ciężko poranionymi, zmuszeni jutro udać się w dalszą drogę do księcia Konrada, który na nas czeka?

Ksiądz Żegota tarł czoło, ramionami rzucał, to ręce chude załamywał.

— Co ja w domku ubogim mam, tem się z wami podzielę, — rzekł, — nawet i ostatki

oddam. Znajdę też może starą niewiastę, co się zna na ranach i ziołach... ale tu wam długo trwać nie można. Nie wiem, kiedy nasz stary powróci, a gdy wróci, biada wam i biada mnie.

— W tęgą matnię wpadliśmy przez tych młokosów, — odezwał się Otto, — lecz w Bogu

nadzieja, że nie opuści, a w najgorszym razie otuchy stradać się nie godzi. Dawajcie naprzód, co macie, potem pomyślimy o dalszem.

Ksiądz Żegota spuścił się jeszcze milczący ku szopie, w której ranni leżeli, poszedł na nich rzucić okiem, podumał, zamruczał i skłoniwszy się przed Ottonem, na zamek powrócił.

— Przecież i tu, w tej dziczy, — zawołał Otto, — znalazła się jedna dusza chrześcijańska i człek, rozumiejący język ludzki!

Czeladź sama krzątała się jak mogła, około Hansa, Gero z wielkiej biedy odzyskał na

przekorę trochę młodzieńczej wesołości. Nogę sobie sam obwiązywał i razem towarzysza pilnował, a z czeladzi podżartowywał.

— Żebyśmy byli choć tego dzika ubili i zjeść go mogli, — mrucał, — a tak, co myśmy

mieli jego, on nas pokosztował. W tym kraju wszystko na opak się dzieje!

Otto, niespokojny, mimo nocy wyprawił jednego z pacholców z lepszym koniem na

szukanie obozu, aby oznajmił Konradowi o nieszczęśliwej przygodzie.

— Jedź, — mówił mu, — prędzej, później, musisz napytać naszych; powiedz, co się stało i że my tu między nieprzyjaciół popadliśmy. Niech brat Konrad myśli o nas.

Nierychło furta na wałach znowu się otworzyła i zamiast jednej pokazały się dwie postacie i dwa cienie, które szybko do szopy się zbliżały. Ksiądz Żegota niósł kosz w ręku, za nim, z narzuconą na głowie chustą, szła stara baba.

Innych lekarzy nad takie znachorki mało gdzie znaleźć było można. Na grodku zaś owa

Dzierła, którą za młodu zwano pono Dzierlatką, bo była żwawą i swawolną, pełniła wszelkie obowiązki, jakie na baby owych czasów przypadały. Wróżyła, zamawiała, niańczyła, dawała zioła miłosne i sposoby na ludzi, lecz najzręczniejszą pono pośredniczyła między parobkami a

dziewczętami. Działo się to jednak tak skrycie, że nikt o tem napewno nie wiedział, a komu pomogła, ze strachu milczał, bo groziła zemstą.

Na grodku miała chleb łaskawy, nie pełniąc innych obowiązków, oprócz, że około drobiu,

trzody i stadniny czasami radziła. Ale wszyscy jej potrzebowali, a co więcej, wszystkich zabawiała opowiadaniem, bo nikt nad nią więcej baśni, gadek i powieści osobliwych nie umiał. Dziwowano się jej, skąd ona to brała, bo się nigdy powiastki jej nie wyczerpywały. Nawet dwie Halki zachodziły do izby, w której dziewczęta przędły, aby jej słuchać wieczorami.

Ludzie ją lubili, bo się każdemu przypodobać umiała, a choć za plecami drwiła niemal z

każdego, nikt się tego nie domyslał, tak słodką była w oczy.

Dzierła choć niemłoda, bardzo jeszcze starą nie była, a nosiła się tak śmiesznie, jakby młodą chciała udawać. Czasami wkładała nawet wianuszek na głowę, choć do niego dawno straciła prawo i obwieszała się błyskotkami; palce miała całe okryte mosiężnymi i srebrnymi pierścieniami, wstążki a opaski krasne lubiła niezmiernie. Chuda, żółta, opalona, miała oczy czarne, ogniste, kibić jeszcze giętką i gibką i zdawała czasem, mógł ją kto wziąć za dziewczynę.

Ksiądz Żegota miał do niej wstręt wielki ona bała się go mocno; posługiwać się nią jednak musiał, nie mając jej kim zastąpić, a ona chętnie skinieniu jego była posłuszną, aby sobie łaski zaskarbić.

I teraz też wyciągnął ją gdzieś z kąta, aby szła opatrzeć rany. Sam on wiedząc, co chorym i znużonym potrzeba, niósł w koszu trochę wina, którego do Mszy świętej używał, kawał białego pieroga, trochę mięsa wędzonego, sera i masła.

Wesoła Dzierła, wstępując na próg szopy i widząc, z kim ma do czynienia, przybrała postać poważną i szła wprost do Hansa.

Stała nad nim, przyglądając mu się długo; spytała, od jakiego zwierzęcia ranę dostał i głową trząść poczęła, o kle dzika posłyszawszy. Klękała potem opatrywać ranę, ku czemu już miała z sobą hubę, zioła i szmaty.

Tymczasem ksiądz Żegota dobywał z kosza przyniesione zapasy, a Otto, ujrawszy dzbanuszek, nie czekając na innych, wyrwał mu go prawie z ręki, chciwie do ust niosąc. Gero się też jadła i napoju dopominał; tylko Hans, gdy mu nogę zakrwawioną odsłonięto, krzyknął z bólu i omdlał tak, że go winem z wodą cucić musiano.

— Panu Bogu niech będą dzięki, — rzekł Otto, oddychając — Jeszcze nie zginiemy na tej pustyni! Są ludzie!

V.

Zaledwie ksiądz Iwo z podróży swej do Krakowa powrócił i zajechał na dworzec biskupi, ledwie miał czas, z konia zsiadłszy, rozmówić się z gromadzącymi się na przyjęcie jego duchownymi, gdy już na zamku o nim wiedziano i od księcia Leszka biegł komornik z pozdrowieniem, niosąc zarazem prośbę, aby biskup tęskniącego za nim pana co najrychlej odwiedził.

Waligóra, którego Iwo przywiózł z sobą, smutniał i stawał się coraz bardziej milczącym i ponurym w miarę jak się zbliżał do stolicy, wznawiającej jakieś stare wspomnienia niemiłe. Nawet łagodne a dobre słowa brata nie mogły go wyrwać z tej ciężkiej zadumy.

Gdy wjeżdżali do miasta, biskup sam modlić się zaczął i toż samo bratu polecił.

— Módlmy się! — rzekł. — Modlitwa to wielki oręż i skuteczne lekarstwo.

Mszczuj także modlitwy szeptać począł. Lecz mimowolnie owo miasto, dawniej mu dobrze znane, a nie widziane przez długie lata, pociągało jego oczy ku sobie. Urosło, zmieniło się, rozsiało szerzej, domostwa wypiękniały, kościołów przybyło.

Ksiądz Iwo okiem ojcowskim rzucił na drewniany kościółek świętej Trójcy, co miał stanąć w rynku, przy którym osadził Dominikanów, na dzień Poczęcia Panny Maryi. Oczy mu się zwilżyły i myślał:

— Dałby Bóg jeszcze żywota trochę, przyrośnie świątyn, przybędzie ludzi, wzmoże się potęga duchowieństwa... na chwałę Pana!

Razem z biskupem był Mszczuj, ale nie dając się poznać kim był i skromne zajmawszy miejsce w orszaku, przybył do dworca, gdzie na dany znak księdza Iwona zaraz go w osobnych

izbach umieszczono. Tego dnia już się nie pokazał.

Biskup nie mógł podążyć na zamek, bo i godzina była spóźniona i w domu po kilkodniowej

niebytności siła zostawało do roboty. Mało nie od wszystkich biskupów z całej Polski czekały nań listy i posły z ważnymi sprawami.

Waligóra, gdyby był się przypatrzył tym duchownym, którzy na powitanie brata spieszyli, zgorszyłby się był bardzo, gdyż liczba księży i mnichów cudzoziemców przemagała niemal.

Czarne, szare, białe, brunatne habity wszelakich zakonów, różnego kroju cisnęły się do ukochanego pasterza, który jak mógł, pomnażał zastęp tego wojska Chrystusowego.

Odzywały się tu wszystkie języki, od łacińskiego począwszy, który powszechnym był, do

włoskiego, francuskiego i niemieckiego, bo zakonnicy z różnych krajów napływali gromadnie. Sam zaś biskup Iwo, który za młodu w Paryżu razem z późniejszym papieżem Grzegorzem IX, nauki kończył, a potem wielokroć do Włoch podróżował, mówił temi językami tak dobrze jak swoim. Dar ten Ducha świętego był mu udzielony, że się ich uczył łatwo i nie zapominał nigdy. Nie miał też miłości tak wyłącznie dla swoich, jaką Waligóra się chwalił, a byle człek był pobożny, nie patrzył, jakiego rodzaju.

Oczy gorliwego kapłana zwracały się na Zachód i Południe z wielką miłością, gdyż tam

rozkwitało to życie duchowe, które wiek ów znamionowało. Tam płynęła rzeka ognista, której tu ciekły ledwie małe strumyki.

Kraje południa wydały naówczas razem dwóch wielkich apostołów: Hiszpania — świętego

Dominika, Włochy — świętego Franciszka, tego miłośnika ubóstwa, który przeszedł przez życie w upojeniu, w zachwycie, we śnie niebieskim, ze śpiewem na ustach, cały w Bogu, z ranami

cudownymi, z widzeniami Archaniołów, otoczony ubóstwem, rozkazując ptaszętom, opiekując się owieczkami.

całując trędowatych. Tysiące ludzi rzucało za jego przykładem zbroje, jedwabie, rozkosze, skarby, władzę i siłę, aby wieść życie pustelnicze.

Gdy Franciszek szedł na pustynię, Dominik z ognistym słowem, z pochodnią w ustach biegł

między niewiernych, chciwy męczeństwa. Dwoje tych ludzi, którzy się wzajem dopełniali, spotkało się w jednym uścisku na drodze ku niebiosom.

Iwo już dwóch swych synowców oddał był Dominikowi; nie starczyło mu Cystersów,

Norbertainów, starych zakonów, które już siedziały na ziemi jego: pragnął nowych zapaśników, żądał nadewszystko, aby mu przynieśli iskrę tego ognia miłości Bożej, który płonął za górami.

Trzeba mu było przysłać pokolenia wychować na dzieci tych ojców, dla których ziemia była tylko drogą do niebios.

Wprawdzie wiara chrześcijańska krzewiła się bujnie i wszyscy niemal świeccy władcy byli gorliwymi synami Kościoła; wprawdzie Henryk Brodaty z małżonką żyli prawie klasztorным żywotem, — ona z zakonnicami, on — w kościele; Laskonogi sypał szczodłą dłońią

duchowieństwu, Piwacz szerokie nadawał ziemie i szersze jeszcze prawa, których się dla niego wyrzekał, Konrad, brat Leszków, ściągał niemieckich rycerzy zakonnych; tego wszystkiego dosyć jednak nie było. Nieraz ci sami, tak święci i pobożni książęta, oporem swym, stawianym biskupom, zmuszali ich aż do klątw. Modlitwa nie broniła od chęci panowania wyłącznego, od wstępu do dzielenia się władzą — duchowieństwo więc nie mogło ustać w pomnażaniu sił swoich.

Zakony i księża byli gotowymi zapaśnikami do boju. Rozsadzano ich gęsto, aby tą siecią wszystkie ziemie i co było rozszarpanego świeckimi prawami, Bożem prawem zjednoczyć.

W tej chwili ta walka duchowieństwa z ziemskimi potęgami u nas zdawała się na korzyść pierwszego rozstrzygać. Rzym stał ponad korony i berła, rozporządzał nimi i tam, gdzie cesarska nie sięgała potęga: on był panem, którego prawu nikt nie śmiał zaprzeczać. Kto z panujących na ziemiach polskich miał za sobą duchownych, był pewien, że się utrzyma.

Od Bolesława Szczodrego rosła moc biskupów, skupiając się w jedną siłę pod metropolitalną władzą arcybiskupa gnieźnieńskiego. A przecież byli tacy jeszcze, co jej stawili opór, co znosili klątwy i żyli z nimi, a znajdowali się kapłani, co im mimo klątwy Mszę odprawiali... i kościołów nie zamykali...

Trzeba więc było dalej wieść walkę zażartą z władzą świecką — a duchowieństwo baczne, oprócz własnych żołnierzy, miało po sobie wszędzie prawie możnych i rycerstwo, w którego obronie stawało.

Biskupi krakowscy straszni byli książętom, broniąc praw rycerstwa i stojąc za jego swobodami. Przez nie nigdy nie mógł się utrzymać stary Mieszko przy Krakowie, który czterokrotnie umiał pozyskać! przez nie panował Kazimierz Sprawiedliwy; ono wyniosło i trzymało Leszka.

Dzieje tych dni są jednym pasmem kościelnego boju, który wytwarza prawie bezwiednie swobody społeczne i rozbudza ich miłość nieustannym czuwaniem nad władzą książąt, aby się ta nie wzmogła.

W pomoc tym usiłowaniom przychodzi duch wieku, który każe gardzić i pomiatać wszystkim ziemskim. Za przykładem świętych ascetów dwory książąt stają się klasztorami, księżne

wkładają włosienice, książęta zaprzysięgają czystość i dla odziedzczenia nieba zrzekają się potomstwa. Książęce córki zamiast ślubować królom, ślubują Oblubieńcowi niebieskiemu.

Skarby wszystkie idą na Ozłocenie ołtarzy, na z bogacenie świątyń.

W tym zachwycie tysięcy ludzi, w gardzających ziemią, idących szturmem do nieba we włosienicach, w biczowaniu, o głodzie, jest coś tak wielkiego i wspaniałego, tak poetycznie pięknego, iż najchłodniejszy z ludzi nie może nań patrzeć obojętnie.

Gorącość ta ogarniała tłumy; małe kościoły nie starczą na pomieszczenie pobożnych, kazalnice stoją przyparte do murów, aby tysiące słów Bożych słuchać mogły. Jak niedawno dwunastoletni chłopcy rwali się z orężem na nieprzyjaciela, rycerskim owiani duchem, tak teraz dzieci przeistaczają się w ascetów. Zapał jest powszechny, zaraźliwy, porywający.

Iwo ciągnie za sobą całą rodzinę, we włosienice odziewa swe bratanki, ogromne włości oddaje klasztorom, wprawia w podziw szczodrobliwością swą królewską, w której nie zna miary.

Blask tego apostolskiego żywota ćmi na chwilę nawet stolicę metropolitalną i Gniezno gaśnie przy Krakowie. Tu się jednoczą wszystkie usiłowania i plany, stąd płyną rozkazy; tu stoi prawdziwy wódz całego ruchu.

Gdy Mszczuj, zamknięty w izbie dlań przygotowanej, dręczy się zmianą, jaka zaszła w jego życiu i duchem buntuje się przeciw bratu, który słowem umiał go zwyciężyć i rozkazaniem poprowadzić za sobą — biskup

Iwo, otoczony swoimi żołnierzami, niezmordowany, czynny, odprawia sprawy zaległe, dopóki godzina ostatnia nie zmusiła go iść na spoczynek, aby Mszę jutrzejszą mógł odprawić.

Na zamku pańskim oczekiwano nań napróżno do późna; Iwo obiecał się ze Mszą na Wawel na jutro.

Na Wawelu panuje spokój pozorny i dobra myśl. Leszek cieszy się synem, wszyscy jego nieprzyjaciele prawie pokonani; Henryk śląski idzie z nim, Konrad go potrzebuje, Laskonogi jest mu posłusznym; jeden wichrzyciel, Odonicz, jeden krnąbrny, Światopełk pomorski, jego pomocnik, burzą się bezsilni napróżno; tych już nie orężem, ale postrachem samym łatwo będzie pokonać.

Leszek myśli tak i pewien jest, że całe duchowieństwo w pomoc mu przyjdzie, aby krnąbrnych zmusić do posłuszeństwa.

Ze Mszy świętej na Wawelu, którą biskup sam odprawił, król, królowa i liczny dwór, małą

napełniający świątynię, ciągnął do zabudowań zamkowych.

Ktoby się był przypatrywał mu zdala, a nie znał osób, łatwoby się mógł omylić, szukając oczyma pana. Nikli wszyscy, nawet ten, co się nim zwał, nikł przy poważnym pasterzu, pierwsze zajmującym miejsce. Jego otaczano uszanowaniem, jego witano z radością, on był duszą tego dworu i głową tego księżęcia.

Leszek, syn Kazmierzów, tak jak ojciec, miał oblicze łagodne i wesołe, trochę dumne, rycerskie; ale na czole jego nie było widać głębszej myśli, ani w oczach tej bystrości, jaką miał ojciec. Nie odziedziczył też po nim tego zamiłowania mądrości, tej żądzy prawd i wiedzy, jaką Kazimierz całe swe życie karmił. Na jasnej twarzy nie było troski, ale pragnienie spokoju, wiele dobroci i łagodności, jakby potrzeba opieki i silnego ramienia. Oczy nie widziały daleko, umysł nie chciał sięgać w głębie ciemne. Leszek potrzebował ciszy, zgody i małych rozrywek rycerskich, do których przywykł od dziecka. Zwycięzca Rusi pod Zawichostem miał rycerską postać i na polu bitwy mężnym był do zapamiętałości, ale waśni nie wywoływał, zawsze pragnąc pojednania.

Jasnowłosy, niebieskooki, gładkiego lica rumianego, kwitnący zdrowiem, nie zdawał się czuć brzemienia panowania i starał się zrzucić je z ramion. Chciał być w zgodzie ze wszystkimi, jednać i łagodzić, aby mu życie nie ciążyło.

Dla tego chętnie ustąpił Krakowa Laskonogiemu, chętnie dał dział bratu, pojednał się z

Ślązakami, a i teraz pochlebiał sobie, że Płwacza i Światopełka zmusi do układów i zgody. O brata na Mazowszu zupełnie był spokojnym; uśmiechała mu się przyszłość, ta, którą prorocze oko biskupa Iwona widziało chmurną i groźną, bo ten lepiej znał ludzi.

Obok pięknego Leszka, który pochylony nieco szedł przy biskupie, jak dziecię przy ojcu, uśmiechając mu się, postępowała strojna i wdzięczna żona jego, Grzymisława, na której czole niewieścim odbijał się spokój i wesele mężowskie. Choć na twarzach dworu Leszkowego widać było chęć wtórowania panu, niektóre z nich jednak, zwłaszcza starsze, były posepne,

zrezygnowane, zadumane.

I biskup też dnia tego, po wieczornych i rannych rozmowach z duchownymi, wszedł z

troską jakąś na zamek. Głęboko przejęty odprawiał Mszę świętą, a ta wesołość nieopatrzna zdała się go razić, lecz w pierwszej chwili zatruwać jej nie chciał.

Zaledwie Leszek wszedł w podwórze zamkowe, po kilku pytaniach o podróży biskupa

rzuconych, zmienił obrót rozmowy i zaczął mówić o pięknym czasie do łowów, do których się przysposabiał.

— Gdybym na was, ojczy mój, nie czekał, — rzekł, — obracając się ku niemu, — jużbym

był ruszył w las, alem rękę waszą chciał ucałować i Kraków a sprawy, na których wy się lepiej niż ja rozumiecie, pod waszą opieką zostawić.

— Piękna to i miła rycerska zabawa, te łowy, — odrzekł biskup, — ale, miłościwy panie, na waszych ramionach leży dużo, — wielu biednych na was się ogląda. Ja sędzę, że gdy tyle spraw zalega, znowu *Colloquium* byłoby potrzebne, i to w Krakowskim albo w Sandomierskim.

— W *Colloquium* zastąpicie mnie *Comesami* i przedniejszym rycerstwem, — rzekł Leszek,

— a prócz tego sędzia mój nadworny, podsędek, kanclerz. Jam chyba tam na to potrzebny, ażebym tylko miejsce zajął poczesne. A czyż są sprawy tak pilne?

— Znajdą się zawsze, byle wiec był zwołany, — odparł biskup.

Leszek westchnął.

— Ludzie bo, — dodał, — spokojnie nigdy żyć nie mogą.

— Są ludźmi! — westchnął biskup.

— Sądzić sprawy! — dorzucił książę, sądzić sprawy naówczas, gdy taka jesień śliczna woła do lasu, gdy skwary letnie przeszły, a zima ciężka jeszcze daleko! Prawda, ojczu mój, panowanie jest niewolą zarazem i, jak powiadają, im wyżej kto siedzi, tem mocniej się poci.

U drzwi zamkowych księżna uśmiechem wdzięcznym pożegnała biskupa, bo spieszyła do swego Bolka, którym się oboje tak cieszyli? jako pierworodnym i jedynym.

— Zobaczysz dziecię i pobłogosławisz, ojczu nasz, — rzekł książę. — Rośnie w oczach, a rozumny jest, iż zdumiewa wszystkich.

— Niech rośnie na pociechę naszą, — odparł biskup nieco roztargniony.

Leszek, ciągle wesoło zagadując, właśnie wprowadzał Iwona do wielkiej izby gościnnej, gdy ten zatrzymał się w progu i szepnął:

— Miłościwy książę, radbym z wami, kanclerzem Mikołajem i Markiem wojewodą trochę

pomówić na osobności; lepiej nam będzie w komorze waszej, niż tu, gdzie nas łącno niespodzianie kto zająć może.

Dwór właśnie napływał do izby. Leszkowe oblicze sposepniało; znać było, że mu ta

rozmowa na osobności mieszała szyki, mąciła spokój, że radby ją bodaj odłożyć; lecz z Iwonem, gdy co rzekł, opór był trudny.

Tuż za nim szli powołani przez niego: stary Mikołaj Repczol, kanclerz, w czarnej sukni duchownego, z bladą twarzą, wielkimi pofałdowaną zmarszczkami, mąż silnej budowy na oko, lecz zmuszony opierać się na kij. Twarz jego może skutkiem cierpień wewnętrznych więcej jeszcze troski i zadumy wyrażała, niż biskupia. Iwo też większą miał wiarę w przyszłość nad niego.

Drugim był Marek wojewoda, mąż też lat już podeszłych, ale rycerskiej postawy, którego oczy niespokojne i do czuwania nawykłe, biegły, badając zarówno twarz Iwona i Leszka. Z nich dwóch on większą i pilniejszą zdawał się zwracać uwagę na pasterza. Wszyscy tu ulegali mu tak, jak sam książę.

Leszek też zmusił się zaraz do przybrania łagodnego wyrazu i z pośpiechem zwrócił się ku swej komorze, którą na znak pański otwarło stojące u drzwi pacholę.

Było to najmiłsze schronienie pana ta izba, w której tylko pożądanym a poufalskim przyjmował gości. Z niej każdy mógł poznać łatwo naturę i charakter księcia. Ścian prawie w niej widać nie było, tak zawieszono ją całą rozmaitego rodzaju bronią myśliwską i rycerską, w której Leszek się kochał. Był w tem ład pewien i widoczne zamiłowanie. Szeregiem stały zbroje lżejsze i cięższe, wschodnie i włoskie, niemieckie i starodawne, z blach i naszywanych łusek składane.

Rzędami stały hełmy, od dawnych, ciężkich i mniej kształtnych, do tych, które teraz zdobiono rogami, skrzydłami i postaciami zwierząt, złoconymi i malowanymi.

Pasy rycerskie świeciły drogiemi kamieniami i emalią; przy nich wisały miecze, mieczyki, puginały, noże myśliwskie; dalej oszczepy kute, włócznie, siekierki bojowe, buzdygany z przywieszonymi na łańcuchach kulami, najeżone ostremi strzały, łuki sadzone, kołczany, tarcze.

Cała jedna połać świeciła większemi i mniejszemi szczytami, z wizerunkami lwów, orłów, gryfów, a w pośrodku na jednej był misternie wyrzeźbiony i pomalowany rycerz, jadący konno, który niedźwiedzia, rzucającego się nań, uderza oszczepem. Taki sam wizerunek, jak na tej tarczy, chciał Leszek mieć na swej książęcej pieczęci.

Podłoga pańskiej komory była cała grubo wysłana skórami zwierząt, ubitych ręką pana.

Chlubił się on tem, że dwie komnaty zasłał sam łupem łowów, wśród którego leżał i pamiętny niedźwiedź, co już konia Leszkowego pochwycił był łapami, gdy książę zadał mu cios śmiertelny.

Izba ta wprawdzie najmiłszą była książęciu, ale do poważnej narady najniebezpieczniejszą.

Biskup wiedział o tem z doświadczenia, bo ilekroć tu się odbywały obrady, Leszek je zawsze przerywał, mówiąc o swych zbrojach, orężu i czynach łowieckich. Lubił o tem rozprawiać jak myśliwy, jak rycerz, a najmiłszymi mu byli ci, co słuchali go chętnie i podziwiali zręczność jego, której zresztą nikt nie mógł zaprzeczyć.

Wskazawszy Iwonowi miejsce na wysłanem krześle, książę sam stanął naprzeciw niego, a za nim, wsparty na kiju swym, kanclerz i w bok ujmujący się wojewoda.

Lice Leszkowe, jakby błagając o litość biskupa, znowu uśmiechało się do niego, z Iwona jednak uśmiechu wywołać nie mogło. Widać było, że książę niczego zbyt ważnego nie spodziewając się w rozmowie, krótko ją sobie zbyć życzył. Lecz spojrzawszy na biskupa, który się zadumał, myśląc, od czego pocznie, Leszek też zachmurzył się.

— Mam to nieszczęście, — odezwał się Iwo, — żem zawsze prawie przeznaczony być dla miłości waszej ptakiem złej wróżby.

— Owszem, — odparł Leszek żywo, — wy mi jesteście najlepszym opiekunem i ojcem

— Ale z miłości i troskliwości ku wam zawsze złe wieści przynoszę.

— Czyż złe, ojcze mój ? — spytał książę, ręce składając.

— Życie wszelakie twardem jest, a samiście rzekli, — odezwał się biskup, — im kto wyżej siedzi...

— Radźmy więc na to złe, — żywo rzekł Leszek, — radźmy, aby je usunąć. Lecz wy, ojcze mój drogi, — dodał, - wy z tej ojcowskiej waszej pieczołowitości nademną często może więcej widzicie złego, niżeli jest. Ja radbym i w zło i w złych, co je sprawiają, nie wierzyć.

— Przecież, miłościwy panie, — westchnął Iwo, — dopuszcza Bóg zło, aby było dobrego probierzem.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Sam będąc dobrym, — dołożył Iwo, — nie chcesz, miłościwy panie, wierzyć w ludzką przewrotność.

— Lecz o kim mówicie? — nagłąc i spiesząc, aby prędzej się uwolnić, zawołał książę.

— Zaczniemy od Odonicza, — odezwał się biskup, — ze złych pono ten najgorszy, jeśli pierwszeństwa nie trzeba jeszcze przed nim dać szwagrowi jego Światopełkowi. Odonicz chciwy jest panowania, jak dziad jego, Mieszko; ma jego żądzę i upór żelazny przed sobą, ale stokroć winniejszy Światopełk, który waszą i ojca waszego łaską na wielkorządcę Pomorza wyznaczony, chce je nieprawnie i niewdzięcznie zagarnąć i oderwać.

— Ach! — zawołał Leszek, — Światopełk ma butną krew Jaksów w sobie — to prawda,

lecz któż wie, czy Odonicz jego, czy on Odonicza podburza i szczwa! Oba oni razem nie zdają mi się niebezpiecznymi.

— Miłościwy panie, — przerwał grubym, ponurym głosem kanclerz Mikołaj, — lękam się, aby do nich dwóch jeszcze kogoś trzeciego nie potrzeba przyłączyć do rejestru nieprzyjaciół twych.

Leszek odwrócił się ku niemu zmarszczony, z wymówką na twarzy, niemal z groźbą, do której nie był nawykły. Kanclerz skłonił głowę i zamilkł.

— I jaby był tego zdania, że Swiatopełk z Odoniczem nie miałby odwagi, — dodał biskup, — gdyby nie oglądali się na kogoś, czyje imię wymówić nawet usta się wzdrygają.

Leszek drgnął cały, podniósł głowę obrażony i zdawał się na chwilę krótką zapominać nawet poszanowania należnego biskupowi.

— Ojczy! — zawołał, — krwawicie mi serce, a krwawicie je napróżno. Domyślam się, kogo mi, jako nieprzyjaciela, wskazać chcecie. Ale nie! nie! nie chcę temu wierzyć, nie uwierzę i gdybym miał się omylić, gdybym miał omyłki paść ofiarą, wolę zginąć, niż posądzić brata. Jednej my matki dzieci.

— Jesteście różni, jako Abel i Kain, — odezwał się Iwo z siłą wielką. — Wspomnij, książę, młodość, byliście kiedy podobni do siebie? Wy miłością jesteście — srogością tamten; wy — dobrocią, on — okrucieństwem; wyście władzy nie chciwi, on — panowania żądny.

Leszek słuchał z głową spuszczoną, chmurny, lecz nieprzekonany.

— Konrad tak złym nie jest, jak się obawiacie, — rzekł. — Jest gorętszym odemnie, Bóg mu dał więcej siły, więc też pragnie, lecz w sercu jego...

To mówiąc, rzucił okiem po przytomnych; wszyscy dziwnie niedowierzająco, niemal z politowaniem słuchali. Leszek zatrzymał się na chwilę i dokończył:

— Konrada zostawmy w pokoju.

Marek westchnął, Iwo spojrzał na kanclerza — umilkli.

— Mam złe poszlaki, — odezwał się biskup po długim przestanku. — Potrzeba czuwać przynajmniej, wiedzieć, badać, aby niebezpieczeństwo nie pochwyciło nas nieprzygotowanych.

— Odonicz, — przerwał nagle Leszek, — walczył z Laskonogim raczej, niż ze mną;

wszystko się skończy, gdy ich podzielim i pojednamy.

— A jestże sposób pojednania ich, gdy jeden wszystko chce osiąść i wyrzeć drugiemu?

— zapytał biskup.

— Przypomnijcie sobie, — odezwał się Leszek łagodnie, — ową wyprawę Henryka

wrocławskiego na mnie, gdy on też chciał wydzierać i z wojskiem stał nad Dłubnią, Krew się już lać miała, przecież pobożny, święty Henryk mej usłuchał rady, dał się przekonać; zażegnaliśmy tę burzę... i uścisnęli się, jak bracia, zamiast wojować, jak wrogowie.

— Rzekliście, — odparł biskup, — Henryk był pobożnym i świętym, dla tego słów zgody usłuchał, a Plwacz nim nie jest... a Swiatopełk, zdrajca, wie, że zgody z nim być nie może!

Usłyszawszy to, zachmurzył się Leszek i usta mu się ścięły.

— Radźcie więc wy, — zawołał z rozpaczą jakąś, — jam ślepy i nieudolny — radźcie!

— Ani ślepi, ani nieudolni nie jesteście. — przerwał biskup, do uścisku ręce podnosząc, — ale dobrzy aż do zbytku, a oną dobroć znając, źli z niej korzystają.

Znowu się rozmowa przerwała, wszyscy spoglądali na Leszka, który mimo łagodności, nie ustępował ze swych przekonań.

— Radźcie, — rzekł powolnie książę z jakimś rozrzewnieniem. — Ja wam tylko jedno

przypomnę, że oto, dzięki opiece Bożej, ja z mą ślepotą i nieudolnością, gdym już był

wydziedziczony przez Laskonogiego, panuję; gdym przez Henryka miał być wypędzony — siedzę na stolicy mojej. Dzieckiem tylekroć wyganiał mnie nieboszczyk stryj, a Opatrzność mi zwracała, co on wydzierał — i oto w spokoju i błogosławieństwie rządę i panuję. Opatrzności też tej tak zawierzam, iż gdybym wrogami otoczonym być miał, nie złękę się i w spokoju losu mojego oczekiwać będę.

— Jeżeli tak, — odparł z wolna Iwo, powstając, — cóż my czynić mamy? Ja tej ufności w

bezpieczeństwo nie dzielę, choć Opatrzności wierzę. My nad wami czuwać musimy!

Leszek, jakby się zbył ciężaru, zbliżył się do biskupa i rękę jego ucałował.

— Radźcie, — rzekł, — czyńcie, co uznacie słusznem, ja się zastosuję do światłej rady waszej.

W tejże chwili zwrócił się do Marka wojewody.

— Miły mój, czas by zaniechać tych tarcz ciężkich, obładowujących zbyt wiele żołnierzy naszych. Nie wiem, czym wam pokazywał niemieckie nowe, jak przedziwnie lekkie są.

To mówiąc, książę zwrócił się do rzędem wiszących na ścianie szczytów.

Marek wojewoda ruszył ramionami, a biskup powstał z siedzenia.

— Mówicie o zbroi — ja zaś muszę do spraw moich.

Książę pośpieszył go żegnać i rad, że ciężkiego pozbył się sporu, z wielką uprzejmością odprowadził Iwona aż za próg dworu. Tu odebrawszy błogosławieństwo i widząc, że biskup

odbierał mu Marka wojewodę od tarczy, zwrócił się do młodego Pakosza, ulubieńca swojego, skinąwszy nań, aby szedł z nim do zbrojowni.

Tu wnet o broni nowej i o łowach żywe rozpoczęły się rozprawy.

— Święty człowiek, ten nasz biskup Iwo — odezwał się do Pakosza, — ale na rycerskich

sprawachcale się nie rozumie... i z nim o niczem mówić nie można, chyba o takich świętych, jak on, i o tych, których on chce nawracać, aby też świętymi byli. Kocham go jak ojca, ale smutny jest, jak noc i z sobą mi zawsze gorycz jakąś przynosi!

Pakosz głową potwierdzał, co pan mówił, nie śmiejąc słowami. I poczęto mówić o lekkich tarczach.....

VI.

W kilka dni potem rozeszła się po Krakowie wieść, która na dworze Leszkowym, na dwa obozy podzielonym, wielkie uczyniła wrażenie.

Rzeczono o tem, jako biskup gwałtem wyrwał z pustelni i przywiózł do Krakowa brata swojego, od dawna zapomnianego, który od lat wielu na wsi się zagrzebał i wyrzekł się był świata, nakazując mu tu ze znacznym dworem stać na straży przy sobie.

Starego Waligórę znano tylko z powieści, jakie o nim chodziły w tych czasach, gdy mu nadano to jego przezwisko. Wiedziano, że pan był możny, że Niemców miał w ohydzie, siłę olbrzymią, a wolę żelazną.

Wnosili więc wszyscy, iż znowu przygasła na czas jakiś wojna między Jaksami a

Odrowążami groziła wybuchem, gdy tego pomocnika biskup ściągać potrzebował.

Waśń tych dwóch możliwych rodów była już stara i nie od dziś dnia się poczynała Jaksowie

rościli sobie prawa wielkie, krwi swej i rodowi należne, wiodąc pochodzenie swe od kneziów jakichś, a sięgając aż do Pepełków i Leszków starych. Nierzadko słyszeć ich było można

odzywających się o tem, że nim Piastowie przyszli do panowania, oni już je w rękach dzierżyli.

Odrowążowie, choć w sandomierskiej ziemi tak starzy jak ona, choć mnogimi

majątkami władający, nie wiedli się z tak wysoka. Ale oni właśnie rośli, gdy Jaksowie maleli.

Jeden tylko stary Mszczuj dobił się wielkorządów na Pomorzu, które potem na syna Światopełka wyprosił, a drugi powinowaty mu, Marek, był krakowskim wojewodą. Na nich dwóch reszta się opierała.

Iwo Odrowąż, który miał oko prorocze, z niedowierzaniem patrzył na ród, pragnący

panowania i roszczący sobie do niego jakieś prawa. Nawzajem Jaksowie czuli w nim

nieprzyjaciela, stojącego im na zawadzie.

Syn Marka wojewody był czasu jednego wyprawiony z innymi Jaksami i Odrowążami

społem na straż od pruskiej granicy. Szli z nim Dzierżek i Budzisław, powinowaci biskupa. Za podmową Jana Jaksy, który nienawistnych sobie Odrowążów chciał na rzeź wydać, pierzchnęli naówczas z częścią wojsk i byli przyczyną, że Dzierżek i Budzisław, wraz z wielu innymi schwyceni przez pogan, życiem tę zdradę przyplacili.

Naówczas biskup Iwo, krwi swej przelanej mszcząc się, wymógł na Leszku, iż winnych,

Jana z towarzyszami, powyrzucano sromotnie z majątkości i urzędów.

Mszcząc się za syna i powinowatych, Marek, wojewoda krakowski, uknuł naówczas spisek

we Wrocławiu z Henrykiem Brodatym i wyciągnął go na Kraków i na Leszka.

Zagrożony książe wezwał na pomoc brata; wojska z obu stron spotkały się nad

Dłubnią, lecz duchowieństwo, a na czele jego Iwo, pobożnego Henryka skłoniło do zgody.

Ślązak przypomniał sobie radę żony, aby cudzego nie pragnąć, nastąpiło przejednanie uroczyste i gody.

Leszek zaś, zawsze łagodny i wspaniałomyślny, przebaczył Markowi wojewodzie, innym

Jaksom pofolgowano, nastąpiło przejednanie, albo raczej zawieszenie broni. Lecz ani Iwo od nich

mógł być bezpiecznym, ani oni mu dowierzali. Ogień tlał pod popiołem.

Pozorna zgoda kryła tajemne knowania. Marek wojewoda służył Leszkowi, przed biskupem wszechwładnym skłaniał głowę, mówił, że uraz dawnych nie pamiętał, lecz w duszy Światopełkowi, jako powinowatemu, życzył dobrze i kto wie, jakie roił w przyszłości plany.

Poszlakować go było trudno, zawierzyć mu — niebezpiecznie.

Pod samym bokiem biskupa wojewoda miał kanonikiem syna, mistrza Andrzeja. Temu już zawczasu infule krakowską przeznaczono, a choć uczony i pobożny mąż nie rad był może przeciw pasterzowi swemu występować, choć z pokorą był dla niego, nie mógł i ten zapomnieć o swoich, a wpływom ojca i brata się opierać.

Wojewoda Marek, jakieśmy widzieli, był wzywany do rady; Iwo przy nim mówił otwarcie o Światopełku, za którym on ujmować się nie myślał, lecz co się w sercu działo, to Bóg jeden wiedział, a biskup zgadywał. Musiał się więc mieć na bacności, jeżeli nie dla siebie, to dla pana swego, któremu groziły niechęci skryte i przywiązanie kłamane.

Zjawienie się Waligóry w Krakowie zaniepokoiło Jaksów. Wiedziano, że baczny a rozumny biskup naprózno nic nie czynił i brata musiał potrzebować, gdy go tu ściągnął. Obawiano się też, aby mu jakiego znacznego przy księciu nie powierzono urzędu, przez który wpływ Odrowążów wzmógłby się jeszcze.

Lecz nie było słyhać, aby Waligóra stawiał się na dworze pańskim; spostrzegano tylko, że ludzi ściągał, czeladź zbierał i na dobre się tu rozgaszczal. Tegoż dnia po rannej radzie, która spełzła na niczem, po krótkiej rozmowie z biskupem, Marek wojewoda, zasepiony i niespokojny, wrócił na swój dworzec pod zamkiem i posłał po syna, mistrza Andrzeja, mieszkającego przy biskupie.

Wawel, na którym mieszkał książę, dom biskupi, wreszcie wojewodziński, stanowiły naówczas trzy ogniska, trzy siły, od których zależały losy kraju. Na grodzie książęcym walczyły z sobą dwa wpływy: biskupa, który Leszkowi był radą i ojcem duchownym, i Marka wojewody, nieśmiało, ale zręcznie starającego się krzyżować zamysły pobożnego biskupa. Ilekroć Iwo stanowczo zażądał czegoś, wojewoda ulegał, nie występował przeciwko niemu otwarcie, lecz potajemnie zawsze prawie szedł w przeciwnym kierunku.

Dwór wojewody był tak prawie liczny, jak i książęcy i na wzór jego złożony. Ochmistrz, komornicy, kanclerz, dwóch kapłanów, koniuszy, podczaszy, skarbnik, młodzież dorodna do posług rycerskich, nie odstępowali nigdy starego hetmana. Z małymi wyjątkami była to gromada, złożona z Jaksów, Jaksyców, ich powinowatych, albo z przyjaciół rodu.

W nadziei osadzenia kiedyś syna na katedrze biskupiej, Marek posyłał go za granicę na nauki, uczynił kapłanem, postarał się o kanonię krakowską i — czekał na spadek po Iwonie.

Lecz nie zupełnie rad był ze swego syna. Andrzej wziął powołanie do serca, a obcując z pobożnym Iwonem, powziął dlań cześć wielką i niechętnie dawał się ojcu używać za narzędzie do jego planów.

Był to człowiek młody jeszcze, postawy, któraby więcej przystała rycerzowi, niż księdzu, ale twarz jego, na której nigdy prawie uśmiech nie zawitał, onieśmiała i budziła niepokój nawet w ojcu. Zdawał się oczyma bystremi przenikać na wylot człowieka, czytać w duszy, a namarszczone brwi i usta dumne mówiły, że co wyczyta, tego nie przebaczy.

Prędzej, niż się wojewoda spodziewał, mistrz Andrzej, którego posłaniec na drodze spotkał, zjawił się na dworcu, witany z wielkiem uszanowaniem. Ojciec czekał nań w swej izbie sypialnej: chciał się sam na sam rozmówić z synem.

Zastał go syn głaszczącego ogromnego psa ulubieńca, który już na nic się nie zdał, bo stracił węch i słuch, lecz Marek trzymał go jako wysłużonego.

Na widok syna wojewoda powstał, a takie było poszanowanie dla duchownych, iż go przyjął jakby obcego i w rękę nie dał się pocałować. Posadził go zaraz przy sobie, pytając, czyby pić lub jeść nie chciał.

Mistrz Andrzej wymówił się postem.

Ojciec przybrał postawę wesołą, zdradził się tylko zbyt pospiesznym pytaniem i troską swoją.

— Biskup powrócił! — wyrwało mu się. Syn spojrział nań bystro, spuścił oczy.

— Tak jest, — odparł krótko.

— Nie wiem, gdzie bywał, — rzekł po chwili wojewoda, — ale znowu przywiózł rękawy pełne strachu, aby księciu nie dać nigdy spoczynku.

— Nic nie wiem, — odezwał się syn obojętnie.

— Cóż? kryje się przed wami? nie zwierza? — dodał szybko Marek. — Można się tego

spodziewać. Odrowąż zawsze Odrowążeni, gdy Jaksę Gryfa zobaczy przed sobą! Ani my ich, ni oni nas zapomnieć nie mogą!

— O sprawach świeckich nie mówimy nigdy, — odparł syn, — a w rzeczach Kościoła

biskup Iwo jest dla mnie ojcem łaskawym i uskarżać się nań nie mogę.

— Tyś zawsze rad wszystkiemu, — począł żywo wojewoda. — Ale właśnie to dowodzi, że nam i tobie nie dowierza, iż z tobą o sprawach świeckich nie mówi.

— Jam nie rad do nich się mieszać, — rzekł Andrzej ciągle spokojnie.

— A przecie powinienes, — stanowczo i z naciskiem powtórzył Marek. — Wiadomo to wszystkim, że masz kiedyś zastąpić biskupa Iwona na tej stolicy. Patrzajże, czy on zaniedbuje sprawy świeckie? Wcześniej się do nich gotować potrzeba.

— Ojcie miły, — przebąknął Andrzej, oczy spuszczone, — wcale to jeszcze nie pewne, komu Pan Bóg przeznaczył zastąpić biskupa Iwona. Ja się nie czuję godnym tego, a kapituła krakowska wybierać będzie sama i nie da sobie narzucić pasterza.

Uśmiechnął się wojewoda.

— Z kapitułą potrafimy się porozumieć, — rzekł cicho.

Rumieniec jakiegoś wstydu wystąpił na lice mistrza Andrzeja, lecz przez poszanowanie dla ojca wstrzymał się od odpowiedzi.

— Biskup przyciągnął z sobą brata, — rzekł Marek, zmieniając rozmowę. — Znałem go niegdyś: był gwałtownym, siłaczem wielkim... ale wicherzył zawsze... Pokoju z nim nikt nie miał.

Osiadł był gdzieś na śląskiej granicy i długo go tu słyszeć nie było; po cóż teraz go zwołali?

— Nie wiem, — odparł Andrzej.

Marek się żyzymał, brew mu się namarszczyła.

— Mówcie otwarcie, — rzekł, głos zniżywszy i stając przed synem. — Czuje to dusza moja, że nam, Jaksom znowu niebezpieczeństwo zagraża. Iwo jest mściwy!

Mistrz Andrzej wstał z siedzenia i złożył w krzyż ręce na piersiach.

— Ojcie miły, przebaczcie. Iwo mściwym nie jest!

To zaprzeczenie wzburzyło wojewodę, który zdał się chcieć wybuchnąć, ale się powstrzymał.

— Nie znasz go! — zamruczał.

— Ojczy drogi! Obcuje z nim codziennie, mąż jest Chrystusów, człowiek święty... a zemsta jest niechrześcijańska i zabroniona zakonem.

Wojewoda patrzył na syna z politowaniem i wyrzekając się sporu, zamilkł.

— Światopełk jest naszym powinowatym, — począł zwolna, — jeden ród, jedna krew. Kole ich to w oczy, że Pomorzem włada, chcieliby go wygnać, pomawiając o zdradę, czynią go współnikiem Plwacza.

— Plwacz ożenił się z jego siostrą, Helingą, — szepnął Andrzej.

Cała ta rozmowa tak widocznie dolegała mistrzowi Andrzejowi, odpowiadającemu z musu, pół słowami, iż ojciec, widząc, że go wciągnąć w nią nie potrafi, zamilkł i nagle spytał:

— Cóż ten Waligóra tu zamyśla?

— Chociażbym rad coś o tem powiedzieć, — odezwał się Andrzej, — nie wiem nic. Zdaje się, że biskup chce go mieć przy sobie.

— I użyć do swych zamiarów! — przerwał wojewoda. — I pewnie go przy Leszku umieści, aby na straży stał, gdy biskup sam nie może. Któż wie? Iwo gotów mu dać kasztelanię krakowską, lub mnie gdzie odegnąć, aby go na mojem miejscu posadzić. Mnie on nie wierzy!

Andrzej spojrział w tej chwili na ojca takim wzrokiem, że stary się zasromał i pogniewał.

Słów mu zabrakło.

— Tyś bo się tak księdzem stał, iż Jaksą być przestałeś! — zawołał. — Suknia ta przeistoczyła cię. Na mnicha mi patrzysz, a tegom ja z ciebie mieć nie chciał.

Andrzej wstał z siedzenia i poszedł uściskać ojca. Surowa twarz jego drgała jakimś uczuciem.

— Mój ojczy, — odezwał się, potrząsając suknią czarną, — myśmy rycerstwo Chrystusowe,

a tak, jak rycerz, wdziwając zbroję, o wszystkim musi zapomnieć, by w oręż swój włożyć duszę, i my tem więcej, dla zbroi naszej, świata zabywać musimy.

— Mnichem przecież nie jesteś!

— Ale też same mam śluby i obowiązki, — rzekł Andrzej.

— Nim je przyjąłeś, miałeś inne obowiązki dla rodu i ojca, — zawołał Marek.

— Tych się wyrzekłem, gdym postrzyżony został! — westchnął mistrz Andrzej.

Wyraz twarzy ojca świadczył o tem, że nie był przekonany i nie rad całemu sporowi z synem. Westchnął, poszedł do okna, psa cisnącego się odpędził.

— Nie mamy więc co mówić z sobą! — dodał.

Wtem zapukano do drzwi, oba spojrzeli. Ostrożnie je odchylając, wszedł mąż starszy latami od Andrzeja, podobny do niego, a więcej jeszcze do wojewody, z twarzą pooraną fałdami przedwczesnymi, namiętą, srogą, z oczyma, które z pod brwi gęstych zwierzęcym lśniły wyrazem.

Był to ów Jan, zwany w rodzinie Jaszkiem, niegdyś pierwsza przyczyna walki z

Odrowążami, ten, co ich na rzeź wydał na pruskiej granicy, ukarany odebraniem rycerskiego pasa i wygnaniem. Schronił się on był do Czech, które wówczas dla wszystkich niemal zbiegów z Polski były przytułkiem, a po dwóch latach tajemnie powrócił. Dobry Leszek, choć wiedział o tem, przebaczywszy ojcu, syna nękać nie chciał. Patrzano przez szpary, że na dworze ojca przebywał"

nie czyniono mu nic, lecz i do łask nie przywrócono.

W obawie od Odrowążów, Jaszko stał ciągle pod ramieniem ojca i poza nim się tulił, ale

życie to mu obrzydło, pałał więc nienawiścią największą do biskupa, do rodziny i ojcu za jego powolność ciągle czynił wyrzuty. Wojewoda miał doń słabość, jako do swego pierworodnego.

Na widok wchodzącego Jaszka mistrz Andrzej powstał, aby brata, idącego ku niemu,

uścisnąć, lecz ten głową go pozdrowił i prawie niechętnie niewyraźnemi słowy powitał

Zwrócił się ku ojcu.

— Nie wiedziałem o Andrzeju, — odezwał się. — Dziw, że nas chciał odwiedzić, tak sercem do Odrowążów przylgnał.

Ruszył ramionami.

Andrzej, dotknięty, oblókł się swą powagą duchowną, popatrzył i nic nie odpowiedział.

— Nie szkodzi, że pan brat tu, — dodał Jaszko, — tajemnic przed nim nie powinniśmy mieć, nie doszedł może do tego jeszcze, aby swoich zdradzał dla obcych.

— Bracie! — odezwał się Andrzej surowo. Ojciec dał Jaszкови znak, na który on nie wiele zważać się zdawał.

— Tak, — dodał gniewnie prawie, — kto nie z nami, ten jest przeciw nam.

— Naprzód z Bogiem być muszę, — odparł, miarkując się, mistrz Andrzej.

Nie zważając już na brata, Jaszko rozpoczął z wielką gwałtownością:

— Dość mam tego życia samotnego! — zawołał. — Kryć się muszę, jak złoczyńca, wdziac mi zbroi nie wolno. Lada urwisz Odrzywąs może mnie, jako zbiega, pochwycić i wydać. Już mi się to psie życie uprzykrzyło!

Marek przerwał mu surowo.

— Dziękuj Bogu, zem cię ocalił! Czego ci się zachciewa? Oszalałeś!

Oczyrna wskazał na drugiego syna, lecz Jaszko nań wcale nie zważał.

— Jadę stąd precz! — rzekł stanowczo.

— Dokąd? — spytał ojciec.

Nim Jaszko miał czas odpowiedzieć, mistrz Andrzej wstał do pożegnania ojca.

— Idziesz już? — rzekł wojewoda z wymówką.

— Mam swoje godziny kapłańskie, — odparł Andrzej zimno.

Jaszko się dziko uśmiechnął, przez ramię nań spojrzawszy. Księdzu pilno było odejść, zdala więc skłonił się bratu, który się zwrócił i krzyż za nim zrobił w powietrzu.

Gdy Andrzej odszedł, wojewoda z niechęcią i wyrzutem spojrział na syna.

— Pamiętaj, — zawołał, wskazując na drzwi, — ten cię jeszcze bronić i ratować będzie musiał, gdy ty szaleństwem swem w jamę jaką popadniesz.

Jaszko poruszył się wzgardliwie.

— Bóg da, że ja go potrzebować nie będę, — rzekł. — Dobrze zrobił, iż poszedł kapłańskie pacierze odmawiać, bo lepiej, żeby tego nie słuchał, co ja mam powiedzieć. Obmierzło mi to siedzenie za piecem; ruszam dziś lub jutro do Odonicza, do Światopełka, gdzie oczy poniosą do pierwszego lepszego, który będzie stawał przeciw Leszkowi.

Wojewoda wybuchnął, pięści zaciskając.

— Ty jakiś, niewdzięczny! — krzyknął — Pójdiesz po to, abyś na mnie ściągnął nowe podejrzenie, zem ja zdrajcą! Żeby mi starą głowę zdjęto, albo precz wy żeniono! Ty! Jaszko nie zmieszał się gwałtownym występem ojca, będąc nawykłym do podobnych; słuchał go niemal z lekceważeniem.

— Ojczy, nie stanie ci się nic; jamci przecie wolny jak ptak, wedle niemieckiego słowa. Pójdę na stracone imię.

— Pójdiesz odemnie, z mojego domu! — krzyczał Marek. — Wszyscy tu o tobie wiedzą, pomówią, zem cię posłał. Siedź, głupcze, przyjdzie na cię czas!

— Kiedy? Leszka tak mocno posadziliście, że on tu wiekować będzie, a póki on tu i Iwon, dla mnie miejsca nie ma. Leszka mi trzeba won wyrzucić, albo lepiej, — pokazał na szyję, jakby rznął, — boć oni wracają wygnani.

Marek uderzył go po rękę.

— Milcz! — zawołał. Powiedziawszy to, zadumał się i stanął, jakby nim nagle owładnęła niepewność. Jaszko bystry skorzystał z tego mgnienia oka i począł gorąco:

— Ty, ja, my wszyscy, ilu nas tu jest, przepadniemy, czekając czegoś lepszego. Na Leszka trzeba nasadzić wszystkich.

— Laskonogi nie pójdzie; dosyć ma do czynienia z Odoniczem — odezwał się stary cicho.

— A Konrad? — podchwycił śmiejąc się chytrze Jaszko. — Myślicie, że ten nie radby, żeby mu uprzątnięto Leszka? Eh! eh! nie ruszy się może nań, ale i za niego nie ujmie. A Henryk ów pobożny?

— Z nim mi daj pokój! daj pokój! — przerwał Marek. — Ten żony słucha, a żona mu włosienicę rychlej da włożyć, niż koronę. Raz mu zaufałem i miałem tego dosyć. To baba...

— Obejdziemy się bez niego, — szepnął Jaszko kusiciel, widząc, że ojciec uległ jego nagabaniu.

— Pójdzie z Leszkiem, — dodał ojciec.

— Nie straszny on i jego Ślązacy, — począł Jaszko coraz zwawiej. — Tam w domu mają co robić, bo się bracia jedzą.

Przerwał nagle i do ucha podchodząc ojcowskiego, jakby już sprawę miał za wygraną, począł sypać prędko:

— Powiecie, żem krnąbny, nieposłuszny, żem uciekł. Wam nic nie zrobią. Ja muszę do Odonicza, do Światopełka, ja się tam zdam.

— A jak was złapią?

— Zjedzą licha, — krzyknął Jaszko. — Odonicz w mniszej sukni uciekał, ja i tej nie włożę.

Lada opończa starczy. Znam drogi, wiem przechody. Możecie się mnie wypierać, a jeden ja coś zrobić, mam odwagę. O głowę już nie stoję.

— Jaszko — zawołał ojciec czulej, za ramiona go chwytając, — siedziećby ci i czekać.

— Nie! nie! — odparł syn. — Iść mi i pomódz wam, nam, sobie. Wy wojewodą? jakim wy wojewodą? W niewoli! w pogwałceniu! u lada klechy pod stopą... Z tem żyć dłużej nie można.

Marek, na wpół przekonany, zamyślił się. Jaszko kuł żelazo, póki gorące.

— Zniknę tak, że się ani opatrzą, jak się wysunę, — dodał.

— Do Plwacza nie idź, — wymknęło się staremu, — do Konrada nie waz mi się: ten nie będzie śmiał do niczego się wziąć. Światopełk nasza krew, on jeden.

— No, to do niego! — odparł Jaszko, — do kogokolwiekbądź, byłem się stąd wyrwał.

— Jeszcze mi tej troski brakło, — zawołał, — jakbym ich mało miał. A toć lękając się o ciebie, dnia i nocy nie będę miał spokojnej.

Jaszko go w rękę pocałował.

— Śpij, stary, smaczno, a o mnie się nie troskaj. Jaszko sobie radę da... a jak ja zasnuję, wy dotkacie.

Śmiał się dziko, zacierając ręce.

Marek drgnął niespokojny. Zaczęli coś szeptać po cichu i siadłszy rozprawiali tak, aż ich komornik wywołał obu do jadła, które na wieczór podano.

Jak się skończyła rozmowa, oni tylko dwaj wiedzieli; z twarzy jednak miarkować było można, iż się porozumieli i stary już się synowi nie sprzeciwiał.

We dworze potem żadnej różnicy od zwykłych dni nie było, ani przygotowań, ni widomego

ruchu, a gdy trzeciego dnia nie stało Jaszka z kilku ludźmi, Marek wojewoda zdał się nie wiedzieć, że zniknął i nie pytał. Ochmistrowi swemu powiedział głośno, że na łowy pojechać musiał. Tak sądzili wszyscy.

Dopiero w dziesiątek dni, gdy nie powracał, zaczęto się dowiadywać, pytać, niepokoić, szukać, a Marek udawał, iż gniewnym był na syna.

Tegoż wieczora spotkali się na zamku z biskupem, wychodząc od księcia.

— Strapienie mam niemałe, — rzekł, wzdychając, do Iwona, — zginął mi kędyś Jaszko, o

którym wiecie, zem go przez miłosierdzie przytulił. Niespokojna dusza, nieszczęśliwy człek, gnuśności nie mógł znieść, gdzieś znowu tułać się poszedł.

Biskup spojrział bystro na Marka, lecz ten miał twarz tak strapioną, iż trudno było podejrzewać go.

— Niech go Bóg strzeże, — rzekł biskup, — źle uczynił, iż się tak zerwał; bylibyśmy mu u księcia wyrobili łaskę i przebaczenie. Szkoda, by się marnował.

— Zawsze był krnąbrny, — dodał Marek. — W domu z nim ciężar miałem... nieraz i nasrożyć się przyszło.

— Żleby było, gdyby, uchowaj Boże, do Plwacza albo do Światopełka przystał, — rzekł biskup, — rozniosłoby się to, a drugi raz winien, jużby przebaczenia nie zyskał.

— Bóg niech mnie od tego na stare dni uchwowa! — westchnął Marek.

— Z duszy życzę, aby was od tego bólu Bóg miłosierny strzegł, — zamknął Iwo.

Nie mówili o tem więcej. Wojewoda do domu powrócił niespokojny.

Biskup tegoż: dnia przywołał do siebie mistrza Andrzeja.

— Od ojcam waszego słyszał, — odezwał się, — iż Jaszko się oddalił; nie wiecie dokąd?

Andrzej pobladł, spojrział biskupowi śmiało w oczy i z wyrazem, który o prawdzie słów jego wątpić nie dozwalał, rzekł:

— Nic o tem nie wiem. Jaszko niespokojnym był i jest, ojcu go utrzymać trudno było po wsze czasy. Nie winien temu nasz ojciec.

— I ja go nie myślę obwiniać, — odezwał się Iwo spokojnie. — Jaszka wszyscy znaleźmy i

znamy. Lękam się, aby nie wpadł w ręce wicherzycielom. Zły los spotkać go pomoże.

Na surowej twarzy mistrza Andrzeja pokazały się dwie łzy, prędko otarte; pocałował rękę biskupią i oddalił się wzruszony.

Biskup ani nazajutrz, ani dni następnych, spotykając się z wojewodą, już go nie pytało syna.

Tem jasnowidzeniem, jakie dane jest duszom czystym, wiedział on, nie potrzebując badać, iż Jaszko uszedł do Odonicza, lub na Pomorze. Nie przywiązywał do tego zbytnej wagi, bo choć Jaszko był energiczny i jako rycerz, mimo owego pierzchnięcia umyślnego z placu, niepospolitą miał odwagę, na nim jednym nic nie zależało. Wydawał się małym człowiekiem.

W ciągu tych dni biskup był zajęty najwięcej starym Waligóra. Zbierano dlań poczet ludzi, służbę, której część ściągnąć musiano z Białej Góry, odziewano zaciężnych, wyszukiwano czeladź

pokaźną.

Iwo, choćby chciał być łożyc na to, nie miał z czego. Dochody znaczne z biskupstwa i

własne mienie ledwie starczyły mu na mnogie i nieustanne fundacye klasztorów i kościołów, którym się dziwowano, że je z królewską szczodrobliwością nadawał.

Cystersi, Norbertanie, a nawet Dominikanie, których suknie dwaj synowcowie przyoblekli, sadowili się na wsiach i ziemiach, przez biskupa Iwona nadawanych. Sarkała z początku rodzina, widząc tak rozposażone mienie swoje, lecz Czesław i Jacek, bratankowie, już nic nie potrzebowali, Mszczuj miał dosyć; inni widząc, jak Pan w rękach tych pobożnie rozrzutnych mnożył cudownie mienie — umilkli.

Mszczuj, który posłuszny uległ bratu i przejął myśli jego, nie wahał się też własnego grosza dać na to, co za potrzebne uważał. Mała to dlań była ofiara, bo syna nie miał, a dla dwóch córek zawsze dosyć zostać miało.

Ze skarbca więc na grodku wożono nietylko sukno i odzież, ale srebro i złoto,

nagromadzone od tych czasów, gdy za pierwszych Bolesławów było go jak drzewa w Polsce.

Ludzie zdala patrzyli a patrzyli, dziwując się, co Waligóra z tym dworem i ludźmi, tak po pańsku ściągany, czynić myśli.

Pewnego wieczoru, gdy księżę Leszek z łowów z dobrą myślą powracał, a polował za Wisłą

w tych lasach klasztornych, które ojcu Kaźmierzowi dozwolone były, wojewoda go u przewozu przez rzekę spotkał, umyślnie czy trafem, trudno wiedzieć. Korzystał z tego, iż sami chwilę byli.

— Dobrze, żeś Wasza Miłość zażył rozrywki, która mu się dawno należała, — odezwał się.

— Dosyć nasz świętobliwy biskup

Waszą Miłość nastracha i nanudzi, gdy doma siedzicie.

— Czyni to pewnie z miłości dla mnie, — rzekł Leszek, który na biskupa nic mówić nie dawał, — niech go Bóg zdrowym trzyma na opiekę i błogosławieństwo państwu temu.

— A! świętyć jest i za życia błogosławionym go zwać mało, — odparł wojewoda, — lecz jako duchowny, nawykły ludzkie myśli roztrząsać, często próżnym nabawi was strachem.

Leszek się uśmiechnął.

— I sam też trwoży się do zbytku, — mówił wojewoda. — Sądzę, że nie z innego powodu sprowadził sobie do boku brata, który już spoczynku potrzebował. Żal starego.

— Mówicie o Mszczuju Waligórze? — zapytał książę. — Cośem słyszał, iż tu jest.

— Brat go przywiózł mimo woli, — dodał wojewoda.

— Mimo woli Waligórę ściągnąć trudnoby było, — odezwał się Leszek, — bo to żelazny człek.

— Nie ten już, co był, — wtrącił Marek.

Książę spojrział.

— Dobrze, iż biskup go ma, bo rodzinę kocha, a tej się całej wyrzekł dla Chrystusa. Jacka i Czesława pociechy mało, bo ci

Bogu więcej, niż stryjowi służą. Święci to młodzieniaszkowie!

Książę głowę skłonił. Po chwili zapytał wojewodę:

— Co Mszczuj tu myśli poczynać, nie wiecie?

— Nikt go nie widział jeszcze, — odparł Marek.

— Ani ja, — potwierdził książę.

— Że mnichem za przykładem synowców nie zostanie, — mówił wojewoda, — zda się pewnem, bo nie czas... a i córki ma, co pieczy potrzebują.

— Z córkami tu jest? — spytał Leszek.

— Zda się, że ich tu nie ma.

Mówił potem wojewoda o innych rzeczach, usiłując Leszkowi tak właśnie odmalować wszystko, jak on mieć pragnął. Nie kazał mu się lękać niczego, lekceważąco prawił o Odoniczu, wzgardliwie o swym powinowatym Światopełku, z poszanowaniem dla Konrada.

Wtrącono coś o Krzyżakach, rycerstwie, które Leszek rad był widzieć, zasłyszawszy o niem wiele. Wojewoda doniósł, że właśnie dwóch z nich już do Płocka pociągnęło, aby się o uczynione nadania umówić.

Tak gwarząc, dojechali do zamku na Wawel, a Marek, zabawiwszy Leszka, wymknął się do swego dworu.

Nazajutrz księżę zapytał biskupa o brata Mszczuja, którego sławę, siły i męstwo pamiętał.

— Jest on tu, — odparł Iwo, — ściągnąłem go po to, aby Waszej Miłości służył. Wiernych

sług pod te czasy zanadto mieć nie można. Nie potrzeba mu nic — ani tytułów, ani urzędów, a można go będzie użyć, gdzie drudzy nie zechcą lub nie zmogą. Wziąłem go sobie do pomocy, a Waszej Miłości do usług wiernych.

Księżę podziękował.

— Bóg łaskaw, — rzekł, — służba będzie u mnie coraz lżejszą. Pokój uchwalimy i używać go będziemy!

Biskup spojrział nieśmiało na pana swego i zamilkł.

VII.

Ksiądz Żegota miał serce litościwe, które nieraz już w życiu za chwilowe wzruszenie odboleć musiało.

Gdy nocą nadciągnął pod Białą Górę Otto von Saleiden z dwoma rannymi ochotnikami,

ksiądz Żegota nie umiał się oprzeć pokusie miłosierdzia, chociaż wiedział dobrze, iż dając pomoc nienawistnym Niemcom, narazi się na gniew pana swojego, Waligóry. Szczęściem starego w domu nie było i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nierychło zapewne miał wrócić.

Widok tych dwóch chłopaków w pełni życia, rannych niebezpiecznie i narażonych na zgubę, jeżeliby im kto nie dał przytułku, poruszył do głębi starego księdza.

Nazajutrz pacholek, wysłany dla szukania obozu, powrócił, prowadząc z sobą Konrada von Landsberg. Gdy ten zobaczył, w jakim stanie byli dwaj chłopcy, uniósł się gniewem wielkim najprzód na nich, potem na towarzysza, brata Ottona, że na szaleństwo to pozwolił, naostatek zakrzyczał wielkim głosem, iż choć Gero był jego bratankiem, ale ani dla niego, ani dla Hansa nie myśli się w podróży wstrzymywać i tracić czasu, gdy nań w Płocku oczekiwano.

Otto uczynił mu uwagę, że tak przecie dwóch ziomków porzucić niepodobna w pośród drogi, w kraju, w której mogli uleść napaści jakiej bezbronni, albo nawet zemrzeć z choroby i głodu.

— Niech giną, kiedy sami się na to wystawili, — wołał nielitościwy Konrad. —

Przedewszystkiem idzie sprawa zakonna, nam powierzona...

Tak się to mówiło w pierwszym zapale gniewu, lecz gdy przyszło spełnić groźbę, sam nieubłagany Konrad wahać się zaczął. Wozić za sobą dwóch rannych było niepodobieństwem.

Ksiądz Żegota, który rano pobiegł z grodu do szopy zobaczyć, co się działo z rannymi,

przytomny był wrzawliwej scenie między Konradem, Ottonem i Geronem. Przy nich, kwiatkami sobie włosy przystroiwszy, siedziała Dzierła.

W ostatniej chwili, gdy już do stanowczego kroku przyjść miało, Konrad von Landsberg zobaczył starego księdza.

— Ależ to nie może być, ażeby w kraju, który się chrześcijańskim zowie, rannemu biedakowi odmówiono przytułku! — zawołał.

— Wszędzie go znajdziecie, a szczególnie po klasztorach, w których ochotnie przyjmą chorego i pielęgnować go będą, — rzekł ksiądz Żegota, — wszędzie, tylko nie tu, u nas.

Wskazał na zamek i górę.

— Cóż to, poganie go zajmują? — zawołał Konrad.

— Nie, ale pan nasz nie przyjmował nikogo obcego nigdy, — odparł ksiądz. — Taki sobie ślub uczynił. Nie ma go nawet w grodzie, a bez niego nie ważyłby się nikt.

Konrad burzyć się zaczął na to.

— Co tam gród! pan! — zawołał. — Wy jesteście osobą duchowną, wy żadnemu panu nie

ulegacie. Wasz pan jest tam, gdzie i nasz: w Rzymie! Weźcie go do swego domu... do niego nikt nie ma prawa!

Stało się chwilowe milczenie. Konrad namarszczywszy się, już nie rozprawiając, nie sporząc, poszeptał coś Ottonowi, zbliżył się do synowca Gerona, któremu długo coś w ucho kładł, potem sam na konia siadł i Ottonowi i pachołkom dał znać, aby toż samo uczynili. Gdy wszystko było do odjazdu gotowem, dumny Krzyżak, podparłszy się w bok, podjechał ku księdzu Żegocie.

— Słuchaj, ojcze, — rzekł tonem nakazującym, — czas u mnie drogi, tracić go na spory i gadaninę nie mogę. Zostawiam tu tych rannych... na łaskę Bożą... Zginą — odprowadzę za nich nabożeństwo kapłani nasi! Ale wy będziecie mieli ich na sumieniu; róbcie sobie z nimi, co chcecie — ratujcie, porzućcie, to wasza sprawa. Ja zmuszony jestem zdać się na was.

Mówiąc to, mądry Krzyżak czuł bardzo dobrze, iż ksiądz nie będzie miał serca dać zginąć rannym.

Jeszcze raz dwaj starsi obrócili się ku leżącym pod szopą, coś szwargocząc, potem Konrad rzucił parę słów Geronowi i tęgim klusem wszyscy popędzili do obozu, zostawiając Gerona i Hansa samych pod dozorem baby i księdza.

Na chwilę ogarnęła księdza Żegotę rozpacz, załamał ręce i zawołał:

— Jezu miłosierny, ratuj! Co ja tu

Chciał uciekać na gród, zrobił krok i litość go wzięła; zatrzymał się, zwrócił, podszedł do Gerona, który przytomny, z nogą obwiązaną siedział, nie straciwszy młodzieńczej jakiejś odwagi i ufności.

Dzierła z nadzwyczajną pilnością czuwała nad Hansem, którego to jakiemiś ziołami, warzonemi w garnuszkach, poiła, to go okrywała, to mu coś jak dziecku po cichu nuciła i chudemi rękami znaki jakieś nad nim robiła.

— Nielitościwi ludzie! nielitościwi — zawołał ksiądz do Gerona, — oto was opuścili.

Ciężki chód koni krzyżackich tętniał, coraz się oddalając.

— No, ale znajdą się litościwi, którzy nas przytulą! — odparł Gero, spoglądając na niego.

— Jużciż w tej szopie, otwartej na cztery wiatry, porzucić nas byłoby srogiem barbarzyństwem, bo ja, jak ja, ale Hans tu do tygodnia zginie marnie, gdy go chłód nocny obejmie.

— Szopę chyba oprawić trzeba! — szepnął ksiądz, — bo do zamku ani myśleć. Zrobię, co mogę.

Gero ruszył ramionami.

— Ojcie, — rzekł śmiało, — ja ufam, że wy coś wymyślicie.

Ksiądz Żegota, nie mówiąc nic, a głową potrząsając, chodził i coraz to stawał nad Hansem.

— Dzierla, — odezwał się do baby półgłosem, — może on żyć?

Zapytana przybrała minę wyroczni, spojrzała na chorego, przyłożyła mu rękę do czoła, wskazała na grubo obwiązaną nogę, rozpostarła ręce, podniosła je do góry i westchnęła.

— W dobrej izbie, na posłaniu wygodnem, jakby go dzień i noc nie odstępować, — poczęła żywo, — czemu by nie miał żyć? Czy to z takich ran ludzie nie wychodzą? Ten młody i śliczny chłopiec ma jeszcze tyle życia! Czemu by nie miał żyć?

Zamyślił się ksiądz.

— Przyjdę wieczorem, — szepnął Geronowi i tak go porzucił.

Na grodzie, gdzie od lat wielu o obcych ani słyszano, ani ich widziano, ciekawość była

wielka, gorączkowa. Nad ostrokołami naprzeciw szop wisieli ludzie, patrząc, czy co nie zobaczą, choć nie ważyli się iść bliżej.

Gdy ksiądz Żegota powrócił, obłązonego pytaniami. Ale stary pomruczał coś niewyraźnie,

opędził się natrętom i oświadczył podżupanowi, Teleszowi, że owi ranni, co leżeli pod szopą, najdalej nocą opuszczają ją i pojedą w świat, bo tu nie mają co robić.

Ze wszystkich ciekawych najciekawsze na grodku były dwie piękne Halki. Ojciec im

zawsze malował Niemców, jak najdziksze zwierzęta, mówiono o tym narodzie wiele, a to budziło pragnienie poznania tego stracha i dziwadła. Trafia się często, że to, co obrzydzić komu pragniemy, właśnie dziwną w umyśle ludzkim sprzecznością nęci i pociąga.

Gdy ksiądz wrócił z pod szopy, obie Halki, nim doszedł do swojego dworku, drogę mu

zastąpiły. Ksiądz Żegota, który na nie patrzył, jak rosły, i od dzieci prawie je wychowywał, co je uczył pacierzy, modlitw i pieśni, a kochał jak swoje, był dla nich słabym; czyniły z nim, co chciały.

Dość, żeby mu się uśmiechnęły a szczebiotać poczęły, stary zapomniał o wszystkim.

Starsza Halka wnet go zasypała pytaniami.

— A! co bo się tak troszczycie o tych brzydkich Niemców, których pan nasz tak nie cierpi?

Licho ich tu przyniosło! No, zapowiedziano im, ażeby się wybierali precz i muszą!

— Jakże, kiedy mówią, że są ciężko ranni? — odezwała się Hala.

Ksiądz Żegota ramionami niecierpliwie zżymnął.

— Niech ich tam! — zawołał. — Jakby się pan nasz dowiedział, że mu tu jego ziemię stopami dotknęli, byłoby, było!

— Straszni są? Prawda to, że na głowach noszą rogi? — bojaźliwie wtrąciła druga.

Rozśmiał się ksiądz mimowolnie.

— Prawda! rogi mają na hełmach! — rzekł, — ale ci dwaj ranni młodzi są jeszcze bardzo... i podobni do ludzi.

— I pojedą precz, a my ich nie zobaczymy? — wtrąciła jedna. — A, ojczy! jakby nam się chciało widzieć ich choć z daleka! z daleka!

— Co się wam śni, dzieci! A gdyby pan nasz dowiedział się o tem?! — odparł żywo księżyna.

Dzieci spuściły oczy zawstydzone i zarumieniły się.

— Czyi i spojrzeć na nich grzech? — szepnęła jedna.

— Ich do nocy już nie będzie! Muszą precz! precz! — zakończył ksiądz, spiesząc do domku i nie chcąc dalej prowadzić rozmowy tak grzesznej.

Wszystkich też zbywał prawie tak samo, jak dwie Halki, ale co myślał i zamierzał, było prawie nie do wiary.

Postanowił nieszczęśliwym dać przytułek w swoim dworku. Szło o to, aby żywa dusza nie wiedziała o tem; ksiądz sam miał stać na straży, dom zamknąć i przekradać żywność, zaprzeć wrota podwórka.

Wydawało mu się to chwilami niemożliwym, to znowu łatwym. Oprócz Dobrucha nikt do niego nie zaglądał; podżupana Telesza umiał uchodzić i uwagę jego odwrócić.

Najtrudnijszem ze wszystkiego zdało mu się przeprowadzenie nocą ową tylną furtą nie już Gerona, który z pomocą, sam się mógł przewlec, ale Hansa, którego nieść było trzeba. Zwierzać się nikomu i

w pomoc brać ludzi nie chciał, on więc chyba sam z Dzierlą musiał z nim wdrapać się na górę, na wał i nocą przesunąć się do dworku. Chory majaczył i krzyczał głośno... lecz

wszystkowiedząca Dzierła coś mu na sen dać mogła.

Po długich namysłach okazało się wreszcie, że zamiar się wykonać nie dawał inaczej, jak z pomocą Dobrucha. Starowina był posłuszny, milczący, lecz nie wychylając się z bramy gródka, w którym Niemców nie cierpiano i miano ich w ohydzie wielkiej, podzielał wstręt do nich, wpojony przez Mszczuja. Szło o to, aby go skłonić w imię Boże do ratowania ludzi.

Nie wzdragał się ksiądz Żegota dać mu ich za Włochów, lub innych jakich obcych ludzi.

Tak się i stało. Poszeptał z nim przed wieczorem. Dobruch się zrazu otrząsał, opierał, ale nawykły ulegać proboszczowi, wkońcu z pokorą rzekł, że zrobi, co każe.

O zmroku ksiądz się spuścił z góry, jawnie w oczach wszystkich niosąc koszyk w rękę,

wszedł do szopy i nie wdając się w tłumaczenia żadne i rozmowy, dał po cichu rozkazy jakiegoś Dzierli, a Geronowi powiedział znacząco:

— Róbcie tak, żeby z ostrokołów patrzący myśleli, iż nocą precz jechać macie. Zbierajcie się, jak do drogi.

— Dokąd? — zapytał Gero.

— Czyńcie, jak mówię, — rzekł ksiądz dobitnie. — Widzicie, że wam źle nie życzę, bobym tu nie przychodził, gdybym co złego myślał: zaparłbym furtę i siedział na gródku.

Gero nań popatrzał, a ksiądz dodał:

— Gdyby ci baba albo ja podał rękę, wszedłbyś na tę górę?

— Trudno! — dodał Landsberg, — noga mi opuchła i boli, ale...

— Ale gdy koniecznie trzeba?

Gero tylko głową wskazał, że zrobi, co musi.

Zaczęły się tedy widome z góry na wałach przygotowania do pochodu. Wiązano płaszcze,

zbierano odzież, zrzucano sakwy do kupy. Dzierła chodziła, kręciła się i otuliwszy płachtą, niby żegnała, wybierając się nazad na gród. Widziano ją idącą pod górę. Tymczasem mrok zapadł.

Ksiądz wrócił i opowiadał, że mają przybyć ludzie z klasztoru pobliskiego i zabiorą chorych.

Ciekawi się uspokoili i od ostrokołów odeszli, bo noc nadciągająca nie dozwalała też nic widzieć.

Dzieło miłosierdzia było cudem prawdziwym. Ksiądz Żegota musiał czekać, aż wszyscy się pospali; potem obejść grodek z tej strony, psy pozamykać i dopiero z Dobruchem spuścić się na dół z wielkimi ostrożnościami, by nikt ich nie widział, ni posłyszał.

Hansowi w istocie Dzierła dała napój na sen. Straciwszy tyle krwi, śpiący wydawał się, jakby w nim życia już nie było. Ksiądz Żegota sam z Dobruchem wziął go na przysposobione nosze, ale troska była wielka, czy one ciasną furtką na grodek wcisnąć się dadzą.

Dzierła, ujawszy pod rękę Gerona, którego wesoła myśl nie opuszczała, pomagała mu wdrapywać się powoli na górę.

I niosącym i idącemu szło niełatwo; tamci znużeni, musieli często odpoczywać, a Gero, żeby nie krzyczeć, ręką sobie usta zatykał... i sił mu też brakło, choć się na babie opierał.

Pochód ten pod strome wzgórze zdawał się trwać wieki: furta jakby naumyślnie się oddalała. Gdy przy niej stanęli, a trzeba ją było otworzyć, Hans, którego nosze drgnęły, gdy je na złemi składano, przebudził się i począł mruzczeć. Dzierła musiała biedz i znów zażegnać go na sen.

W samej furcie nosze, za szerokie na nią, musiano tak pochylić, iż przytrzymywali bezwładnego Hansa, by się nie stoczył. Ledwie nareszcie, zaparłszy znowu wniście, poczęli bokami przesuwać się do dworku księdza, stąpając jak najciszej, gdy pozamykane psy węchem obcych poczuły i strasznie ujadać zaczęły. Trzeba było spieszyć, aby stróże się nie zbudzili i w tę stronę nie przyszli.

Gero, już na poły z bólu omdlały, ledwie się włókł, tak, że do parkanu doszedłszy, musiał się oprzeć o niego i spoczywać. Jednakże pomimo tych trudności udało się księdzu cudownie, niczyjej nie zwróciwszy uwagi, chorych przeprowadzić do siebie i gdy nazajutrz ciekawi wyjrzeni ku szopie, nic już w niej nie było widać, tylko resztki słomy, zgasły ogień i niedopalone główne.

Podżupan Telesz, stary, prostoduszny człek, który nie przypuszczał nawet, aby coś nadzwyczajnego w powierzonym mu grodzie stać się mogło, spotkawszy rano księdza Żegotę, oznajmił mu, że, chwała Bogu, Niemców lichy wzięło i pod szopą nie ma ich już ani śladu.

Ksiądz Żegota wysłuchał nowiny z pozorną obojętnością.

— Panu naszemu nawet mówić i donosić nie trzeba, że tu jacy Niemcy byli, — dodał

Telesz, — bo i za to gniewałby się srodze, że im szopy pozwolono.

Na grodku nic się na pozór nie zmieniło. Dzierła tylko rozgadała, że musi iść po zioła i grzyby i pewnie jej długo nie będzie. Parobczaki, których była pośredniczką do dziewcząt, zafrasowali się niezmiernie, że ich opuszczała i prosili, by wracała. Znikła potem, ale w istocie siedziała wciąż przy chorym Hansie.

Ksiądz Żegota mówił, że mu w jego dworku smutno było samemu i przeniósł się do rodziny, a bramę kołkiem podparto. Dom stał niby pustką. Przesuwano się doń i wyslizgiwano nocami, mrokiem, gdy żywej duszy nie było.

Geronowi i Hansowi, zamkniętym jak w więzieniu, co do pierwszych potrzeb życia na

niczem nie zbywało. W początkach nawet było im dobrze i Gero się radował, że uszli cudownie niebezpieczeństwa. Noga jego przy staraniu, jakie miała o nią Dzierła, zaczynała się goić nadzwyczaj szybko i szczęśliwie. Hans nawet po kilku dniach, choć osłabiony i wychudły, odzyskał

przytomność; rana była ciężka, potrzebowała więcej czasu do zupełnego uleczenia, ale baba ręczyła, śmiejąc się, że na weselu tą nogą będzie wywijał tak, jakby jej dzik nie kosztował.

W miarę, jak zdrowie powracało, obu Niemcom zaczynało się robić straszliwie nudno.

Gero, jak tylko o kiju chodzić zaczął, nie wysiedział w izbie: mimo zakazu wykradł się na podwórko i przez szpary tynu opasującego je, wyglądał... choć najczęściej widywał tylko ogony psów, albo przebiegające konie.

Gdy Hansowi zaczęło być lepiej, Dzierła, której także się nudziło zamkniętej, udała, że powróciła z lasów i nie siedząc już ciągle przy chorych, niekiedy się tylko do nich wkradała, przynosząc jadło i leki.

Pomimo największych ostrożności około dworku, aby się nie wydało dzieło miłosierdzia,

nad którego skutkami myśląc, ksiądz Żegota drżał, chodzenie do pustego domku, kręcenie się przy nim nie mogło ujść baczności ludzkiej. Dorozumiewano się czegoś, szeptano.

Jeden tylko Telesz, podżupan, człek spokojny i ślepy, nawet gdyby był coś podejrzanego

zobaczył, własnymby nie wierzył oczom. Tak zuchwałego czynu niepodobna mu było przypuścić, ani on księdza, którego szanował, posądzić.

Powracając z lasów Dzierłę wszyscy jej przyjaciele i ci, co jej potrzebowali, przywitali radośnie. Stara ze swemi gadkami, baśniami, piosenkami, była dla nich jedyną na tej pustyni rozrywką. Obie Halki, którym bez ojca tęskno było, zaraz kazały ją przywołać do siebie. Musiała im opowiadać, co widziała w lasach, co słyszała po świecie i co jej na myśl przyszło.

Dzierła, gdy jej prawdy brakło, zastępować ją musiała wymysłami najdziwaczniejszemi.

Słuchając jej, można było myśleć, że widywała rzeczy, które dla innych śmiertelnych nie były dostępne.

Przytem opowiadając nawet najstraszniejsze rzeczy, zawsze je tak umiała obrócić, iż uśmieszek wywołały i sama brała wesoło, co życie przyniosło.

Nie wiedzieć jak, jednego wieczoru rozmowa wszczęła się o owych rannych Niemcach, którzy leżeli pod szopą. Wiedziały Halki, że Dzierła przy nich była; zaczęły nalegać, prosić, aby im ich opisała, czy w istocie tak straszne to były stworzenia, jak ojciec o nich rozpowiadał.

Posłyszawszy to zapytanie, Dzierła aż przysiadła, tak się jej na wesołość zebrało. Długo mówić nie mogła od śmiechu.

Dwie Halki patrzyły na nią zdziwione bardzo... co też to znaczyć miało?

Oczy jej śmiały się długo jeszcze szydersko, choć usta już śmiać się przestały.

— Więc mów, — nagliły Halki, — jakże oni wyglądają?

Dzierła wahała się jeszcze, namyślając, czy ma zrobić z nich straszdyła, czy biednym dziewczętom oczy otworzyć.

W izbie nie było nikogo. Na ławie pod okienkiem siedziały dwie Halki, rączki sobie zarzuciwszy na ramiona, główki sparłszy, skroń ze skronią, z oczyma wlepionymi w starą, która na ziemi u ich nóg przypadła, osłonięta płachtą, obwieszona sznurami paciorek i przystrojona w kwiatki jesienne.

Obejrzała się Dzierła i palec położyła na ustach.

— Takich chłopaków, jak oni, — szepnęła, — ani ja, pókim żywa, ani wy nie widziałyście i może nie zobaczycie! Są oni tak piękni, jak dziewczątka, krew z mlekiem, a wesołe ptaszki, choć z nich krew się lała... a śmiałe i mężne!

Dziewczętom się wydało, że Dzierła z nich sobie żartuje.

— Gdyby Niemcy takie były, jak ty mówisz, — rzekła starsza, — za cóżby ich ojciec tak nie cierpiał, że gdy ich wspomni, zęby mu zgrzytają i ręce się same ściskają w pięści?

— Co mnie naszego pana, ojca i knezia białego sądzić? — rzekła Dzierła. — Czy ja wiem, dla czego on ich nie ma za ludzi?

Mówię, co oczy widziały, co uszy słyszały... i tyle.

Tego dnia już nie było o nich mowy.

Wieczór był jasny. Dwie Halki poszły, iak zawsze razem, pobrawszy się pod rękę, chodzić po podwórcach, po wałach... a chodząc, to się śmiały, to śpiewały, to szeptały półsłówkami, bo im dosyć było znaczkę, szeptu, skinienia, ażeby się zrozumiały. A gdy tak rozmarzone i tęskne dziewczęta snuły się kroczkami powolnemi i przechodziły około parkanu, który pusty domek ogradzał, właśnie był Gero wykradł się z niego i przez szpary wyglądał.

Nagle zadrżał i przetarł oczy. Zdało mu się, że chyba biały obłoczek jakiś przed niemi przepłynął. Dwie Halki mignęły mu i stanęły.

Stały tak drobinę czasu, nie wiedząc o nim, jakby umyślnie na to, żeby się im lepiej przypatrzył. Gero, że mu szczelina u góry była do chciwego patrzenia za wąska, padł na kolana, o chorej nodze zapomniawszy, przychylił się do samej ziemi, pożerając je oczyma.

Dwie Halki uśmiechały się sobie i szeptały coś; jedna drugiej wianuszek poprawiała na głowie. Śmieszek, jak śpiew ptaszęcy, zaszeleścił w powietrzu i... znikły.

Gero nie mógł się podnieść z ziemi, goniąc je oczyma.

Właśnie na to wśliznęła się stara Dzierła i zobaczywszy go na trawie leżącego, odgadła, na co patrzył, co zobaczył. Ogarnął ją najprzód strach jakiś, a potem wesołość pusta. Poszła Geronowi pomódz wstać z ziemi i pogroziła mocno.

Niemiec wszelkiemi sposobami, rękami, bełkotaniem wyrazów, jakich się nauczył, usiłował dobyć z Dzierli, co to były za dwie białe, te cudnie piękne i tak strasznie do ciebie podobne dziewczyny. Baba, rękami wywijając, trzepiąc, odganiała pytania, odmawiała odpowiedzi, ale śmiech i radość patrzyły jej ze starych oczów.

Weszli tak do domku, a Gero nic pilniejszego nie miał nad to, by się z Hansem podzielić wiadomością o dwóch ślicznych, jak anioły, dziewczątkach.

— Nie proste to dziewczki, — dodał, — bom tych siła już widywał idących ze dzbankami po wodę, a przecież nie zachwalałem ich, bo choć której pyszczek był nieszpetyny, wyglądały jak czerwone kłody; ale tym tylko skrzydła dać, poleciałyby w obłoki.

— Oszalałeś, — rzekł Hans.

— Ono to nic jeszcze, że piękne, — mówił Gero, uspokoić się nie mogąc, — dziwniejsza

rzecz, iż ich dwie, tak do siebie podobnych, że jednej od drugiej rozróżnićby nie można i jakby się człowiek rozmiłował, musiałyby w obu. — To ci na rękę, — rzekł Hans, — bo gdy się miłuje, nigdy tego dosyć, ale tobie od rany w nodze oczy się pokrzywiły... albo drwiesz ze mnie.

Gero znowu do Dzierli się zbliżył, usiłując z niej coś wyciągnąć. Widząc jego zachwycenie, baba się ulitowała i rozmaitemi ruchy ukazała mu, że stały wysoko, że były córki pańskie, że pan synów nie miał, tylko ich dwie i że chyba księżęta godni ich byli...

Dać wszystko to zrozumieć bez pomocy wyrazów mogła tylko zręczna Dzierla tak

chciwemu, a odgadującemu łatwo, jak Gero. Pokazywała mu zamek cały, ręce przykładając do serca... oczy podnosiła i spuszczała. Czego Gero nie rozumiał, domyślił się.

Kilka wyrazów już się był od starej nauczył, więc powiedział jej także, ręce do piersi cisnąc, oczy do góry podnosząc, że się strasznie w dziewczętach rozmiłował. Dzierla wyraziście rękami odpowiedziała mu, że o nich ani mógł myśleć.

Gdy stara wyszła z izby, Gero na cały wieczór miał o czym mówić Hansowi, który choć się niecierpliwił, lecz i zaciekawił mocno. Noga obrzękła, której poruszyć nie mógł, ani myśleć nie dawała o podpatrywaniu przez płoty. Śmiały Gero nazajutrz tak był niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej, iż wprost księdzu Żegocie się przyznał, co widział i zapytał o dziewczęta.

Usłyszawszy o tem, stary ksiądz uląkł się strasznie i długo nie mógł mu odpowiedzieć, a w ostatku surową twarz czyniąc, krótko odrzekł:

— Nie godzi się gościnności nadużywać. Widzieliście córki mojego pana, więcej o tem mówić nie chcę i nie będę.

Gero przeprosił starca i zamilkł. Wychodząc, ksiądz Żegota upomniał go jeszcze surowo, aby się w podwórzu nie pokazywał i nieszczęścia. na głowę jego nie naprowadzał.

Przyszedłszy nazajutrz, Dzierla sama wyzywać poczęła Gerona za bałamutną rozmowę o

dziewczętach; babie śmiało się to, że chłopak męczył się i z miłości głowę tracił, gotową była ogień podsycać, nawykła do tego między dziewczętami i parobczakami. Wracało jej to nieodżałowaną młodość i przy tym ogniu grzała się.

Gero rad był choć z nią mówić o nich, dowiedział się nawet imion Hali i Halki, które, jak szalony, powtarzał ciągle.

Pomimo zakazu księdza, nic już nie mogło go powstrzymać od ciągłego stawania przy

tynach u szpary, którą nożem swym ostrożnie rozszerzył tak, aby wygodnie mógł wyglądać. Ale cudne owo zjawisko tak upragnione nie prędko się znów ukazać miało. Gero powracał do izby i stękając, mówił Hansowi: — Nie było nikogo! Widziałem dwa psy i pół cielęcia.

Życie Leszka Białego na grodzie krakowskim płynęło teraz od czasu, gdy wielki zamach

Henryka śląskiego spełził na niczem i skończył się zawartym sojuszem, spokojnie, cicho,

szczęśliwie, tak, jak on sam pragnął, na wół przy rodzinie, wół w lasach, na koniu, lub rycerskich turniejach i igrzyskach. Wszystkie ważniejsze sprawy kraju, jak niegdyś za ojca Kazmierza, leżały na ramionach biskupa, zawisły od jego rady i kierunku.

Iwo rozumem, świętobliwością i powagą przewodniczył wszystkiemu rycerstwu

krakowskiemu, a Jaksowie, nawet nieprzyjaźni mu, głośno przeciw niemu szemrać nie śmieli.

Leszek rad był, nawykłszy do tego za życia matki, szukać zawsze opiekuna, na którymby się opierał. Takimi byli dla niej i dla niego Goworek, na przemiany z Mikołajem wojewodą; kilkakroć to poczucie własnej słabości czyniło ich uległymi nawet Mieszkowi Staremu, a później

Laskonogiemu. Zmuszony prawie po bitwie pod Zawichostem objąć rządy krakowskie, Leszek nie wprzód się zgodził na zajęcie miejsca Laskonogiego, aż się zapewnił o pomocy Marka wojewody i biskupa Iwona.

Mówiliśmy, że Marek i Jaksowie zdradzali pana, został więc jeden biskup Iwo, na którym

Leszek mógł się bezpiecznie oprzeć. Było to dlań rzeczą najpożądańszą, czuł się spokojnym.

Po ojcu wziął pobożność i łagodność, z matki charakter słaby i nie umiejący wytrwać przy jednym postanowieniu; biskup więc był dlań potrzebnym, był dlań prawdziwym ojcem.

Szczęściem był to mąż prawy, któremu tylko zbytnie rzeczami niebieskimi zajęcie czasem nie dozwalało wszystkich ziemskich przewidzieć. Kilkakrotnie zwiedzając zachodnią Europę, Francję i Włochy, Iwo dał się łatwo owładnąć temu duchowi zapału religijnego, jaki w niej panował. Tego ducha zaszczepić w kraju u siebie pragnął Iwo; w Rzymie patrzył na cuda

Dominika, nasłuchał się o ubogich zakonnikach, powrozami przepasanych, w Asyżu; wzory tych ludzi wielkich nie dawały mu spoczynku. Wolałby był może i on wstępować w ślady tych mistrzów i wyrzec się wszystkiego, co ziemskie, tak, jak mistrz i pasterz Wincenty, który infułę złożywszy na ołtarzu, poszedł, przywdziawszy habit Cystersów, do cichej celi zakonnej zakończyć życie. Lecz Iwonowi, biskupowi Krakowa, który na równi ważył z Gnieznem, nie godziło się opuścić straży około księcia dobrego a słabego.

Szło o pokój kraju, a razem i o szczęście tego człowieka, do którego się przywiązać musiał

każdy, kto go znał i z nim żył. Leszek, zostawiony sam sobie, padłby był znowu ofiarą jednego z tych, co czyhali na Kraków, główną stolicę, pierwsze księstwo naczelne ziem wszystkich.

Iwo, który ciągle klasztory zakładał, kościoły mnożył i nieustannie czynnym był około

spraw dyecezyi, sam wszystkiemu podołać nie mógł, wezwał w pomoc Mszczuja Waligórę, na

którego poczciwości mógł polegać. Miał on dlań być prawą ręką, a dla złych ludzi postrachem.

Biskup nie postanowił jeszcze, co mu da do czynienia, lecz wiedział, że użytecznym będzie. Chciał

go tu mieć niezawisłym, bez urzędu i godności. gotowym zawsze chwycić czy za oręż, czy ustami się rozprawić z niechętnymi i podejrzanymi.

Po owych łowach, z których wracającego Leszka pochwycił na drodze Marek, chcąc czy

wy badać, czy przygotować, nazajutrz księżę spoczywał, ciesząc się dziećmi, Salomeą swoją i Bolkiem, wesoło rozprawiając z żoną, przywołując komorników, aby mieć więcej około siebie uśmiechających się twarzy.

Nie był to mąż, stworzony na panującego, rządy mu ciążyły i dolegały; ludzie, co mu spokój truli doniesieniami, niepokoje przynosząc, nie mieli u niego łaski. Przy całej miłości dla biskupa, Leszek mu to jedno miał za złe, że go trapił ciągłymi postrachami.

Zaledwie od żony był odszedł dnia tego i zabierał się z Pakoszem strzelać do celu, gdy pacholę nadbiegło, oznajmując mu o Iwonie.

Biskup szedł od kościoła zamkowego sam jeden ku dworcowi pańskiemu, pogrążony w myślach, czy modlitwie, gdyż rzadko było można Iwona zastać bez modlitwy na ustach.

Leszek wyszedł zaraz naprzeciw niego, wesołą przed chwilą twarz starając się do powagi nastroić. Powitawszy go, jak ojca, wiódł do osobnej izby, sadząc troskliwie i dopytując, czyby nie miał jakiego smutku, gdyż tak się zdawał być chmurnym.

— Powszedni chleb, powszedni chleb, — odparł Iwo. — Każdy dzień przynosi zło- śliwość swoją. Nie ma nic ciężkiego, lecz i pociech nie wiele.

— Trochę ciężaru z ramion zbyt obarczonych powinniście, ojczy miłośnicy, zdać na drugich, toby wam lżej było.

— I ja to czuję, — odparł Iwo, — dla tego zmusiłem niemal brata, co się był na pustynię cofnął, aby mi do boku stanął. Jest to mąż prawy, a choć długiem odsunięciem się od nas zadomowiał i obcym się stał, rychło on przejrzy i zda się nam bardzo.

— Radbym go widział, tego brata waszego, — rzekł Leszek, — i mnieby był pożądanym.

— Dziś, — odpowiedział biskup, — jest mu na dworze nieswojo; ale przyprowadzę go, aby się panu pokłonił.

— Tak, czem prędzej, tem lepiej, — rzeki księżę.

— Tymczasem jednak, — kończył biskup, — myślę go wyprawić, aby mi dostał języka.

— Skąd? — spytał ciekawie Leszek.

— Chciałbym wiedzieć, czy na wrocławskim dworze zawsze ku nam toż samo serce mają, jakie mieć się obowiązali, — mówił Iwo. — On przejrzy, co tam się dzieje.

— Lecz ja nie mam wątpliwości żadnej o sercu księcia Henryka, brata mego ukochanego.

— Ani ja go podejrzewam, — rzekł biskup. — Lecz tam już dwaj synowie więcej znaczą, niż rodzice, a tych Bóg jeden wie!

— Dzieci tak świętych rodziców musiały wziąć po nich cnotę, — odparł Leszek.

Biskup zmilczał chwilę.

— Miłościwy panie, — szepnął ciszej, — ten, którego łaską swą okryłeś, Jaszko Jaksa, syn wojewody, który się tulił przy ojcu... uszedł. Nie ma go. Duch w nim niespokojny; lękam się, by się nie udał na który z dworów, aby tam, jak niegdyś ojciec, wicherzyć przeciwko tobie.

Leszek rzucił się niecierpliwie.

— Jaszko uszedł! — powtórzył nieco poruszony, siadając zaraz znowu, — mówicie, że uszedł? Jesteście tego pewni?

— Nie ma wątpliwości; pytałem mistrza Andrzeja: potwierdził tę wiadomość.

— Jaszko uszedł! — powtórzył raz jeszcze niespokojnie. — Nie obawiam się go, człek jest mały; lecz przez małych też złe się dzieje, a któż wie? jam temu winien może!

Biskup spojrział zdziwiony.

— Tak, — odparł książę, — uczyniłem miłosierdzie połowiczne, gdy trzeba było zrobić całe. Nieczynny siedział, sprzykrzył sobie...

— Ucieczka Jaszka, który najprędzej mógł się udać do Wrocławia, do dawnych ojca przyjaciół, niepokoi mnie, — odezwał się Iwo, — dla tego chcę na ten dwór Mszczuja wysłać.

Leszek potwierdził pokłonem zdanie biskupa, nic nie mówiąc. Widać było niepokój na nim; długi rękaw swej sukni machinalnie ująwszy, szarpał go, patrząc na podłogę.

Iwo, otrzymawszy przyzwolenie Leszka, nie chciał męczyć go dłużej; wstał, jakby go

myślał pożegnać. Książę, zobaczywszy to, uprzedził go i z uszanowaniem ująwszy za obie ręce, posadził znowu na krześle.

— Jaszko uszedł! — zamruczał. — Cóż wojewoda?

To mówiąc, bystro spojrzął na biskupa.

— Widziałem go zgryzionym tem, gniewnym na syna; nie posądzam, lecz ojciec musi mieć rodzicielskie serce... a nam należy czuwać.

— Tak, czuwać! Nieustannie nasłuchiwać, dzień i noc się obawiać, nie mieć jednej niezamąconej godziny — tak, to jest dola tych, którym drudzy zazdroszczą! — westchnął Leszek.

— O! czemużecie wy mnie nie pozostawili w spokojnym Sandomierzu, na małym udziale, z któregoby mnie nikt nie wypędzał — dodał z gorzką wymówką. — Tam byłbym ja i moi szczęśliwsi.

— Dla tego, miłościwy panie, tobie szczęścia poskąpiono, ażebyś je dał drugim —

rzekł biskup. — Człowiek nie żyje dla siebie a wy, z łaski Bożej, przez krew i pochodzenie na tę ofiarę wyznaczeni byliście.

— Smutna jest dola moja, — szepnął, — ale przykład ojca nauczył mnie ją znosić. Niech się stanie wola Boża!

— Trapić się zbytnio nie ma czem, miłościwy panie, — rzekł Iwo. — Nie myślcie więc o złem; ja za was czuwać będę.

To mówiąc, pobłogosławił go i powoli, przeprowadzony przez księcia, ze dworca powrócił na modlitwę do kościoła.

Dość długi czas spędziwszy na rozmyślaniu, wstał, złożywszy część brzemienia u stóp krzyża, i zwrócił się ku dworcowi swemu.

U drzwi kościelnych oczekiwał już nań zwykły dwór jego, biedacy; nazywał bowiem

nędzarzy dworakami swymi; biskupowi dosyć było nań okiem rzucić, aby w nim rozpoznać

dobrych znajomych, spotykanych co dnia. Wśród nich, nieco opodal, uśmiechała się pasterzowi twarz i postać osobliwa, która nawet wśród tej najpoczwarniejszej gromady łachmanów odznaczała się charakterem szczególnym.

Był to człowiek stary, lecz nie zestarzały, krzepki jeszcze, z głową łysą, jak kolano i świecąca a połyskująca na słońcu, jakby była kościana, z wąsami i brodą czarną, roz- czochraną, z oczyma bez

brwi, wielkimi ruchawemi, ustami szerokimi i wykrzywionemi. Żebrak ten

dobrowolny, niegdy možny człowiek, stał się pokutnikiem, zabiwszy własną żonę w chwili

namiętnego gniewu. Gdy ochłonał potem, wzięła go skrucha i żal okrutny, który mu zmysły pomieszał. Oddawszy dzieciom majątności swe, straciwszy pamięć swego występku, która mu rzadko powracała, Hebda poszedł o kiju na całe życie pokuty, nie chcąc już widzieć ani dzieci, ani przestąpić progu domu, krwią oblanego.

Szaleństwo jego było dziwne: na przemiany wesołe i rozpaczliwe, przytomne i bezmyślne, czyniło ono z niego jakby kilku ludzi odmiennych w jednym mieszkających ciele. Hebda spędzał niekiedy tygodnie całe, leżąc krzyżem na gołej ziemi, na chłodzie i zimnie u drzwi kościelnych.

Słabł czasem tak, iż go miłosierni ludzie mało co żywego podnosić i karmić a pić musieli, aby powrócił do sił. Napadała go potem wesołość niepomierna, szalona, krzykliwa, wśród której odzyskiwał rozum, przenikliwość nadzwyczajną i złośliwość niemiłosierną. Naówczas wśród rynku, u kościołów zaczepiał najdostojniejszych ludzi wyrazami ostremi, nie szczędząc ich, a wyrzucając im w oczy, takie występkę o których świat albo nie wiedział, lub udawał, że nie wie.

Nie darowanoby mu tego bezkarnie, lecz że za szalonego uchodził, nikt się mścić nad nim nie chciał.

Biskup miał szczególną litość nad biednym obłąkanym. Hebda codziennie, gdy chciał, jadał u niego, dostawał grosz jaki a często odzienie na zimę. Lecz u biedaka wszystko to nie trwało długo; suknie z siebie oddawał, lub pozwalał zabierać innym dziadom, grosz mu wrywano. Chodził na pół nagi, z głową zawsze odkrytą zimą i latem, na mrozie i słońcu, leżał u drzwi kościelnych na zmarzłej ziemi, a nic mu nie szkodziło.

Dnia tego Hebda zdawał się być w napadzie szalonej wesołości. Usta bezzębne trzymał

szeroko rozwarte, oczyma śmiał się, śmiał zmarszczkami wszystkimi twarzy i witał zdala Iwona, rękami wywijając.

Pogroził mu pasterz, aby nie dokazywał ale to niewiele pomogło.

Ubodzy zobaczywszy, że Iwo patrzy na żebraka, rozstąpili się, aby mu dać przystęp do

biskupa. On podszedł, ukląkł, złożył ręce i modlić się przed nim zaczął.

Iwo pobłogosławił go.

— A gdzież twoja opończa, com ci ją kazał dać? — zapytał.

— Gdzie opończa? albomci ja jej był wart? — szepleniawo a prędko zaślinionemi ty począł

Hebda, — pojechała w świat na plecach lepszych, niż moje!

— Bo ty zawsze odzierać się dajesz! — rzekł biskup łagodnie, — chodźże ze mną. Opada z ciebie łachman, świecisz nagim ciałem. Chodź!

Hebda wstał powoli, posłuszny, i jakby o swej nagości nie wiedział, począł się z kolei przypatrywać to nogom, to rękóm, to plecóm i głową potwierdził słowa biskupie.

Iwo tymczasem rozdawał grosze... a wyczerpawszy do dna woreczek, który pod rokieta nosił, skinął na Hebde.

— Chodź!

Wyszli sami do wrót zamkowych; biskup szedł znowu zadumany. Przystąpili już bramę, gdy na dworze żebrak przysunął się do Iwona. Ręką w powietrzu zrobił taki ruch, jak niańki, gdy pokazują dziecióm, że poleciał ptaszek.

— Frrru! — zawołał, — nie ma go! —

i rzekł cicho, ukazując ku północy: — Hen! hen!

— Kto? co? — zapytał, stojąc, biskup.

— Jaszko miły! Jaszko furknął! — dodał Hebda. — Stałem u wrót do dnia, albo i dnia wówczas nie było jeszcze, gdy go ojciec wyprawiał.

— Co mówisz? — groźnie odezwał się Iwo, — co ci się przywidziało?

Hebda ręką uderzył się po oczach.

— Ja mam kocie oczyska, — rzekł, — i najlepiej widzę po nocy. Ho! ho! patrzałem dobrze, widziałem wszystko. Ściskali się ze starym u wrót, czeladź konie trzymała. Pozdrowienie komus przez synala zasyłał. Ej! ej! ojcie święty, nie trzeba spać.

To powiedziawszy, zatulił usta i zamilkł.

— Nie kłamiesz? — odezwał się Iwo surowo.

— Ojcie święty, grzesznik jestem przeklęty, ale jak jabym mógł kłamać przed tobą, co

czytasz we mnie i dobyłbyś ze mnie, choćbym we wnętrzości prawdę skrył? Prawdę mówię: znają się ojciec z synem! Jaszka posłał tatulo! Nie trzeba spać!

— Coś rzekł, — odezwał się biskup poważnie, — tego nie mów ludzióm, nie noś po rynku!

— Ale wam, ojczye święty, — rzekł Hebda, schylając mu się do nóg, — jak miałem nie mówić?

Biskup, wysłuchawszy go, jął żegnać.

— Jeśli w tobie nieczysta siła gości, niech ustąpi z ciebie. Módl się! módl!

Hebda, złożwszy ręce spokojnie, głośno zaczął odmawiać Ojczye nasz, jakby na dowód, że siły tej nie ma w sobie. Przeżegnał się i słał. Nagle podniósł głowę, za- wrócił ją do góry, oczy zmrużył i począł patrzeć w obłoki.

— Tst! — rzekł, — tst! Kruki się nawołują — będzie krew. Sam król kruczy pułki zbiera na żer!

Iwo, przeżegnawszy go raz jeszcze, powolnym krokiem zaczął iść ku domowi. Hebda go nie opuszczał. Gdy tylko spostrzegł, że się biskup oddala, pospieszył za nim.

— Ojczye święty, — począł znowu, — tu co trzeci człowiek, to zdrajca. Idę ja czasem, idę drogą, ulicą, patrzę. Który czysty, to się świeci jak pochodnia; który zradny, czarny jak węgiel, a serce mu w środku goreje czerwono. Liczę, liczę, nie mogę zdrajców naliczyć.

— Kogóż oni zradzać mają? — powolnie z litością zapytał biskup.

— Alboż ja wiem? — rzekł Hebda, — to tylko Bogu wiadomo, ale zdrajcy... Marek wojewoda — zdrajca, Jaszko — zdrajca, ich przyjacioły czarne, psy ich czarne, konie czarne... wszystko czarne... Ja czasem widzę to, a czasem nie widzę nic... bom grzesznik przeklęty....

— Módl się! — rzekł biskup.

Lecz już dwór biskupi był na widoku; żebrak ludzi u wrót zamkowych więcej się może lękając, niż biskupa, począł się cofać i iść za nim w pewnem oddaleniu.

U wrót nowy tłum żebraczy czekał na powracającego pasterza, a ujrawszy go wszystka ta gawiedź zaczęła jęczeć i modlić się, a zawodzić głosami najdziwaczniejszymi, najniesforniejszemi.

Służba chciała odpędzać, lecz biskup dał znak — zostawiono ich w pokoju.

Hebda nieśmiało wkroczył ze swym przewodnikiem aż do wrót za próg i wkrótce potem

wyszedł napowrót, okryty szarą opończą, którą rozwiesiwszy szeroko na ramionach, nadawszy się pysznie, stapał tak pociesznie, iż żebracze jęki w śmiech się zmieniły. Śmiech ten jakby w większą jeszcze dumę wbił Hebde; podniósł do góry głowę i krzyknął:

— Precz z drogi, kiedy pan idzie, hołyszcie! Won, ściierwa śmierdzące... Jam dziś pan!

Rozśmiał się sam, popatrzył na opończę i powłókł, wywijając kijem młyńca.

W dworcu czekał na brata Waligóra, wcale dziś inaczej już przybrany, niż gdy wyruszył z Białej Góry. Suknię miał długą, futrem bramowaną, pas błyszczący z mieczem u boku, nóż u pasa, kołpak w rękę i buty ze śpiczastymi, do góry zawróconymi nosami, jakie podówczas nosili wszyscy koło dworu i w mieście.

Iwo, ujrzawszy go, wnet się doń zbliżył z miłością wielką. Uściskał go, wskazując mu

komorę, w której się zwykł modlić i poufalszych przyjmować, a tymczasem gości swych witać zaczął.

Mszczuj czekał nań cierpliwie. Posłuchanie wszakże nie trwało zbyt długo: Iwo płaszcz z ramion zrzuciwszy, pospieszył do brata.

— Z zamku wracam; księciu się pokłonić ci trzeba, — rzekł. — Wie o was.

Mszczuj tylko się po szerokiej piersi dłonią uderzył.

— Potem w drogę, bracie miły — kończył biskup — potrzeba jest wielka widzieć jasno.

Przeszedł się po komorze niespokojny.

— Wiesz, — rzekł, — gdy Bóg łaskaw, ciemności dają światło, szaleni dają rady rozumne.

Po drodze naszedłem żebraka, tego nieszczęsnego Hebdę. Powiedział mi, że na oczy swe widział, gdy Marek syna wyprawiał. Knują więc zdradę. Dokąd go posłał — rzecz jasna: na ten dwór, w którym on sam miał opiekę, do Henryka. Tam ci jechać trzeba i uznać prawdę.

— Nie mogliście mi wstrętniejszego wybrać błota do zanurzenia się w niem, nad tę kałużę niemczyzny! — odparł gorąco Waligóra. — Na samą myśl dusza się wzdryga!

— Bracie! bracie! nie bluźnij! — rzekł biskup. — Niemiecki dwór, to prawda, ależ ludzie pobożni, w sercach ich Bóg mieszka niewiasta święta, mąż jej godzien.

— A przecież pod Kraków szedł! — rzekł Mszczuj.

— Z księciem Henrykiem rozmówisz się, z synem jego ulubionym, co imię toż samo nosi, i

ze dworem jego polskim łącno się zrozumiesz, a księżnej, owej świętej pokutnicy, pewnie widzieć ci nie przyjdzie, bo ona z mężem nie żyje i w Trzebnicy siedzi.

Mszczuj milczał już, nie przeciwiając się.

— Czyń ofiarę chętną, — dodał Iwo. — Serce mam trwożne! Na jawie i we śnie widzę

czyhających na tego dobrego pana, który nic nie widzi; gdy co ujrzy, niepomiernie się trwoży, a jest w duchu czysty i serca anielskiego. Niechby oczy moje nie patrzyły na to, co serce przeczuwa!

Czyńmy, co w ludzkiej mocy, by od niego nieszczęście odwrócić.

— Jamci posłuszny, — rzekł Mszczuj, — lecz zaprawdę, gorszego posła wybrać nie mogłeś.

Szmer w pierwszej izbie przerwał rozmowę. Biskup ku drzwiom zwrócił głowę, szybko podszedł ku bratu, począł po cichu serdecznemi go rozbrajać słowy, wśród których ciągle powtarzało się:

— Jedź!

Waligóra, natarczywością tą złamany, nie śmiał się już sprzeciwiać. Uścisnęli się po trzykroć. Mszczuj spojrzawszy ku drzwiom, za którymi stał znowu cały zastęp oczekujących i wymknął się małym wyjściem bocznym z komnaty.

VIII.

Na drodze z Krakowa do Wrocławia, w gęstym lesie o wieczornej godzinie rozlegały się krzyki niewieście i głosy męskie zapalczywe a namiętne. Słysząc wśród nich było szczęk broni, jakby już do boju przyszło, rżenie koni i tętent głuchy. Wrzawa ta rozlegała się i szła daleko wśród ciszy i uspokojenia wieczornego lasów, tak, że w znacznej odległości jadący orszak męski posłyszał ją.

Orszak ten składał się z przeszło dwudziestu koni, ludzi dobrze zbrojnych i ubranych dostatnio. Na czele jego jechał na ciężkim i silnym siwoszu mąż wzrostu ogromnego, pod którego ciężarem koń zdawał się uginać. Gdy krzyk doszedł uszów jego, brwi mu się ściągnęły strasznie, drgnął cały i nie dawszy ludziom znaku żadnego, żgnął konia i jak piorun popędził drogą w stronę, z której dawały się słyszeć krzyki.

Gdy ów olbrzymi mąż na siwym koniu dopadł miejsca, z którego dochodziły go krzyki, ujrzał ściśniętą kupkę rycerskich ludzi a w pośród nich kilka kobiet na koniach napadniętych przez jakąś gromadę zbójów pół pieszą, pół jezdną, licho zbrojną, odartą, ale liczniejszą od tych, których napastowali.

Byli to leśni łotrzy, jakich się pełno włóczyło po gościńcach, czatując na kupców i podróżnych. Rycerska garść ludzi broniła się mężnie, lecz zbóje też śmiało następowali, chwytając

konie za uzdy, a pałkami waląc po zbrojach. Kobiety, stojąc w środku, krzyczały w niebogłosy.

Nim napastnicy opatrzyli się, że przeciw nim odsiecz przybyła, już ów siłacz dwu z nich położył trupem, a trzeciego koń chwycił za grzbiet zębami. Tuż cały orszak nadbiegał z dobytymi mieczami i okrzykiem, tak, że łotry postrzegłszy przemagającą siłę, myśleli tylko, jak ująć pomsty.

Padali jak porażeni, krwią się brocząc i wprędce ziemia była dokoła usłana trupami i rannymi, a ledwie który z napastników z życiem się wymknął.

Mąż na siwym koniu, który na ratunek nadbiegł, był to Mszczuj Waligóra.

Ku niemu i jego towarzyszom zwróciły się teraz mowa i oczy tych, których ocalił od śmierci i rabunku. Lecz Waligóra, zasłyszawszy rycerzy, mówiących nienawistnym sobie niemieckim językiem, stał niemy, zimny, jakby nic nie słyszał.

Dwie kobiety, które jęczały w pośrodku, zaczęły też błogosławić go i dziękować. Jedna z nich, starsza, miała na sobie ubiór cały czarny, ciemną zasłonę, płaszcz gruby, wełniany, i wyglądała, jak zakonnica. Oblicze jej blade, cera żółkła, jakby tych kwiatów, które słońca nie widzą, powiadała, iż musiała długo siedzieć w zamknięciu, wśród murów.

Druga z kobiet, daleko młodsza, lecz już zaczynająca przekwitać po pierwszej wiośnie,

twarzą miała rysów delikatnych, piękności wielkiej, ujmującej, a zupełnie różnej od pospolitych na północy. Czarne jej oczy zapadłe, nieco brunatnym otoczone cieniem, przysłaniała powieka z długimi rzęsy czarnymi, brwi nad niemi zarysowane silnie, były też kruczo czarne; cera nieco brunatna, maleńkie usta smutne, owal twarzy dziwnie regularny, czyniły ją szlachetnie i anielsko piękną. Młodsza ta pani odziana była szaro, choć płaszcz także miała czarny i strój jej staranniejszy przypominał więcej świeckie niewiasty dworu książęcego.

Waligóra z dziwnym uczuciem począł się jej przypatrywać... tęsknił za córkami, może za

towarzystwem niewieściem, czego mu do dawno złamanego życia brakło. Ta kobieta budziła w nim zastygłe jakieś uczucia.

I ona też z zajęciem wielkim patrzyła na poważnego męża, który na wszystkie

podziękowania i pokłony Niemców ledwie pogardliwym skinieniem głowy odpowiadał

Uśmiechnęły się blade jej usta tak wdzięcznie a smutnie, iż Mszczuj uczuł litość wielką nad nią. A gdy zobaczył, że w tej chwili siły ją opuszczały i zdało się, że z siodła zsunie się na ziemię, bo twarz bladeścią się powlokła trupią, skoczył sam z siwego, aby ją chwycić i nie dając spaść, złożył

powoli na ziemi.

Stało się to w mgnieniu oka; Mszczuj sam nie wiedział, jak z konia się zerwał i dopadł do niej, gdy już się na kark koniowi słońiła.

Ujrzawszy to, starsza niewiasta, przestraszona niezmiernie nie tyle omdleniem towarzyszki, co ratunkiem, który się jej niebezpiecznym wydawał, co rychlej zsiadła także, biegnąc do omdlałej towarzyszki. Ukłęknąwszy, poczęła z flaszeczki, którą miała u pasa przy torebce, płynem jakimś nacierać jej skronie. Mszczuj, który na krok odstąpił, posłyszał ją, gdy tylko zemdlona oczy otworzyła, przemawiającą do niej, ale nie mową niemiecką. Dźwięczały w niej znane mu dawniej brzmienia południowych języków Włoch i Galii, choć popsute niemiecką wymową. Ucieszył się tem wielce, że się na pierwsze wejrzenie nie omylił i że niewiasta, która w nim obudziła litość, nie należała do plemienia znenawidzonego.

Choć przez długie lata Waligóra nie używał tych języków, niegdyś sobie dobrze znanych, przysły mu one teraz nagle na pamięć, jakby z ukrycia jakiego wstając całe i nienaruszone. Mógł się więc bez grzechu rozmówić.

Tym samym językiem południa odezwał się do starszej niewiasty, iż kilka kropel wina nie zaszkodziłoby osłabionym trwogą. To mówiąc, podał jej flaszkę i kubek, które miał na sobie, bo mu je biskup na podróż wziąć kazał.

Usłyszawszy dźwięk tej mowy, niewiasta, która oczy powoli otwierała, podniosła nieco głowę i piękne oczy czarne zwróciła ze zdumieniem, pomieszaniem z radością, ku Mszczujowi.

Powtórnie małe jej usta rozjaśnił półuśmiech smutny i szepnęła głosem, w którym czuć było powracającą nadzieję jakąś:

— Któż wy jesteście, co tę mowę znacie? I wy tu obcy?

Mszczuja przejął głos prawie dziecięcy, słodki, pieszczotliwy.

— Zkądże wy tutaj? — zapytał powstającej z ziemi z pomocą starszej niewiasty.

Nie dając jej odpowiedzieć, starsza odparła językiem łamanym:

— Jechałyśmy do księżnej Jadwigi do Wrocławia; wy, szlachetny panie, ocaliliście nas, jeśli nie od śmierci, to od wielkiego niebezpieczeństwa. Księżna nasza wdzięczną wam będzie. Chciecie nam powiedzieć o sobie, abyśmy wiedziały, komuśmy winny wdzięczność tak wielką.

— A! — odparł Mszczuj, patrząc na młodszą, która go z wielkiem słuchała zajęciem, —

mała to rzecz! Nie trudno było tych łotrów przepędzić. Wdzięczność winniście Opatrzności, która mnie tu w czas przyniosła. Ja także jadę do Wrocławia, a że lasy i drogi u nas niepewne, będę wam dla bezpieczeństwa towarzyszył z dala.

— Niech wam Bóg to nagrodi! — zawołała starsza, składając ręce, — modlić się za was będziemy.

Gdy się to działo, już ludzie Waligóry na wspólnie z Niemcami uprzętnęli byli drogę, nie troszcząc się o trupy, które precz poodrzucano.

Już pod zmierzch ruszyli wszyscy szukać noclegu.

Starsza z podróżnych rozpoczęła pół głosem, pół śpiewem modlitwę, której młodsza ciszej wtórowała.

Wieczór stawał się coraz ciemniejszy, niebo okryło się chmurami gęstymi, las ciągle otaczał drogę. Gospody, którą Niemcy obierali, wsi żadnej, ani chaty widać nie było.

Ciemność nie dawała pospieszyć, jechali więc wszyscy w milczeniu głuchem, które tylko mruczenie modlitw i pobrzękiwanie oręży i rymsztunku koni przerywały. Czas wydawał się długim.

Północ być już mogła, gdy naostatek Niemcy się odezwali, iż światło spostrzegli i gospoda stała w niewielkim oddaleniu. Las się przerzedzał. Światło jednak widać było nie z domostwa, ale od obozowisk, które dokoła niego porozkładali podróżni. Noclegowała u gospody kupiecka jakaś karawana z wozami i różni wędrowcy, każdy ze swym dworem, małe ogniska porozpalawszy.

Waligóra ze zgrozą przekonał się, iż wszyscy ci podróżni musieli być Niemcy. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi, po których uspokajać się zaczęto.

Do gospody skoczył zaraz Niemiec szukać przytułku dla niewiast, gotów nawet powyrzucać tych, co go zajęli; lecz dla nikogo tam miejsca nie było.

Dla dwóch więc podróżnych, które w płaszczach, jak stały, na ziemi się spocząć ofiarowały, podesłano sukna i kobierce, otoczono je dokoła, a nieopodal Mszczuj ze swymi ludźmi rozkładać się począł. Sam już nie chcąc się narzucać niewiastom, przez komornika namiot im swój posłał, aby je trochę od chłodu osłonił, nie potrzebując go dla siebie, bo na wszystko był wytrwałym. Dla starszej Niemkini byłby pewnie nie uczynił tej ofiary, lecz żal mu było czarnookiej, smętnej Włoszki czy Francuski.

Noc to była niespokojna i tylko najmocniej znużeni mogli zasnąć. Kłótnie i wrzawa, z brzaskiem poczęte, nie ustawały już do dnia. Jesienny dzień obiecywał się chmurny i posepny.

Pod namiotem zaczęły się modlitwy, z którymi obie niewiasty na konie siadły. Młodsza zwróciła się, jakby oczyma szukając Mszczuja, którego gdy dostrzegła, prędko znów zbliżyła się do starszej towarzyszki. Ta jechała z głową spuszczoną, obojętna na wszystko.

Około południa jadąc, trafili na osadę niewielką, przy której stał kościółek drewniany, a że tu koniom popasać było potrzeba, starsza zażądała pójść się pomodlić.

Waligóra, który się nieco dalej rozłożył z ludźmi, po odejściu jej, wiedziony ciekawością, której się nie chciał opierać, zbliżył się z wolna ku miejscu, gdzie młodsza podróżna pod daszkiem od ściany się przytuliwszy, siadła, spostrzegła go zaraz, a że nie okazała wcale, by unikać go chciała, Mszczuj zbliżył się śmieiej.

Niemcy na boku jadło sobie przygotowywali, mógł więc rozpocząć rozmowę; odezwał się, że noc była bez spoczynku... i pewnie pilno im musiało być do Wrocławia.

— A! miły panie, — rzekła głosem łagodnym smutna niewiasta, — spoczynku pragnę dawno, lecz czyż wiem, jaki mnie tam czeka? Jestem, jak widzicie, z dalekiego kraju, — tu mi wszystko obce i straszne. Inny obyczaj, niebo i ludzie...

— A cóż was tu zagnało? — spytał Mszczuj litościwie.

— Sieroctwo moje, — rzekła niewiasta. — Nie miałam ojca i matki, bo ta zmarła w mojem dziecięctwie, a ojciec zginął w jednej z wypraw krzyżowych. Wychowywała mnie przez miłosierdzie siostra tej księżnej, która teraz przez pamięć dla królowej Agnieszki z Meranu zażądała mnie wziąć do siebie. Nazywam się Bianka.. Miej, szlachetny mężu, litość nademną!

To mówiąc, łzy szybko otarła.

— Mówią o księżnej Jadwidze, iż litościwą, dobrą jest i pobożną, — rzekł Mszczuj, pocieszając sierotę.

— Pobożną, bardzo pobożną jest i świętą i litościwą dla biednych, ale Nielitościwą i okrutną dla siebie i dla tych, których kocha, bo jedno tylko szczęście zna dla siebie i dla nich — w męczeństwie! Mnie, sierotę, czeka przy tej pani klasztor i życie grobowe... a mnie Bóg do niego nie stworzył... — dokończyła łzawo i cicho.

Mszczuj uczul się poruszonym.

— Siłą przecież zmuszać was nie będą do życia, którego nie chcecie, — odezwał się.

— A cóż ja pocznę? gdzie się podzieję, jeśli na gniew i niełaskę mej jedynej opiekunki zasłużę? — mówiła Bianka żywo, płacząc, i spoglądała na Mszczuj a, jakby błagała jego litości i opieki.

Na Waligórze to opowiadanie, przerywane łzami, czyniło wrażenie silne, któremu on sam się w duszy dziwił. Piękność tej sieroty, jej smutek, obawy, los, który ją czekał, zaczynały go jakby nowym czynić człowiekiem.

— Nasłuchałem się ja w Krakowie już, — rzekł, — o wielkiej pobożności księżnej

Jadwigi... wszyscy ją powiadają świętą, pobożną i miłosierną. Nie trwożcie się tak.

— Ale siostra Anna, co ze mną jedzie, zna ją lepiej, niż wszyscy, bo na jej dworze i przy niej cały wiek przebyła. Z niej ja widzę, co mnie czeka. Przez drogę całą przysposabiała mnie do tego szczęścia klasztornego, którego ja się boję. Księżna Jadwiga chodzi we włosiennicy, opasuje się paskiem żelaznym, bosą w zimie spędza noce na modlitwie. Będę ja mieć tyle siły, aby pójść w jej ślady?

Bianka płakała. Mszczuj, zadumany, stał i patrzył...

— Choćby człowiek chciał, — odezwał się cicho, — jak tu was ratować? Jesteście w mocy opiekunki waszej.

— Jestem sierotą! — powtórzyła cicho Bianka, spoglądając na Waligórę, tak jak tonący na deskę, któraby mu mogła pomóc do ocalenia. — Gdyście w lesie przyszli nam na pomoc, —

rzekła, — wiecie, co mi się zdało? Że to Bóg was zsyła, abyście mnie z ich rąk wyrwali! Jeszcze teraz myślę, że wy mi opiekunem być powinniście.

Waligóra zachnął się, jak rażony temi słowy.

— Alem ja stary, — odparł, — i córki mam dorosłe. Cóż wam po mnie?

— Córkom waszym służyć będę! o! najcięższe spełniać usługi... byle nie być zamkniętą w więzieniu!

Waligóra spuścił w dół oczy.

— Gdybym chciał, — mruknął, — jakże was mogę wziąć z tego dworu? Siłą? Toć mi nie dadzą, bo są mocniejsi.

— Przecie rycerzem jesteście! — odparła Bianka żywo. — Wiecie prawo rycerskie, że w pomoc słabszemu przyjść jest obowiązkiem.

A któż biedniejszy i słabszy być może nademnie?

Wyciągnęła doń dwie białe ręce. Mszczuj stał, jak w ziemię wbity; spostrzegł właśnie, iż Niemcy ciekawie się przypatrywali, bo pewno nie rozumieli rozmowy jego z Bianką, wzbudzała w nich jednak ciekawość, byli jakoś niespokojni. A widział też i siostrę Annę, wychodzącą z kościółka w płaszczu czarnym. Za całą odpowiedź rzekł więc krótko:

— Siostra Anna powraca. We Wrocławiu postaram się widzieć was i mówić z wami. Da-li się co uczynić, zrobię chętnie, bo mi was srodze żal! Srodze żal!...

Nie zważając na swą straż, Bianką obie ręce przyłożyła do piersi na znak wdzięczności.

Waligóra oddalił się szybko.

Niemcy, spostrzegłszy powracającą siostrę Annę, powstali z ziemi; jeden z nich poszedł naprzeciw niej.

— Miłościwa pani, — rzekł, — wasza towarzyszka miała długą jakąś rozmowę z Krakowianinem. Gadali bardzo żywo.

Niemiec twarz wykrzywił.

— Nie zda się wam ona do klasztoru! — dodał, — jej pono co innego w głowie.

Siostra Anna zmarszczyła się i dała mówiącemu znak ręką, aby przestał. Umilkł posłuszny.

Przyspieszyła kroku i oczyma badającymi rzuciła na zapłakaną swą towarzyszkę.

— Widziałam zdala, — odezwała się surowo, — *ie* was tu ten stary zabawiał. Nie przystało wam tak z mężczyznami obcować, bo są wszyscy, i starzy nawet, zwodnicy złośliwi... Czemuście go nie odprawili?

— Bo mnie pytał o moje życie, a ma do tego prawo, skoro nam je ocalił, — odezwała się

Bianka głosem nieco śmielszym. — Cóż w tem złego?

— Dobrze to nie jest! Lepsze byłyby pacierze! — rzekła sucho siostra Anna.

Bianka zamilkła. Przysposabiano konie do dalszej podróży.

Od tej chwili już siostra Anna, powziąwszy jakieś podejrzenie, ani na krok nie odstępowała Bianki.

Im się bardziej zbliżali do Wrocławia, tem trwoga w biednej wygnance rosła. Mszczuj też mniej teraz o swej przygodzie i o niej rozmyślał, bo się dlań zbliżała ciężka godzina stawienia się na tym dworze, dla którego może ze wszystkich ówczesnych wstręt miał największy. Tędy mu płynęli na Śląsko owi nienawistni Niemcy, których nowe osady spotykali po drodze, niosący z sobą swój obyczaj, język i przywileje, które ich reszcie kraju czyniły obcymi.

Mszczuj wiózł listy od biskupa Iwona, będące pozorem podróży. Musiał jeden z nich oddać Henrykowi Staremu, mężowi księżnej

Jadwigi, drugi — synowi jego, młodemu księciu, który tu więcej rządził od ojca,

prowadzącego życie oddane pobożności, niemal zakonne...

Stawić się przed nimi, wiedząc, że byli na wpół Niemcami, wśród dworu, złożonego prawie z samych przybylców, Szwabów, Sasów, Turyngów, było dla Waligóry męczarnią. Obiecywał też sobie co najrychlej zbyć się poselstwa i jak najprędzej powracać.

O pół dnia od Wrocławia na nowym popasie zdala zobaczył Biankę z oczyma

zaczerwienionemi, płaczącą jawnie, którą siostra Anna zbyt natarczywie pocieszała. Nie mógł się powstrzymać, by się do nich nie zbliżyć. Starsza, widząc go podchodzącego i chcąc może uniknąć, by Bianki nie zagadnął, sama pospieszyła objaśnić przyczynę łez.

— Biedne dziecko! — rzekła, — trwoży się niepomierne, jak ma stanąć przed majestatem

świętobliwej pani naszej. Nie dziw! Któżby się nie trwożył, mając oglądać to oblicze,

ubłogosławione dobrowolnem cierpieniem? We Wrocławiu my tylko jedną noc przepędzimy może, bo mamy rozkazy, abyśmy wprost do Trzebnicy jechały, gdzie przebywa świętobliwa pani... Jabym tam rada na skrzydłach wzleciała...

Waligóra słuchał, nie odpowiadając.

— Spieszmy, — dodała siostra Anna, zwracając się do towarzyszki. — Święta pani, której myśl szła za nami w podróży, widzi już nas okiem proroczem, czuje, że się ku niej zbliżamy!

Dała znak Niemcom i konie podprowadzono.

Sierota jeszcze raz okiem błagalnem rzuciła na Mszczuja, który jej skinieniem głowy

odpowiedział. Zbliżanie się do miasta zmuszało go przystać nieco, aby się do wjazdu

przygotować. Nie chciał wstydu uczynić temu, od którego przybywał.

IX.

Jaszko, syn wojewody, wyjeżdżając z Krakowa, myślał udać się do Odonicza i Światopełka, który mu był powinowatym, spodziewając się u niego znaleźć nie tylko opiekę, lecz i zręczność pomszczenia się nad Leszkiem.

Był to człowiek namiętny, gwałtowny, natura dzika, życiem żołnierskiem rozhukana, pokutą rozjątrzona, upokorzeniem do wściekłości przywiedziona, w ostatku beczynnością oszalała.

Jechał, nie pragnąc nic, tylko pomsty; życie dać niczem było dlań, byle nieprzyjaciela zgnieść i napić się zemsty do syta.

Na Pomorze było daleko, więc już na pierwszym noclegu w lesie, nie mogąc spać,

Jadwigi, drugi — synowi jego, młodemu księciu, który tu więcej rządził od ojca,

prowadzącego życie oddane pobożności, niemal zakonne...

Stawić się przed nimi, wiedząc, że byli na wpół Niemcami, wśród dworu, złożonego prawie z samych przybylców, Szwabów, Sasów, Turyngów, było dla Waligóry męczarnią. Obiecywał też sobie co najrychlej zbyć się poselstwa i jak najprędzej powracać.

O pół dnia od Wrocławia na nowym popasie zdala zobaczył Biankę z oczyma

zaczerwienionymi, płaczącą jawnie, którą siostra Anna zbyt natarczywie pocieszała. Nie mógł się powstrzymać, by się do nich nie zbliżyć. Starsza, widząc go podchodzącego i chcąc może uniknąć, by Bianki nie zagadnął, sama pospieszyła objaśnić przyczynę łez.

— Biedne dziecko! — rzekła, — trwoży się niepomierne, jak ma stanąć przed majestatem

świętobliwej pani naszej. Nie dziw! Któżby się nie trwożył, mając oglądać to oblicze,

ubłogosławione dobrowolnem cierpieniem? We Wrocławiu my tylko jedną noc przepędzimy może, bo mamy rozkazy, abyśmy wprost do Trzebnicy jechały, gdzie przebywa świętobliwa pani... Jabym tam rada na skrzydłach wleciała...

Waligóra słuchał, nie odpowiadając.

— Spieszmy, — dodała siostra Anna, zwracając się do towarzyszki. — Święta pani, której myśl szła za nami w podróży, widzi już nas okiem proroczem, czuje, że się ku niej zbliżamy!

Dała znak Niemcom i konie podprowadzono.

Sierota jeszcze raz okiem błagalnem rzuciła na Mszczuja, który jej skinieniem głowy

odpowiedział. Zbliżanie się do miasta zmuszało go przystać nieco, aby się do wjazdu

przygotować. Nie chciał wstydu uczynić temu, od którego przybywał.

IX.

Jaszko, syn wojewody, wyjeżdżając z Krakowa, myślał udać się do Odonicza i Światopełka, który mu był powinowatym, spodziewając się u niego znaleźć nie tylko opiekę, lecz i zrzeczność pomszczenia się nad Leszkiem.

Był to człowiek namiętny, gwałtowny, natura dzika, życiem żołnierskiem rozhukana, pokutą rozjątrzona, upokorzeniem do wściekłości przywiedziona, w ostatku bezczynnością oszalała.

Jechał, nie pragnąc nic, tylko pomsty; życie dać niczem było dlań, byle nieprzyjaciela zgnieść i napić się zemsty do syta.

Na Pomorze było daleko, więc już na pierwszym noclegu w lesie, nie mogąc spać, gryząc paznogcie i palce jak zwierz, który nie mogąc pastwy dosięgnąć, sam się szarpie i kąsa, Jaszko począł przebierać w sposobach jakiemiby najrychlej mógł celu dopiąć. Myśli mu przelatywały różne, jedne od drugich dziksze. Światopełka za mało mu było. Odonicz nie starczył — chciał znowu nasadzić na Leszka Henryka; roił, że Konrada Mazowieckiego pociągnąćby można.

Dochodziły już wieści do Krakowa, iż Konrad, naciskany przez Prusaków, wykrzykiwał, iż go brat zbył tem, co mu z nosa spadło, że mu dał gorszą część, której obronić było trudno i ani dnia, ani godziny spokojnie usiedzieć na niej.

Leszkowi wyrzucano i ten podział posiadłości, który on uczynił, jak mówił, "z braterskiego serca i pobożności", a brat obdarzony sarkął nań już i odgrażał się.

Jaszko spodziewał się z tego korzystać. Niebezpiecznem dlań było jawnie się pokazywać po dworach, jako ów Jaksza pokarany za zdradę; postanowił więc przybrać nazwisko Budziwoja, nie zapierając się, że do Jaksów Gryfów należał. Nie badano naówczas tak ściśle pochodzenia i związków, a imiona brano, jak kto chciał.

Jaszko mógł, znając różne ziemie, w których z wojskiem dawniej bywał, podawać się za ziemianina jednej z nich, wedle zechcenia.

Jako rycerz szukał służby książęcej. Takich naówczas potrzebowali wszyscy. Miał z sobą sześć koni i ludzi dobrze zbrojnych, a tak szalonych, jak sam był. Żał mu było trochę Krakowa, w którym choć się krył, znano w nim syna wojewody działało mu się dobrze. Dobrawszy sobie szaleńców jak sam, po nocach Jaszko dokazywał, a dniami sypiał... Rozpróżnował się, zależał pole... teraz chciał to powetować.

Po drodze postanowił nawiedzić naprzód Wrocław, aby poznać, co się tu działo i choćby Światopełkowi i Odoniczowi zawieźć języka.

Poprzedził on tu Waligórę, ale na zamek do książąt, ani na dwór biskupi nie zajechał; wedle starego obyczaju stanął gospodą u człowieka, który był Jaksom winien wiele i ich stronę trzymał.

Zwano go Sulentą; człowiek był letni, kupczył suknam i różnemi tkaninami, jedną ławkę mając w Krakowie, drugą we Wrocławiu. Sam on z żoną i jednym synem siedział tu, z Niemiec dostając towar, który potem do Krakowa częściami posyłał. Kupczył może i czem więcej, ale się z tem nie wydawał, miał tajemnic wiele — zamknięty w sobie, milczący, zimny, pokorny, miał to w naturze, iż gdy drudzy wielkimi się czynili, on chętnie małym się był rad pokazać. Był też niepozorny, ospowaty, twarzy nieznaczącej, bródki rzadkiej, a nosił się w kozuszk podpasanym rzemykiem i skórzniach,

żeby go za lada poganiacza od bydła wziąć można.

I dwór jego za miastem był na oko lichej tylko parkan miał mocny i wysoki. Mówiono o

jego bogactwach, których on się wypierał. Ze wszystkimi w zgodzie, kłaniał się Sulenta każdemu, byle mu pokój dano.

Dwaj synowie jego już wcale inaczej się nosili i wodzili, czując grosz w kalecie co ojca gniewało. On za to i żona jego, Bogna, jak najuboższymi chcieli się wydawać.

Sulenta w Krakowie był pod opieką wojewody, który przez niego różne tajemne dawniej

posyłał listy i znaki — nie dziw, że Jaszko w drodze miał go na myśli i wprost się udał do jego dworu, który łatwo było znaleźć.

Stary kupiec nie widział tak dawno Jaszka (a mało go i przedtem znał), że gdy do wrót

przybył, wcale nie poznał wojewodzińskiego syna. Lecz dosyć było słowa, by mu się drzwi otwały. Sulenta znał głośną historję Jaszka, słyszał o nim — strach w nim obudzał. Gość niemiły był, ale niezbyty.

Jaszko zmiarkował, że gospodarz ostrożny i nie skłonny do gadania, dał swym towarzyszom znak, aby szli precz.

Wnet też zostali sami.

Słuchaj, Sulenta, — odezwał się Jaksza, siadając na ławie, — jam tu do was przyjechał, żeby języka dostać.

— Eh! eh! — jęknął, krzywiąc się, Sulenta, — języka u mnie niema... niema. Jakby język

był, głowy by na karku nie stało. Szukajcie sobie gdzieindziej.

Jaszko gniewny powstał z ławy.

— Słuchajno, — odezwał się do starego, — mnie ojciec po to posłał.

Stary zaniemiał trochę, odwilżył sobie wargi zeschniętym językiem, czoło w grube marszczki mu się ułożyło.

Jaszko chodził po izbie czekając.

— U mnie wy, miłościwy panie, a choćby i ojciec wasz sam przybył, języka nie dostaniecie.

Ja tym towarem nie handluję. Nie.

— No, to dajcie mi kogo, coby miał oczy, rozum i gębę, — odparł Jaszko.

Sulenta się namyślał.

— Wiecie co, miłościwy panie, — rzekł, — wy dziś spocznijcie i wyśpijcie się, a jutro kto wam broni na dwór języka szukać? Na dworze różni ludzie są, może znajdziecie długojęzycznych.

To powiedziawszy, Sulenta pokłonił się i już nie zważając na stojącego w oczekiwaniu dalszej rozmowy Jaszka, wyszedł z izby, drzwi za sobą zakładając.

Jaksa został sam i posłuchał dobrej rady bo pomruczawszy, zawołał pachółka, rozdział się i legł do snu.

Nazajutrz też posłuchał rady Sulenty i poszedł na zamek.

Z tych czasów, gdy tu z ojcem przebywali, spodziewał się znaleźć znajomych, lecz nie

wszystkim rad się był pokazywać i głosić o sobie. Nie chciał, by o nim zbyt mówiono i wiedziano. Najwięcej miał zaufania do niejakiego Nikosza, który onego czasu był na dworze koniuszym, lecz czy ten żył, nie wiedział. Nikosz pił ogromnie i tak rad wrzawliwie się zabawiał, jak on.

Sam na zamek nie idąc, posłał najniepozorniejszego z czeladzi, aby o niego przepytać, a jeśli by się znalazł, wywiódł go na dół, gdzie czekać miał. Z pół godziny straż tu nudną odprawiając, ujrzał wreszcie Jaszko toczącą się z zamku baryłę. Nikosz od niepomiernego napoju i jadła rozrósł się był teraz jeszcze więcej, niż gdy go znał Jaksa. Wówczas był już opasłym, teraz stał się niemal odętym i na konia mu siąść bez pomocy trudno było. Zresztą ten sam był, co dawniej.

Jak tylko zobaczył Jaszka, potoczył się ku niemu ochotnie, wykrzykując na powitanie, póki mu ten znaku nie dał, aby milczał. Dwaj przyjaciele uściskali się serdecznie, potem się zaczęli sobie przypatrywać.

— Utyłeś, jak fasa! — rzekł Jaksa.

— A ty nędznie wyglądasz, coś bieda cię strzepała, — odparł, sapiąc Nikosz.

— Chcę się odgryźć i dla tego z Krakowa uciekłem, — rzekł Jaksa.

Byle nie do nas, bo tu króluje post... he! he! — począł Nikosz. — Ja, gdy chcę się pożywić i ochłodzić, idę na miasto, a i z tego potem spowiadać się muszę, aby grzesznej duszy nie zgubić.

— Nikoszu miły, pogadalibyśmy, — rzekł Jaszko, — byle gdzie był kąć. Na zamek do was ja nie chcę; u Sulenty, u którego mieszkam, nie rażno się rozgadać — gdzie tu pójść?

Nikosz się poskrobał w głowę i dokoła oczyma zatoczył.

— No, to się nieco przejdźmy.

I poszli po drogach, gdzie najmniej spotykało się ludzi.

— Mam z tobą do mówienia, — odezwał się Jaszko. — Bądź mi druhem, a prawdę mów.

Jaki u was wiatr wieje ku Krakowu? My tam Leszka mamy, z nim by skończyć trzeba.

— Tak? Już? — spytał Nikosz.

— Albo nie czas? — odparł Jaszko. — Odonicz ze Światopełkiem poczęli. Konrad mu w posiłek nie przyjdzie. No, a wy?

— Książę Henryk już nie pójdzie teraz nigdzie, chyba do kościoła, — rzekł Nikosz. — Kto wie, gdyby Leszka nie stało? Ale póki on żyw, nie! nie! Strzyma słowo. Pobożny pan, księżna by mu go złamać nie dała, a on jej we wszystkim posłuszny.

— Tak u was? — przebąknął Jaksza, — to źle... A młodzi?

— Dwóch młodych ze sobą się gryzą... a jeszcze mocy całej w rękach nie mają.

Wielkorządcami są, a ojciec głową. Bez ojca i matki nie zrobią nic.

Jaszko się zamyślił.

— No, to po was nam nic, — rzekł.

— Komu, nam? — wtrącił Nikosz.

— Tym, co Leszka się chcą zbyć, — począł Jaszko.

— Nie przyjdzie to łatwo, — rzekł opasły. — Siedzi on mocno, panowie, biskupi wszyscy za nim, rady mu nie dacie.

— Toć zobaczymy, — odezwał się Jaszko. — Ja jeszcze nie wiem nic, krom tego, że Leszka obalić trzeba. Nie zmódsz go siłą; — a od czegoż sztuka?

— Jeśliś ty z tem tu przyjechał, — rzekł Nikosz, — nie masz co długo gościć. Nie zrobisz nic. Wracaj nazad.

— Albom ja do was jechał? — odparł Jaszko. — Ja sobie teraz wolny człek, jeżdżę a

wącham, dziś tu, jutro indziej. Kto wie, dokąd się powlokę? Nie ma książę Henryk rozumu, trudno mu go dać. Jakby chciał, miałby Kraków, miałby Sandomierz, wszystkie jego ziemie, Śląsko do nich, byłby łącno panem, bo wygnałby Laskonogiego i Odonicza, a Konrada się pozbył. Gdy mu się tego

nie chce, niechaj w chórze śpiewa. Weźmie mu to Konrad z przed nosa... a z Konradem inna sprawa, niż z Leszkiem, on i po Śląsko sięgnie.

Nikosz patrzył na mówiącego i sapał.

— Co mnie do tych spraw? — rzekł. — Jam rad, gdy konie nie zdychają, piwo zamkowe nie kwaśne. Pańskie kłopoty nie moja rzecz. A ty słuchaj, Jaszko, raześ oberwał, jeszcze ci się chce?

— Pewnie! pewnie! Chce mi się i bardzo chce, — począł gorąco Jaksa, — ale ty nie wiesz czego! Od pasa mnie rycerskiego odsądzi, jak psa mnie wyrzucili — ojciec rodzony nie śmiał się do mnie przyznać. Ty myślisz, że tego octu z żółcią się napiwszy, można ledz spać i zapomnieć — toś nie człek, ale baba. Mnie wątrobę wyżera pragnienie pomsty i będę ją miał... będę — lub marnie sam zczeznę.

Nikosz milczał.

Jaksa strzelił nań okiem pogardliwym.

— Ej ty! — i splunął.

— Więcem ja tu darmo do Wrocławia jechał? — rzekł, długo przemilczawszy Jaszko. — Ty bo nic pewnie nie wiesz?

— Ja wszystko wiem, — rzekł Nikosz bardzo stanowczo, bijąc się po brzuchu. — Tu na Leszka, póki żyw, nikt nie pójdzie Jakby Kraków pusty był... albo wdowa z dziećmi, hm... może... Książę nie dosyć że brodę zapuścił od czasu, jak z żoną nie żyje, ale i rycerstwo mu nie do smaku. My się już modlim tylko.

— I ty? — spytał Jaksa szydersko.

— A jakże! — odparł urażony Nikosz. — Inaczejbym na dworze nie wybył do wieczoru!

Pamiętacie wy pisarza książęcego, Mikołaja z Henrychowa? Jaki mąż był wesół i ochotny!

— A cóż się z nim stało?

— Postrzygł się, został mnichem Cystersem, a Henrychów swój dał na klasztor. I co śpiewał wesołe pieśni, teraz w chórze wywodzi.

— No, to i ciebie to może czeka? Westchnął brzuchal.

— Bądźże mi zdrów, Nikoszu, — rzekł Jaszko, — albo się zobaczmy na świecie, albo nie.

Mnie głowa świerzbi na barkach, muszę, gdzie trzeba. Kto wie, co będzie! Ano, co człek postanowi, strzymać musi.

Nikosz wrócił do swych koni, a Jaksza do Sulenty.

Domyślał się gospodarz, gdy go zobaczył w progu, już z samej twarzy, że nic dobrego nie przyniósł z sobą. Coś ja tu u was długo nie będę stał gospodą — rzekł Jaszko. — Nie ma mi tu pono co robić.

Sulenta głową to potwierdza.

— Trzymacie z Leszkiem, — dodał, — bodaj wam to na dobre wyszło.

— Nie biadajcie nad nami, — mruknął kupiec milczący, — my ludzie spokojni, cudzego nie pragniemy, swego nie damy. Na tem koniec. Krakowowi z Wrocławiem, a Wrocławowi z Krakowem trzymać potrzeba.

— Aby sukno szło! — uśmiechnął się Jaksza.

— Sukno lepsze, niż krew chrześcijańska, — dodał Sulenta.

Popatrzyli na się. Kupiec trochę gorzkie słowo chcąc zapłacić, kazał misy przynieść i do stołu zaprosił. Począł dolewać gościowi, by mu dobrą myśl przywrócić, lecz Jaszko siedział ponury, patrząc w stół, i niekiedy tylko wyrwało mu się niepoczesne z ust przekleństwo.

Tak pierwsza próba mu się nie powiodła. Wprawdzie nie wiele rachował na Ślązaków,

inaczej jednak wydawał mu się ten dwór, niż go znalazł. Młodzi nie dorośli do własnej woli, stary się jej wyrzekł. Nie było więc co robić.

Gorzej, niż to, zabolalo mściwego Jaka iż z tego, co słyszał, wnosić musiał, że Henryk

Brodaty z Leszkiem iść gotów, podpierać i trzymać. Śląska siła nie małą była, a niemieckie rycerstwo, zbroja i obyczaj, czynił ją groźną. Nie potrzebował się z nikim ucierać Henryk, ręce miał wolne. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi mógł wystawić w potrzebie.

Trzeciego dnia, pożegnawszy Sulente. Jaszko szarą godziną puścił się ku Płockowi do

księcia Konrada, zostawiając na ostatek Odonicza i Światopełka, których był pewnym że myślą, jak on i że przyjmą go otwartymi rękami.

Mszczuj Waligóra wjechał do Wrocławia wieczorem, gdyż na zamek było już za późno.

Oznajmił się w bramie, aby dano na gród znać, zaraz więc przyszli urzędnicy książęcy, aby gospodę w mieście posłańcowi biskupiemu wyznaczyć.

Od wrót już Waligóra się burzył i zrywał, słysząc prawie samą niemiecką mowę. Chociaż ją rozumiał, udawał, że jej nie znał, wołając o Ślązaka, z którymby się po ludzku mógł rozmówić.

Komornicy zamkowi, wszyscy Niemcy, spoglądali nań koso, a on im to z nawiązką oddawał. Na ukłony nie bardzo odpowiadał, udawał, iż wielu z nich nie widzi.

Gospodę w rynku dali mu przecie u takiego, z którym po swojemu się mógł rozmówić.

Człowiek był średnich lat, z dawna od wieków tu osiadłych, niegdyś dostatnich, dziś już podupadłych mieszczan. Zwał się Hołubek.

W początkach się wypraszał od narzuconych gości, potem spostrzegłszy, że z Krakowa byli, przyjął ich dosyć uprzejmie. Nic też od niego, oprócz dachu dla siebie i koni, nie potrzebowali, bo posłom, na dwór książęcy przybywającym, obroku, strawy i napoju z grodu dostarczano.

Hołubek, człek niskiego czoła, czarno zarastający, krępy, niezbyt miłego oblicza, patrzący z podełba, choć na pierwsze wejrzenie pociągnąć do siebie nie mógł, człowiek był niezły, tylko niepowodzeniem zbiedzony i skwaszony. Gdy się ludzie zajmowali rozłożeniem w gospodzie, przyszedł powitać Mszczuja. Spojrzeli sobie w oczy i obaj się znaleźli, jakby jednej myśli i nastroju.

— Cóż tu Wasza Miłość u nas robicie? — odezwał się Hołubek. — My tu już, krom powinowatych niewielu, mało kogo od Krakowa widujemy, — choć tam nas serce ciągnie.

— Z listami przybyłem, — odparł Mszczuj. — Co za dziw, że nas tu mało jeździ, kiedy u was ludzkim językiem i rozmówić się trudno? Szwargotem mnie przywitali w bramie po niemiecku chcieli gościć i gdzie się obróćę ino tę mowę słyszę.

— Bo jej tu co dzień więcej, — rzekł Hołubek z westchnieniem, — a nas tu starych coraz mniej. Jak my wymrzemy, cale nie stanie języka i pamięci. Niemcy posiadą wszystko

Obejrzał się, mówiąc, bojaźliwie i głowę pogładził.

— Ciężkież tu życie macie! — westchnął Mszczuj.

— Tylko Bogu wiadomo jak, — mruknął Hołubek. — Poczęło się to już z dawniejszych

czasów, a teraz urosło, że i nadziei nie ma, aby się zmieniło! Mało tego, że we Wrocławiu około dworu Niemcy górą, ale się sadzą kupami na pustych ziemiach, a nie słuchają nikogo. Mają swoje

prawa.

— A książę? — zapytał Mszczuj.

— Książę też dla żony musi Niemcem być, choć z sobą teraz nie żyją, — rzekł Hołubek, — a i dla księży z Niemiec i dla dworu, bo ten cały takiż...

— Naszych tu dużo? — przebaknął poseł.

— Z każdym dniem mniej, — ciągnął dalej Hołubek, — ani dziw, bo na tę odrobinę spadły ciężary wszystkie, dziesięciny do kościołów, przewód, podwoda, pogoń! Kto to zliczy? Niemca o to nie pytaj i nie tyka], bo on tu przyszedł, aby jadł i zbierał, a nikomu nie winien nic.

— Bieda! — mruknął Mszczuj.

— Jam się wynosić chciał już, — dodał gospodarz, — ano domisko mnie przykuwa. Toć to tu dziadek i ojciec żyli i umarli, chciałoby się kości złożyć przy ich grobach.

Hołubek łzy otarł.

— A młodzi książęta? — odezwał się Mszczuj.

— Henryk starszy, co go ojciec kocha, jeszcze trochę ma naszych koło siebie, garną się do niego; drugi, matczyn ulubiony, z Niemcami trzyma, — mówił gospodarz. — Henryk pono nie da sobie rady i zniemczeć też musi.

— A potem i cała ziemia ich! — rzekł Mszczuj.

— Cała ziemia! — westchnął Hołubek.

— Zawojują bez oręża i bez krwi, — dodał Waligóra, — niewiasty, co ich dla książąt z

Niemiec brano, jakby ich u nas lub na Rusi nie było — niewiasty nas zawojowały! Za każdą szła służba, czeladź, mnożyli się prędko — i co Niemiec u nas, to pan. Z lada pachółków na możnych pourastali.

Hołubek raz wpadłszy na ten przedmiot, nie łatwo kończył; rad był z serca zrzucić, co się na niem od dawna zebrało. Mówił długo, a Waligóra słuchał chętnie. Cóż przy- tem znaczyła sprawa Leszka czy Konrad gdy tu ziemie cale po cichu przechodziły pod panowanie plemienia, które się wciskał osiadało i przyswajało je sobie?

Waligórze twarz nocą zaszła i mrokiem; napojony tą goryczą, pożegnał się z gospodarzem i legł zubożniały już prawie na to co go tu spotkać mogło. Gorszego się już nie spodziewał.

Nazajutrz rano, gdy on i ludzie gotowi byli na zamek, przybył ochmistrz księcia Henryka, Peregryn z Weisaenburga, który był jemu najulubieńszym i całe miał zaufanie.

Niemiec to był, z powołania rycerz, człowiek spokojny; mimo to, jak każdy męznego umysłu mąż, łagodny na pozór i poważny wielce. Ten już się był długim pobylem na dworze śląskim i języka miejscowego nauczył, tak że się nim mógł rozmówić. Mszczuj zaś miał mocne postanowienie Niemców nie rozumieć i zmusić ich, aby z nim rozmawiali jego językiem.

Peregryn przybrał się był widać na przyjęcie posła dosyć dostatnio i pięknie: łańcuch miał na szyi, miecz u pasa, a hełm za nim niosło pachole. Prawie tak silny i wyrosły jak Waligóra, nie ustępował mu piękną postawą i szlachetnym jej wyrazem. Z tych Niemców, co na dworze Henrykowym bawili, znośniejszego trudno zaprawdę znaleźć było-

Mszczuj, choć go nie znał z twarzy, słyszał o nim wiele, bo to był nieodstępny sługa, Albo raczej przyjaciel księcia Henryka.

Mimo rycerskiej postawy Peregryna, charakter dworu śląskiego odbił się na nim. Mały krzyżyk z pod łańcucha jego wyglądał, suknie były barwy ciemnej, krojem jakimś zakonne przypominającym.

Wczorajsi urzędnicy musieli mu opowiadać, że Mszczuj niemieckiej mowy rozumieć niechciał, zbliżył się więc doń Peregryn, w imieniu księcia witając go łamaną, ale polską mową.

Mszczuj coś krótko odpowiedział i choć Peregryn zdawał się chcieć odrazu przyjaźnie zawiązać stosunek, dał poznać, że chce pozostać, nie spoufalając się — zdała.

— Kiedy mogę otrzymać posłuchanie u księcia? — spytał Waligóra.

— Bądźcie maluczko cierpliwi, — rzekł Peregryn, — teraz książe jest na Mszy świętej, po której musi odprawić psalmy i modlitwy codzienne; poczem dopiero przyjmie was ochotnie.

Moglibyście tymczasem, — dodał, — wygodniej spocząć na zamku naszym, gdziebyście więcej ludzi znaleźli, a nie siedzieli, jak tu, samotni.

Mszczuj zgodził się na to, myśląc, że się też lepiej na grodzie rozpatrzyć potrafi.

Wyprowadzono konie; wyszli ci ludzie, którzy towarzyszyć mieli posłowi, Peregryn ze swoimi przyłączył się do nich i cały orszak na zamek pociągnął. Było na nim ludno dosyć ale zarazem cicho. W podwórkach stały konie i wozy tych, którzy do księcia w różnych sprawach przybywali.

Wprowadzony do wielkiej izby, Mszczuj znalazł ją na pół zajętą przez oczekujących

Wpółśród nich uderzył go mnogie habity różnych duchownych ludzi i mnichów, białe szare, czarne, głowy wygolone, długie suknie księży, którzy tu przemagali. Stali oni na przodzie, a za nimi rycerstwo tutajsze, dostatniejsze i uboższe i łacni do rozpoznania po stroju i twarzach osadnicy i urzędnicy niemieccy.

W sali panowała cichość klasztorna. Na jednej ze ścian wisiał ogromny krzyż z

wizerunkiem Chrystusa, u drzwi było naczynie spore z wodą święconą. Nad wszystkimi

wnijściami do niej białą kredą porysowane były litery, porozdzielane krzyżykami. Woń kościelnego kadzidła, dochodząc tu skądś — powiększała złudzenie.

— Rozpatrując się tu pośród nagromadzonych, Mszczuj spostrzegł twarz niegdyś, dawniej,

z młodszych lat znajomą. Taką mu się ona przynajmniej zdała, choć niepewien był, czy się nie mylił. Człowiek bowiem, którego znał świeckim, wesołym a ochoczym towarzyszem, zestarzały, spoważniały, miał na sobie suknię zakonu Cystersów.

Gdy mu się Mszczuj jeszcze przypatrywał zdziwiony tem podobieństwem, mnich także oczy skierował ku niemu, uśmiechnął się i zbliżyć zaczął powoli.

On to był, ten, którego zwano dawniej Mikołajem z Henrychowa, możny pan, pisarz i

kanclerz księcia Henryka, który teraz własną wieś oddawszy na założony przez siebie klasztor, opatem w nim był obrany. Nosił on wprawdzie dawniej suknie kleryka, ale święceń nie miał i nie okazywał powołania. Mszczuj, który nie słyszał, co się z nim stało, zdumiał się, gdy go ujrzał

witającego uprzejmie i z widoczną radością.

— O, mój Boże! — zawołał. — Cóż się stało z wami?

— To, co widzicie, — odparł Cysters spokojnie. — Lepszą część obrałem sobie i jestem szczęśliwy. Do portu przy płynąłem!

Waligóra patrzył jeszcze zdumiony, słowa nie mogąc wyrzec.

— Zdumiewa cię to, miły bracie, — odezwał się Mikołaj. — Mnie samemu czasem dziwno,

że Bóg łaską swą powołać mnie raczył i z Saula Pawłem uczynił. Skutek ci to jest świętego przykładu pana naszego i pani, nade wszystko jej, świętej niewiasty tej, która w gorliwości o chwałę Bożą, męża, dzieci i siebie by jej poświęcić gotowa, a świata się wyrzec.

Mszczuj skłonił głowę. Głębokie przekonanie i zapał, z jakim mówił ojciec Mikołaj działały nań.

Mówili jeszcze, gdy szmer się dał słyszeć na sali; rozstąpili się wszyscy odedrzwi, szeptać zaczęto dziwnie, poruszenie wielkie dało się czuć w tym tłumie, duchowni wystąpili wszyscy naprzód i postać nowa ukazała się u wnijscia.

Był to mąż lat średnich, ale straszliwie wychudły, opalony, ogorzały, w zaniedbanem ubraniu, czyniącem go podobnym do żebraka. Oczy czarne, nadzwyczajnym jakimś gorejące zapałem, miały siłę taką, że ich wejrzenia nikt wytrzymać nie mógł. Głowa prawie cała wygolona, wąskim skrawkiem włosów tylko okoloną była, jak cierniową koroną. Nogi miał bose i pyłem okryte, z przyczepionemi do nich drewnianemi trepkami, na sobie długą suknię z ciężkiego sukna brunatnego, podwiązaną prostym powrozem.

Mszczuj, który jeszcze nie widział żadnego z synów św. Franciszka, spytał Cystersa, ktoby to był.

— A! to jeden z uczniów tego świątobliwego męża z Assyżu, co założył nowy zakon żebraczy, który pokorą i ubóstwem, świątobliwością i zaparciem się nas wszystkich prześcignie.

Księżna chce im klasztor Krośnie założyć i uprosiła go sobie.

Wchodzący mnich, widząc, że go ze czcią i jakąś chcią przyjmować, jakby zawstydzony cofnął się u drzwi na miejsce ostatnie.

Napróżno Peregryn usiłował go z zakątka wyprowadzić; oparł się i pozostał ubożuchno przy ścianie. Oczy wszystkich z niesłychaną ciekawością utkwily w tym człowieku, który natychmiast spuścił źrenice, skłonił głowę i uczynił się małym, aby odwrócić tę uwagę naprzykrzoną.

— Czemże my jesteśmy przy nich? — odezwał się z pobożną egzaltacją ojciec Mikołaj. —

Ci bracia nie mają nic własnego, nie biorą pieniędzy, żyją jałmużną, a ciało swe karcą tak, iż żywcem w niebiosą mogą być wzięci! Szczęśliwy wiek, który widział razem narodziny dwóch takich mężów Bożych, jak Dominik i Franciszek!

Waligóra słuchał, patrzył i zdumiewał się, bo na całym dworze dokoła o niczem nie mówiono, tylko o świętości i szczęśliwości tych, co się mogli Bogu poświęcić. Rycerski charakter dawnego otoczenia książęcego ustąpił i znikł, pochłonięty religijnym zapałem. Co było jeszcze rycerskiego, tłomaczyło się tem tylko, że miało pogan do zwalczenia i nawracania. W Hiszpanii wojowano z Maurami, myślano o odzyskaniu straconego Jeruzalem i Palestyny, we Francyi tępiono Albigenów, w Mazowszu Krzyżacy już się gotowali na Prusy. Świeckie sprawy były dla wszystkich rzeczą podrzędną, a i te bez pomocy i opieki duchowieństwa nigdy się pomyślnie dla opornych mu rozstrzygnąć nie mogły.

— Wyście tu ludzie święci i świętością zajęci, — rzekł Mszczuj do Cystersa, — a ja wśród was czuję się obcym i ledwie nie wstydam oziębłości mojej.

— Leszek wasz też pobożny jest wielce i wiele dla kościołów czyni, dzięki ojcu swemu

duchownemu, który go na tę drogę wprowadził i utrzymuje; ale nie dorównywa panu naszemu, co się już równie, jak pani nasza, całkiem wyrzekł świata.

— A któż u was myśli o panowaniu? — spytał Mszczuj.

— Na młodych to spada, — rzekł Cysters. — Ci też w ślady rodziców wstępować będą.

Błogosławiona pani nasza wniosła nam to szczęście do domu.

— Słyszałem, że jej tu nie ma, — odezwał się Waligóra.

— Nie siedzi ona nigdy razem z mężem, — rzekł Cysters, — bo lepiej jej jest w Trzebnicy, w murach zakonnych.

Domawiał tych słów, gdy oznajmiono księcia Henryka, który właśnie powracał z ka- plicy.

Szli przed nim dworzanie i Peregryn z Weissenburga z laską go poprzedzał. W ciemnej sukni z krzyżem na piersi, smutnej zadumanej twarzy, z długą, ciemną, srebrzącą się brodą, która mu na piersi spadała, książę Henryk szedł ciężkim krokiem człowieka znużonego wiekiem. Oblicze było pańskie, poważne, rycerskie niegdyś, bo śladów tej przeszłości nie zatarła terażniejszość, choć dziś smutna, pobożna rezygnacya i pokój tego co się wyrzekł wszelkich ziemskich nadziei, oblewała je.

Wejrzenie na ludzi z pod ściężających powiek padało dziwnie chłodne, obojętne, zastygłe. Dopiero wzrok rzucony na stojącego u drzwi ubogiego zakonnika włoskiego ożywił martwe rysy; książę podszedł ku niemu i schylił się, aby pocałować rękę mnicha, który się cofnął z pokorą.

Dla wszystkich poruszający był widok tego władzcy, korzącego się przed zbiedzonym

człowiekiem w sukni połatanej i wytartej. Bądź co bądź było to zwycięstwo ducha nad ziemską potęgą, był to tryumf słabości i pokory.

Książę spoglądał nań z rozrzewnieniem... lecz nie miał czasu wezwać tłumacza do

rozmowy, ani zbliżyć się doń, gdy już komornik wpadł do izby, oznajmując nowinę wielką, niespodzianą, że księżna Jadwiga sama przybywała z Trzebnicy.

Po wielkiem i nagłym poruszeniu, jakie wnet zapanowało w izbie, po niespokojnej radości, jaką okazali książę i wszyscy przytomni, można się było domyśleć, jak potężnie umysłami i sercami wszystkich władał pobożna pani.

Znikł ów książę, przed którym schylało się wszystko przed chwilą, stał się jednym z tych co na panią czekali. Panią tu była ona. Co żyło, cisnęło się na jej spotkanie, na powitanie.

— Księżna! — powtarzano do koła.

Rzadko bardzo odwiedzała Wrocław i męża pobożna Jadwiga, nigdy się z nim inaczej nie

widując, jak w orszaku swych towarzyszek i dworu, nigdy sam na sam. Uczyniony ślub rozłączał ją z mężem. Potrzeba było spraw wielkiej wagi, by się wychyliła z ulubionego schronienia w Trzebnicy, w którym była niemal sługą Bożych służebnic a jednak ich panią i ich światłem.

Już od bram miasta, jak tylko lud poznał pobożną księżnę, ubodzy, duchowni, tłum wielki otoczył ją i wiodł aż na zamek. Cała wielkość świecka tego dworu znikła i malała w jej obecności.

Mszczuj stał, patrząc ciekawie i ani już wiedząc, kiedy może otrzymać posłuchanie. Gdyby nawet Leszek sam pod ten czas się tu znajdował, znikłby był przy księżnej Jadwidze.

We drzwiach ukazała się ona.

— Była to ona? — spytał się w duszy Mszczuj, — siostra dwóch królowych, wielkiego rodu pani?

Zdumienie ogarnęło go wielkie. Ujrzał niewiastę, której włosy siwe okrywała zasłona

czarna, w sukni powłóczystej, długiej, ciemnej, w takimże płaszczu, z krzyżem na piersiach, ubogo odzianą. Majestat jej jednak przebijał się przez tę odzież, co go ukryć chciała. Twarz wrażała podziwieniem i trwogę — było-li to oblicze niewiasty żywej, czy z grobu powstałej? Płynęła-li krew pod tą pergaminową skórą żółkła i poczerniała.

Nie okazała wzruszenia najmniejszego, postrzegłszy męża; nie drgnął żaden muskuł tej

posągowej twarzy, skrzeplej siłą własnej woli, a kryjącej w sobie nadmiar życia i nadludzką jakąś potęgę. Wzrok jej przerażający pokojem niezmiernym, zapożyczonym z jakiegoś źródła wyższego, potoczył się z wolna po przytomnych.

W chwili, gdy oczy jej zatrzymały się na Waligórze, obcy ten człęk uczuł dreszcz

przebiegający po nim, jakąś siłą, która go obezwładniła. Oniemiał pod tem wrażeniem, pot wystąpił mu na czoło. Zrozumiał też panowanie nad ludźmi pobożnej niewiasty, bo sam uczuł na sobie moc jej. Ulegali jej wszyscy — milczenie głuche, pokorne zapanowało w izbie.

Księżna szła, a oczy wszystkich ciągnęły za nią, oderwać się od niej nie mogąc. Stała nareszcie w pośrodku, w pewnym oddaleniu od męża, który się przybliżyć nie śmiał. Stał pokorny z głową spuszczoną, jak pierwszy jej sługa.

Gdy światło padło na nią, Waligóra mógł się lepiej przypatrzeć. Wstyd mu było tego, że się tak w pierwszej chwili dał olśnić temu majestatowi, podniósł więc oczy z silną wolą przyglądania się strasznej pani. Korzystał z tego, iż właśnie powołany do niej mnich przybyły zajął ją całą.

Mszczuj rozpatrywał się w niej i byłby może odzyskał swój chłód i obojętność, gdyby wtem nie dał

się słyszeć głos. Mówiła do mnicha; cisza panowała na sali, a głos ten spokojny, stłumiony, w którym brzmiało znużenie i znękanie, nie mające żadnego uroku widocznego, dającego się tłumaczyć, znowu dreszczem przejął Mszczuja.

Był to głos jakby z za grobu wychodzący, którego słowo każde niemylnym wyrokiem było i rozkazem.

Napróżno Mszczuj powiadał sobie, iż Niemką była — nie mógł się w duchu przeciwko niej zbuntować. Ile razy w stronę jego wróciła zwrok, spuszczał oczy, niepokój go ogarniał, radby był uciec i skryć się.

Toż samo wrażenie, oczy te i głos czyniły na wszystkich, choć w nich ani dumy, ni chęci panowania nie było. Czar jakiś mieszkał w tej niewieście, która zdawała się z innego świata zstępować, obdarzona mocą straszną i niezwyciężoną.

Mógł się o niej Mszczuj przekonać natychmiast, gdyż zaledwie księżna pomówiła krótko z mnichem, otwarły się boczne drzwi środka zamkowego i z nich wyszły spotkane w drodze a obronione przez Waligórę dwie podróżne, siostra Anna i sierota Biana.

Tę bladą, przestraszoną, w pół omdlałą, oczyma obłąkanemi rzucającą dokoła, jakby błagała ratunku, niemal gwałtem do izby wciągnęła siostra Anna, prowadząc wprost do księżnej.

Zbliżywszy się do niej, blada jak trup, Biana z lekkim wykrzykiem boleści, padła na kolana i omdlała.

Nim się na ratunek zebrano, księżna Jadwiga krokiem powolnym podeszła ku niej —

patrzac ciągle na zemdloną. Wzrok ten sam już zdawał się działać na nią: — zwolna poczęła się przebudzać jak ze snu, zmienione jej lice wypogodziło się, uspokoiło, rozjaśniło. Otwarte powieki skierowała na księżną, która wciąż na nią patrząc, objęła zlekka za głowę, a potem ręce na niej położywszy i zatrzymując długo, modlić się zaczęła cicho.

W izbie milczenie się stało takie, iż szept jej słyhać było. Wszyscy patrzeli na to powitanie przybyłej sieroty, nie wiedząc i nie rozumiejąc, co to było. Postrzegli tylko jakby cud, łatwo pojęty; wystraszona, omdlała kobieta wróciła do życia inną zupełnie, zwyciężoną, posłuszną.

Wzrok ten, modlitwa, czy ręce, które na niej spoczęły, zmieniły biedną Biana, budziła się istotą nową. Obawa ustępowała, dziwny spokój i ubłogosławienie malowało się na rozpromienionej twarzyczce. Stała teraz posłuszną przed panią swą, która jeszcze tem wejrzeniem czarownem dokonywała swego dzieła. Wzrok jej sięgał do głębi duszy. Widać było, że Biana chciała go może uniknąć, lecz nie mogła. Oczy jej zamykały się powiekami i podnosiły mimowolnie.

— Dziecię moje, wychowanico drogiej siostry nieszczęśliwej, za którą modłę się codzień, bądź pozdrowiona! — odezwała się do niej księżna głosem powolnym i łagodnym. — Wszystkie twe męczarnie skończyły się, znajdziesz we mnie matkę, a Bóg ojcem ci będzie. Przybyłam tu po ciebie, bo mi aniołowie niebiescy oznajmili, iż wczoraj stanęłyście pod tym dachem. Nie chciałam stracić i chwili! Idź, dziecię moje, w pokoju pokrzep się snem, ukój modlitwą! To mówiąc, zakreśliła krzyż nad jej głową Mszczuj, który zdala patrzył na to, jeszcze większą uczul trwogę, widząc, jaką potęgę miała ta pobożna niewiasta. Bianki poznać nie mógł, gdy pokłakłszy, zwróciła się nazad z siostrą Anną do wnętrza zamku. Szła posłuszna, nie podnosząc oczu, nie chcąc już nic od ludzi, upojona, oczarowana. Księżna wiodła za nią oczyma, aż póki drzwi się za niemi nie zamknęły. Naówczas zwróciła się do męża z kilku słowy, których on wysłuchał z pokorą i

rozzewnieniem. Widać było po nim, że tęsknił za tą dawną towarzyszką, matką swych sześciorga dzieci, która go teraz za męża znać nie chciała.

Przeszłość, którą Henryk przypominał ze łzami, dla niej była ciemną, smutną, upokarzającą.

Stojąca za nią zakonnica, która jej towarzyszyła, Domna, siostra w Bogu i sługa, patrzyła z założonemi na piersi rękami na to, co ją tu otaczało, z takim samym lub straszniejszym jeszcze chłodem i pogardą. Lecz ani postawa, ani wejrzenie tej drugiej nie czyniły tego wrażenia, jakiego doznawał każdy, patrząc na księżnę. Domna była pospolitą niewiastą, nałamaną do klasztorного posłuszeństwa: duch ten, jaki promieniał z księżnej Jadwigi, nie mieszkał w niej.

Rozmowa z księciem Henrykiem była krótką, żona umyślnie się jej przeciągnąć nie dała. Z kolei podchodzili i przybliżali się ku niej duchowni, jedni z prośbami, drudzy z podziękowaniem.

Niewiadomo, kto zawiadomił księżnę, iż siostra Anna z Bianką zostały przez Mszczuja ocalone od zbójów. Powiódłszy oczyma po izbie tym samym wzrokiem wieszczym, jakim patrzyła na Biankę, trafiła na Mszczuja i odgadła go.

Zdala skłoniła zlekka głowę, pozdrawiając, co Waligórę znowu przejęło trwogą, i zwracając się do męża, rzekła mu, iż słuszna jest, aby starał się szlachetnego rycerza wynagrodzić.

Księżę Henryk o niczem się nie zdawał wiedzieć! usłyszał to zdumiony, lecz posłuszny zawsze, skłonił tylko głowę na znak, że rozkaz spełni.

Waligóra tak był zmieszany, iż nie słyszał nic.

Wtem Peregryn przypomniał księciu posła biskupa Iwona, który czekał na posłuchanie.

Lecz właśnie księżna wychodziła na modlitwę do kaplicy i mąż do progu ją przeprowadził. Dopiero wróciwszy, przywołał do siebie Mszczuja.

Ochmistrz mu zapewne oznajmić musiały iż poseł po niemiecku nie umiał, gdyż do

zblizającego się książe z trudnością przemówił bardzo łamaną polszczyzną, która mu z wielką przychodziła trudnością. Wieść z nim rozmowy wśród otaczających nieznanymi ludźmi Mszczuj nie mógł. Pokłoniwszy się więc, żądał chwili na osobności. Niechętnie jakoś zgodził się na to ks.

Henryk i po namyśle zwrócił się do innych drzwi, prowadząc za sobą Waligórę. Przeszedłszy podsienie, książe prowadził go do sypialni.

Tu znowu żywotowi, jaki prowadził mąż pobożnej Jadwigi, Mszczuj zdumieć się musiał.

Izba niewielka, z łóżem twardem, z obrazami Świętych na ścianach, z klęcznikiem, nad którym wisiała dyscyplina, ostremi zakończona drutami, z podłogą zimną i niepokrytą niczem, bez ogniska, pozbawiona wszelkich ozdób i sprzętu rycerskiego, ledwie się zdała wchodzącemu możliwą dla księcia. Lecz książe ten był już anachoretą. (pustelnikiem).

Był nim, a jednak chwilami wśród rozmowy zdało się, jakby pokutnika zwyciężał dawny człowiek. Pobożność tę znosił on, pracował nad nią, lecz z głębin duszy nie wyszła u niego. Czuć było, że go przygniatała.

Mszczuj oddał mu list biskupi, na który popatrzawszy trochę, Henryk położył go na stronie — Mówcie mi ustnie, co do mnie macie — odezwał się, — a naprzód o pobożnym pasterzu waszym, którego niech Bóg błogosławi !

— Iwo zasyła W. Miłości pozdrowienie i błogosławieństwo, — rzekł Mszczuj. — Od

Światopełka i Odonicza otrzymaliśmy złe wieści. Pierwszy z nich wyłamuje się od opłaty i posłuszeństwa, drugi nęka Laskonogiego i panu naszemu grozi. Obu potrzeba ukarać i wojnę tę skończyć. Na Waszą Miłość pan nasz Leszek rachuje i do braterskiej jego pomocy się odzywa.

Henryk zamyślił się.

— Jakto? wojna? Czegóż chcecie? posiłków? — zapytał chmurno.

— Spodziewa się biskup Iwo jej uniknąć, — rzekł Mszczuj, — znajdą się może środki na ukrócenie zuchwalstwa bez oręża, lecz na to potrzeba, abyśmy pewni byli, że nas sprzymierzeńcy nie opuszczą, że W. Miłość nie przeciw nam będziesz, lecz z nami.

Książe popatrzał bystro.

— Leszek powinien wiedzieć, — rzekł, — że ja mu braterstwo poprzysiągł, a com rzekł, wzywając na świadectwo Boga w Trójcy świętej jedyne, tego dotrzymam święcie.

— Tegośmy się po pobożnym panu spodziewali, — odparł Mszczuj. - Więc oznajmić tylko

chcieliśmy, iż na Leszka spiski się knują, aby one i tu kogo wciągnąć się nie ważyły. Jaksowie z nienawiści ku biskupowi, z pomsty przeciw niemu, wszyscy się jednoczą.

— Cóż Jaksowie mogą? — odrzekł książę Henryk. — Garść ich jest.

— Światopełka za głowę mają, — dodał Waligóra.

— Odonicz gorszy od niego, — odparł książę. — Krew w nim ojcowska, co to się niegdyś naprzeciw własnemu rodzicowi podniosła. Laskonogi mu nie sprostą, bo łagodny jest i dobry... a Odonicz plugawy i zdradliwy.

To mówiąc, książę Henryk oparł się o stół ze znużenia, potoczył wzrokiem przed siebie.

— Na list biskupi, — rzekł, — kanclerz mój odpowie. Zatrzymajcie się i spocznicie tu... miłym mi gościem będziecie.

Wtem przypomniał sobie książę ocalone niewiasty i należną nagrodę.

— Winienem wam za męstwo wasze choć wdzięczną pamiątkę, — odezwał się, — boście ocalili miłą żonie mojej sierotę.

— Miłościwy panie, — żywo począł Mszczuj, — to rycerska sprawa, za którą się nic nie należy. Za kogokolwiekby byłbym dobył miecza...

Książę Henryk uderzył go po ramieniu i uśmiechnął się.

— Prawy z was żołnierz stary, — rzekł — Dawniej to ja się rycerskiemu radowałem rzemiosłu, dziś inny wiek, myśli inne. Marności to są wszystko... panowanie, rozkazowanie, szermierki i wojny, gdy na chwałę Bożą nie służą!

Ręką zamachnął w powietrzu.

— Powiał na nas z tą świętą niewiastą duch Boży, spadły z oczów łuski — przejrzelismy.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione !

Mówił i wzdychał, jakby mu przecież żal było tych czasów starych, rycerskich.

I drugi raz uderzywszy przyjacielsko Mszczuja po ramieniu, pożegnał go z tem, aby sobie wczasu użył i spoczywał.

Waligórze zaś w tej niemczyźnie, która go dusiła, tak było, jakby go kto w ukrop wsadził.

Chciał się wyrwać co rychlej. Nie odpowiedziałwszy nic, wyszedł, myśląc tylko o odwrocie, gdy Peregryn, czekając nań, ujął go i do stołu, zmuszając, poprowadził z sobą.

XI.

Jaszko wyruszył wprost z Wrocławia do Płocka, spodziewając się tam znaleźć ludzi po swej myśli. Podłowczy księcia Konrada, Gromaza, był mu dobrze i poufale znany.

Jaszko z lepszych czasów miał po wszystkich kątach znajomości podostatkiem.

Nie były one wiele obiecujące, bo Jaksza naichetniej się wiązał z tymi, co do wypitej i

wybitej ochotni byli; ci go lubili, on ich wzajem. Z poważniejszymi ludźmi nie dotrzymał długo i choć się na czas przystroił za męża, na którym polegać było można, lada co czyniło go, jakim w istocie był. Podpiwszy, ani języka strzymać, ani natury zwierzęcej, namiętnej pohamować nie umiał.

Gromaza za dawnych lat, choć nieco starszy od Jaksy, takim bez mała był, jak on. Kumali się z sobą, ale co się z nim teraz stało, gdy lata trochę szła ostudziły, Jaszko nie wiedział.

Zawsze miał się w Płocku do kogo udać i kogo ucześcić.

Nie tajno zresztą było, że Konrad Mazowiecki choć z Leszkiem trzymał, burczał i żalił się na niego. Spodziewał się Jaszko znaleźć usposobienie na dworze, na Mazurach, jakiego mu było potrzeba.

Na dworze tego czasu ludzi obcych było wielu, przybywali i odjeżdżali posłance różni,

księżę Konrad krzątał się, komornicy byli w ruchu. Jaksza upatrywał Pomorzan, bo słyszał od Gromazy, że są także. Nikt jednak o nich nie wiedział. Nie znalazłszy ich, pospieszył do Gromazy, zadając, że mu bajkę splótl.

Podłowczy popatrzał nań z ukosa nie odpowiedział nic.

— Jak nie ma, to nie ma, — dokończył Wieczorem późno starzy przyjaciele podpili. Jaszko, gdy się rozochocił, dzikim się stawał i nikomu nie przebaczał.

— E! ty, stary ślepcze! — rzekł do Gromazy, — gdzie się tobie tu Pomorzanie przywidzieli?

Podłowczy się zarumienił.

— Nie jam ślepy, ale ty! — odparł. — A i nosa nie masz.

Od słowa do słowa o mało do zwady nie przyszło. Gromaza, rozjątrzony mocno, wygadał się:

— Com mówił, to prawda, ale musi być tajemnica, — rzekł w końcu. — Ja Pomorców po

uzbrojeniu zaraz poznam. Oni miecze noszą inne, żelazo mają doskonałe i dużo takich rzeczy, o które u nas trudno. Do nich to wszystko morzem przychodzi. Zaraz ich zważałem, gdy nocą przyjechali, ale gdym spytał, okłamali mnie, że są jako żywo z Rusi. Niby ja tamtych też nie widziałem! Starszy coś poszeptawszy z Witem, poszedł zaraz do księcia pana i siedział z nim do późnej nocy. Nazajutrz nie pokazywał się nigdzie, ludzie jego pochowali się, ale na zamku są i jutro dopiero nocą pojedą precz.

A no, milcz! — dodał Gromaza, — bo ja za ciebie pokutować nie chcę.

Jaszkiowi aż krew do głowy buchnęła. Zmiarkował, że nie lada człek musiał być, ca ie tak krył, a z księciem samym coś obradzał. Czasu nie było do stracenia, gdy, jak powiadał Gromaza, nazajutrz nocą mieli jechać.

Jaszko czatował. Zorientował się do tyła na dworze pańskim, że się domyślał, gdzie ów gość tajemniczy się ukrywał, błędził w koło niespokojny.

Około południa wziął Jaszko na odwagę, przeszedł ciemnymi zakamarkami, otworzył drzwi i wszedł do izby.

Wchodząc, Jaszko zobaczył przed sobą stojącego słusznego wzrostu człowieka, smukłego, silnego, nie pierwszej już młodości, który rękę trzymał na mieczyku u pasa, niby dla bezpieczeństwa, lecz patrzył zuchwale, jakby się nikogo w świecie nie lękał.

Na pierwszy rzut oka Jaszko poznał, iż w istocie nie lada z kim miał do czynienia. Gość ów ubrany był bogato i patrzył nań z góry, jak pan, co rozkazywać ma prawo. Brwi zmarszczone nad oczyma, dolna warga podniesiona w górę, pierś szeroka, naprzód wystawiona, głowa odrzucona w tył, znamionowały władzcę, który ani równych, ni wyższych nad siebie znać nie chce.

— Ktoś ty? — zapytał stojący, — co ty masz do czynienia na Pomorzu?

Mówiąc to, patrzył, badał, oczyma nie spokojnymi od stóp do głowy mierzył Jaszka. Ten myślał już tylko, czy kłamać ma, że Budziwojem jest, czy się opowiedzieć, kim był w istocie.

Ostatnie zdało mu się lepszem na raziedomyślał się w tym jakimś panu wielkiego urzędnika i prawej ręki Światopełka.

Począł więc:

— Jam tu jest z cudzem mianem, ale moje prawdziwe chciecie wiedzieć, tom Jaszko Jaksa

Marków, wojewodziński syn, ten sam, którego Leszek zbeczcześcił za to, że Odrowąże mu przezemnie poginęli.

Słuchający krzyknął:

— Zaś! Ty — Jaszko?!

I zbliżył się ku niemu.

— Jam jest.

— A co tu robisz?

— Na Pomorze jadę do księcia, do Światopełka; powinowatym mi przecie jest, swojemu ginąć nie powinien dać.

Uśmiechnął się gość.

— Jam też Światopełkowy powinny, — rzekł, — ale wara, by tu kto o mnie miał wiedzieć!

Głowa by spadła temu, ktoby mnie wydał.

Jaszko nie dat się zastraszyć.

— Swój swego nie wydaje, — rzekł. — Jeżeli na Pomorze jedziecie, weźcież mnie. My też ze sobą powinowaci jesteśmy, nie powinniście odmawiać.

Namyślał się trochę nieznamy pan.

— Mów mi o ojcu, — odezwał się, nie odpowiadając — Nie dat ci jakiego posełstwa?

— To, co mi dał, księciu Światopełkowi odniosę, — rzekł Jaszko.

— Wszystko jedno. Chcesz, bym cię wziął, to mów; jam jeden, dla którego on nie ma tajemnic. Ja wiem, co on myśli, a co ja chcę, on też.

Uśmiechnął się.

— Ojciec kazał mu powiedzieć, że czas jarzmo zrzucić i Leszkowi koniec zrobić, — rzekł Jaksa.

— Łatwo to rzec, a zrobić ciężej, — odparł stojący, — kogóż ojciec z sobą ma?

— Jaksów dosyć, a przyjacioły się znajdują, — mówił Jaszko. — Odonicz ze Światopełkiem silni są, tutajszy pan bronić brata nie będzie.

Słyszac to, nieznanomy głową tylko poruszył.

— Na co więcej? — dodał Jaszko. — Leszek łatwowierny, wziąć go łatwo. Albo to zamków i lochów nie ma, gdzie go posadzić?

— Z lochów ludzie wychodzą, — mruknął nieznanomy pan.

Po chwili milczenia uderzył go po ramieniu.

— Milczże tu z tem, — dodał, — a nocą jeśli ci się chce, możesz się przyłączyć do moich.

Jaszko się pokłonił, dziękując.

— Wiele masz z sobą czeladzi? — zapytał, zwracając się Pomorzanim.

— Kilkoro tego ledwie jest, bom się z Krakowa pokryjomu wymykał.

— Konie dobre?

— Nie ustana, — rzekł Jaszko.

— Choćby noc i dzień?

Potwierdził to Jaksza.

— Idźże, a żeby o tem, co ma być, nie wiedział nikt! Powiedz znajomym, że do Krakowa powracasz.

Wskazał mu na drzwi i palec położył na ustach. Jaszko się pokłonił i wyszedł.

Gdy w podwórzu ochłonał, sam się sobie dziwował. Nie był skłonnym przed lada kim się ukorzyć, a ten człek nieznanym postawą i głosem tak nad nim zapanował, iż się przy nim czuł sługą.

Nie wiedział, kto był, dał z siebie wyciągnąć, co tamten chciał, dał sobie rozkazywać i w zamian mało co zyskał. Gniewał się trochę na siebie, po niewczasie.

— A co, Gromaza? Jużem się wylizał, rzekł, powracając do izby, — darmo waszego chleba jeść nie chcę. Powrócę do Krakowa odpocząć.

— Z Bogiem! — odezwał się podłowczy. — Wybierz sobie tylko dzień dobry do wyjazdu,

nie feralny... aby w drodze znów jakie лихо nie spotkało.

XII.

Waligóra musiał dzień następny przesiedzieć we Wrocławiu. Do wsi przywykły, długo

wytrwać w zamkniętej izbie nie umiał, rozmową się zabawiać nie było z kim; doskwierało mu to, że naokoło nienawistną mowę niemiecką słyszał wszędzie. Zawczasu więc zrana wysunął się z

gospody na miasto, sam nie wiedząc dokąd i po co. Ludzie szli, powlókł się i on.

W ulicach spotykały go widoki osobliwe, od których był odwykły, albo ich nigdy nie oglądał.

Właśnie w rynek wyszedł, gdy na jednej z wieżyczek kościelnych w dzwon bić zaczęto; myślał, że na nabożeństwo. Ludzie z domów wysuwać się zaczęli i wyglądać, niektórzy się pochowali zaraz, inni stali niepewni, jakby w oczekiwaniu. Od kościoła ukazał się idący ksiądz w komży, chłopiec z dzwonkiem, kleryk z świecą w latarni, Szli pospiesznie a tuż za nimi parami z do-

mów wychodzący ustawiali się mieszczanie i złożywszy ręce, księdzu towarzyszyli Ksiądz szedł do chorego. Z każdego domostwa obowiązany był iść za nim, kto był w pogotowiu.

Ledwie że procesya przeszła ulicę, gdy Waligóra, kościół sobie przypomniawszy, zwrócił się ku niemu.

Chciał bocznymi drzwiami wniknąć do kościoła, gdy poruszenie jakieś ludu, a potem nagle urwany głos Benedyktyna zmusiły go spojrzeć przez otwarte wrota ku rynkowi.

Od zaniku ciągnął tu wprost orszak, w którym Waligóra ujrzał boso idącą księżną Jadwigę z krzyżem w rękę, na który miała zwrócone oczy; odzież jej tego dnia była jeszcze prostszą, starą i wyszarzaną... na nogach zdala nawet widać było krwawe poranienia i nabrzmienia. Towarzyszka jej szła w ślad, głośno śpiewając pieśń pobożną z nią razem.

Cały dwór księżnej pieszo także postępował za nią, a z tyłu czeladź prowadziła konie

podrózne. Księżna, pomimo pokaleczonych nóg i zimna, szła, jakby nie czuła ani bólu, ani chłodu, z twarzą uweseloną, z oczyma jasnemi, w widocznem uniesieniu, które ją od ziemi odrywało.

Poznał Waligóra łatwo, iż księżna, która przybyła umyślnie z Trzebnicy dla zabrania

Bianki nie mogąc dłużej pozostać we Wrocławiu tęskniąc za swym świętym przytułkiem

wracała już nazad do niego. Spodziewał się w orszaku ujrzyć tak cudownie wczoraj nawróconą sierotę i zdziwił się, ani jej, ani siostry Anny nie widząc.

Na przeciw pobożnej pani wyszło już dawno duchowieństwo z krzyżem i święconą wodą.

Benedyktyn też u drzwi stojący pacyfikał do góry podniósł i pobłogosławił, lud padł na kolana.

Cisza stała się wielka, śpiew tylko orszaku księżnej brzmiał tęskną jakąś nutą jednostajną, płacziwą, błagającą.

Po chwili wszyscy wtoczyli się do kościoła, gdzie wtórując, księża poczęli śpiewać chórem.

Mszczuj się już nie mógł wcisnąć z tłoczącymi do środka i pozostał u drzwi z częścią orszaku księżnej. Posłyszawszy mówiących po polsku, a ciekaw będąc, co się stało z Bianką i jej towarzyszką, spytał pocichu jednego z ludzi.

— Chora ta siostra pono, — odpowiedział mu, — i nasza pani jej zabrać nie mogła.

Nie miał już do dłuższej rozmowy ochoty i odwrócił się.

Z innymi ludźmi, co się w ciasnym kościółku pomieścić nie mogli, Waligóra precz odszedł na miasto. Wahał się jeszcze ma na gród iść domagać się odpowiedzi czy powracać do domu, gdy nadbiegło pacholę, szukające go.

— Z Krakowa jest posłaniec od biskupa! — rzekło zdyszane. — Czeka na was w domu.

Zdziwiony i trochę zastraszone, że go tak prędko gnano już posłem, Mszczuj zawrócił do gospody. Lękał się, czy co nie zaszło w Krakowie. Odwykły też był od coraz nowych widoków, od tego pośpiechu, z jakim musiał i myśleć i poruszać się teraz. W Białej Górze było inaczej.

Nim doszedł do swej gospody, we wrotach jej poznał już tego, co był za nim wyprawiony.

Służka to był biskupiego dworu, chodzący w sukni kleryka, a noszący dziwne i niepospolite imię *Cumquodeus* (1). Gawiedź, przekręcając je na swój sposób, zrobiła z niego Kumkodesza.

Znali wszyscy tego nieboraka, którym biskup, mimo jego powierzchowności niewdzięcznej, chętnie się w różny sposób posługiwał. Gdzie tylko trzeba było rozumu, przebiegłości a wypróbowanego charakteru, tam Kumkodeszka posyłał.

----- (1) Imię zmyślone nie jest. Wspomina go w czwartym wieku

"Gregor. M. Epist"

Miał minę prostaczka i głuptaska, mały był chuderlawy, ale zwinny i wytrzymały a wszystko. Nikt go nie widział nigdy smutnym ani rozpaczającym w najgorszych razach. Z twarzy bladej, płaskiej, małego nosa a dużych, pergaminowych uszu wyglądało tylko dwoje oczek

ciemnych, z których jedno miał nałóg przymrużać.

Na dworze biskupim żartowano sobie często z Kumkodesza, za co się nie gniewał, a mimo to musiano się do niego uciekać, bo więcej umiał od innych. Biegły był w kaligrafii, list umiał ułożyć wedle prawideł wszelkich, dając mu foremną introdukcję, a że był aż kilka razy w Rzymie, we Francyi i po Niemczech się trochę wałęsał, mówił wszystkimi językami, najpotrzebniejszymi po dworach. W obejściu się z ludźmi ostrożny, trafny, pokorny, Kumkodesz był niezbędnym biskupowi, który nie dawał mu się oddalać od siebie, chyba w ostateczności.

Zobaczywszy go, Waligóra domyślił się, iż niemałej wagi poselstwo być musiało, kiedy z niem Kumkodesza wyprawiono.

Zdała już mały kleryk pozdrawiał go, wywijając długimi na swój wzrost rękami i głowę ku ziemi skłaniając.

Mszczuj nie chcąc z nim mówić przy ludziach, bo pełno było we wrotach ciekawych i próżniaków, wwiódł go do izby.

— Jego miłość, ojciec nasz, pozdrawia was, — odezwał się Kumkodesz, stanąwszy u drzwi, — śle wam błogosławieństwo i mnie na utrapienie wasze, abyście mieli więcej gąb do karmienia. Śmiał się kleryk, tak jak zwykł był ze wszystkiego.

— Macie pewnie coś do mnie, — mruknął Waligóra.

— Niewiele... znajdzie się tam coś, — rzekł Kumkodesz.

Twarz starego zdradzała taki niepokój, że kleryk miał sobie za najpierwszy obowiązek nieco go ukołysać i trwogę odpędzić.

— Nie stało się przecież u nas nic? — spytał Mszczuj.

— Bóg łaskaw! Po staremu! — odparł Kumkodesz. — Ojciec nasz dobry już po wyjeździe waszym pomyślał sobie: a możeby jemu ten kleryk biedota w drodze się przydał na co, choćby śmiechem go zabawiając? I ot, w pogoń go wyprawił.

Spojrzał nań Mszczuj, niedowierzająco przyglądając mu się. Kumkodesz zatarł ręce i sukni poprawił.

— Jakby co czasem napisać trzeba było, albo przeczytać, — dodał. — Ja wszystkie ich pisma i kruczki znam.

— Ale ja bo niedługo bawiąc, już powracać myślałem, — odparł Waligóra. — To, z czym mnie tu posłano, sprawiłem; spodziewam się, że mnie trzymać nie będą.

Kleryk pokiwał głową, coś niby chciał mówić i ociągał się.

— Jakbyście chcieli trochę spocząć a rozpatrzyć się tu, — rzekł, — toby też nie było od rzeczy.

— Ani od rzeczy, ani do rzeczy, — odezwał się Mszczuj, — bo ja tu już więcej ani zobaczę, ani się dowiem nad to, com widział i słyszał. Byłem u księcia, spotkałem księżną, pytałem, odpowiedziano mi... Czegoż więcej trzeba?

— Pewnie, — rzekł kleryk pospiesznie. — Miłość wasza wie, co robić! Ale to tam z tego

gadania nie wiele wyciągnąć, ani w to wiele kłaść; możnaby popatrzeć, co czynią — Oni tu nic nie robią, tylko się modlą i na niebo pracują, — odparł Mszczuj.

— Ojciec nasz świętobliwy mówił mi, gdym się w drogę wybierał, — dodał Kumkodesz, —

niech się tam stary nie spieszy, kości swoją szanuje, a... a...

Tu się zaciął; Mszczuj bliżej przystąpił.

— Cóż za a? — spytał.

Kleryk głos zniżył.

— Możebyście stąd do Poznania się przejechali, Laskonogiego pana Władysława zobaczyli

i u niego spocząć też?

Nie mógł ukryć swej niecierpliwości Mszczuj, usłyszawszy to żądanie, którego się nie spodziewał.

— A ja tam po co? — zawołał.

— Oczy, uszy i rozum wszędzie się przydadzą, — odparł Kumkodesz. — Możeby i dobrze

pana Władysława ubezpieczyć, żeby się z Odoniczem nie układał, bo mu nasz pan pomoże i

podeprze go; a możeby dobrze wiedzieć, co o nim trzyma jego rycerstwo i duchowni, i jak on sam stoi?

— Biskup sobie tego życzy? — zapytał zadumany Mszczuj.

— Takci jest, z tem mnie wysłał, — szepnął kleryk, — i kazał mi z wami i przy was być.

Waligóra ramionami ruszył.

— Pewnie, żeś potrzebny przy mnie bo więcej zobaczysz i posłyszysz, aniżeli ja, — rzekł spokojnie, — a prawdę powiedziawszy, sambyś lepiej sprawił to poselstwo nademnie.

Kumkodesz się chwycił za głowę.

— Jezu miłosierny! — wykrzyknął, — co mówicie, a na co się urągacie biedocie mojej?

— Więc gdym już powracać miał, — westchnął Mszczuj, — gnacie mnie dalej.. do Poznania! Pana brata słuchać muszę... i pójdę wnet na gród domagać się odpowiedzi.

Komkodesz głową potrząsł.

— Nie spieszcie, miłość wasza, — rzekł, byśmy się w jakie podejrzenie nie dali. Nawet widzi mi się, gdy wyjeżdżać będziemy, lepiej krakowską bramą wyjechać dla niepoznaki, a potem nawrócić lasami.

Dokończywszy, kleryk ruszył się jak do odejścia.

— pozwolisz, — rzekł, — wasza miłość, abym ja tu sobie trochę poszalał; mam znajomych na biskupstwie, mam u czarnych i białych mnichów, znajdą się i na dworze; powlokę się na gawędę.

— Rób, co chcesz, — odparł Mszczuj. Ledwie Kumkodesz odszedł, gdy przybył z zamku Peregryn z wezwaniem od księcia, bo gościa podejmować chciano jak najlepiej i Henryk zapraszał go do swego stołu.

— Księżna pani odjechała? — zapytał Mszczuj.

— Tak, tak, ona tu długo nie bawi nigdy, — westchnął Peregryn. Ledwie nasz próg przestąpiła, całą noc spędziła na modlitwie w kaplicy, nie chcąc zażyć spoczynku, a dziś nazad ruszyła. I co miała zabrać tę, po którą przybyła tu, i tego Pan Bóg nie dozwolił, bo owa wychowanka królowej Agnieszki ciężko zasłabła i leży w gorączce. Wczoraj była spokojną i zdrową, dziś chciała choć chora jechać z księżną, lecz siły jej nie starczyły, musiano ją tu zostawić do czasu.

Mszczuj w towarzystwie Peregryna jechał do zamku. Tu mniej dziś zastali ludzi, dwór tylko codzienny księcia, przeważnie z Niemców złożony.

Książę sam tego dnia inaczej się wydal Waligórze.

Za mnicha niemal można go było wziąć wczoraj, teraz, choć pobożnym zawsze okazać się

starał, więcej mu charakteru rycerskiego wróciło. Niezupełnie w nim przykład żony i jej obyczaj stłumił naturę dawną.

Tak jak nad Dłubnią niegdyś trzeba było wpływu pobożnej Jadwigi, aby od zdobywania

Krakowa odstąpił, i teraz, gdy bezpośrednio żona, mająca moc wielką, nie działała nań, stary w nim człek się odzywał. Weselszy był i butniejszy.

Waligóra słuchał i patrzył, w duchu sobie mówiąc, iż za prędko go wczoraj osądził.

Wszczęła się między Niemcami rozmowa zwawa o sposobach wojowania, o orężu, o

wyprawach, a ksiązę Henryk, co wczoraj sprawami rycerskimi wcale się nie zajmował, i dziś żywo je brał do serca.

Mszczuj siedział, nie mówiąc nic, bo sławiono oręż niemiecki, uzbrojenie niemieckie,

męstwo i sztukę wojowania Niemców, a to nań padało, jak zarzewie gorące; kilkakroć o mało się nie zdradził i nie wybuchnął.

Powszechne było zdanie, które i ksiązę Henryk wypowiadał, że żaden naród przeciw

orężowi niemieckiemu nie strzyma.

— To też, — dodał ksiązę, — kto u nas rozum miał, ten ściągnął sobie z Niemiec osiłki. Bez nich by się u nas chrześcijaństwo nie utrzymało, nie byłoby ani miecza, ani zbroi, ani nawet co wdziąć na siebie.

Chociaż słowa te po niemiecku powiedział ksiązę, a Mszczuj ciągle tak czynił, iakby języka nie rozumiał, już mu tego było nadto... Krwią oblała mu się twarz i zawołał:

— Mało co rozumiem, co Wasza Miłość powiedzieliście, lecz jeśli zrozumiał dobrze,

powiem śmiało, że trzymam inaczej. Żyliżeśmy tu długie wieki bez Niemców i lepiejby nam było samym być. Nauczylibyśmy się z musu kować sobie oręż i zbroję, a nasi księża pospolitą mową więcejby nawrócili, niż cudzy apostołowie.

Książę Henryk popatrzał na Waligórę, inni zamilkli, zdziwieni i zgorszeni. Czas jakiś

siedzieli cicho, nie ważył się nikt ani za, ani przeciw. Szanowano gościa, który skończywszy mówić, głowę zwiesił.

Książę nie sprzeciwił mu się, zadumał.

Co było swojaków na dworze, poprzebieranych wprawdzie i mówiących po niemiecku, ale

w których jeszcze krew nie ostygła, a nie przerodziła się, wszyscy wdzięcznie spojrzeli na starego.

W mgnieniu oka jakby na dwa obozy podzielił się stół: poczuli się jedni obcymi, drudzy swojakami. Książę Henryk, może dostrzegłszy to i chcąc zatrzeć wrażenie, rzekł, śmiejąc się:

— Wolę ja ich mieć z sobą, niż przeciw sobie!

Na tem się skończyło, bo już pacholeta niosły misy i ręczniki do umywania rąk, a drudzy z ław wstawali.

Waligóra też, pokłon oddawszy, ruszył się z siedzenia swego i z innymi do drugiej izby ustąpił.

Chciał zaraz do gospody wracać, gdy Zbislaw, rycerz śląski, który zdala u stołu siedział, a do rozmowy się nie mieszał, zbliżył się do niego. Był to stary wojownik, który, choć mu sił ubyło, zbroję jeszcze nosił i w służbie stał. Nie wiele on tu znaczył, bo Niemcy przed nim, jak przed innymi, prym brali i spychali ich na szary koniec. Staremu miło było posłyszeć, że się ktoś ujął za tą sprawą, za którą tu już nikt nie śmiał podnosić głosu.

Dwu czy trzech jeszcze zdala stojących przysunęli się do Mszczuja, lecz przemówić

otwarcie żaden nie chciał; Niemcy podejrzliwie na nich patrzyli. Waligóra czując to, wprędce się wyśliznął w podwórze, gdzie czeladź i konie stały, i do gospody wrócił.

Na drodze go napędził Zbislaw Nieczuja i pozdrowił.

— Bóg zapłać, żeście im nosa utarli, — rzekł. — My tu już swoi nie śmiemy z nimi stanąć na równi, wszystko objęli, nam zostało tylko wymrzeć, by im ustąpić ziemi która będzie ich.

Waligóra bał się rozmowy w ulicy, a słuchał chętnie. Stary Zbislaw jeszcze chętniej

wygadywał się z żalem, który mu na sercu dawno nie wypowiedany leżał. Jechał więc do gospody i wszedł do niej za Waligórą.

— Taki nasz los, — dokończył, wchodząc, — rady nań nie mamy. U nas na Śląsku oni już

panami, a nie lepiej gdzieindziej. U Laskonogiego pełen ich dwór, u Plwacza drugie tyle, u księcia Konrada i starych i nowych kupa,.. i w Krakowie też nie mało.

Załamał ręce.

— A młodzi książęta? — zapytał Waligórą.

— Niemki ich niańczyły, Niemcy uczyli, karmili, oni stróżowali — muszą tem być, czego

się nassali. U Żegoty Robaka, gdy matka zawczasu umarła a mamki nie było, dano córce kozę, aby ją karmiła. Całe żywe potem koziego coś miała w sobie! Tak i tu! Książę Henryk jeszcze nas cierpi, a drugi znać nie chce.

Stękali tak długo, ale ani jeden, ani drugi nie widzieli sposobu, by zaradzić temu. Tyle tylko, że żółć zrzucili z serca.

Waligóra, sam zostawszy u ognia, zasepił się i myślami pobiegł do swych dzieci.

Spartym tak na rękach, że zwisła głową znalazł go Kumkodesz, powracający z wycieczki

swjej, który widząc w izbie światło, przyszedł z pozdrowieniem. Miał jak zawsze twarz wesołą i więcej jeszcze, niż przedtem, ożywioną.

Mszczuj się ku niemu zwrócił.

— Gdzieżeś był? — zapytał.

— Gdziem nie był! — odparł, śmiejąc się kleryk. — W obu klasztorach, na biskupstwie i na dworze książęcym — wszędzie. Dzięki Bogu, tu nieźle słyhać, ksiązę Henryk trzyma i trzymać będzie z nami.

— Tak się zdaje, — mruknął Mszczuj.

— A Konradowi nie dadzą Prusacy o złem myśleć, — ciągle wesoło prawił kleryk. — Ci

niemieccy rycerze, których sprowadził, tymczasem mu niewiele pomogą. Braci zakonnej przyszło tylko dwóch i kilkunastu knechtów.. ano im się nie wiodło i po drodze i na miejscu. Nim dojechali do Płocka, dwóch młodych ochotników tak jak strapili, bo ich gdzieś rannych porzucić musieli.

Powiadają, że się nieopatrznie na łowy wybrali i dzik ich ciął obu.

Mszczuj słuchał obojętnie, lecz na myśl mu przyszło, iż od biskupa pod Białą Górą o

Krzyżakach słyszał.

— Cóż się z tymi rannymi stało? — spytał.

— Mówią, że ich gdzieś pod jakimś zamkiem rzucono na laskę lub niełaskę Bożą, — odparł

Kumkodesz. — Po drodze rozpowiadać mieli, że zamek to był jakiś niegościnnie, bo tam nie chciano nawet chorych wpuścić.

Zamek niegościnnie Waligórze dał do myślenia. A nuż Niemcy zawędrowali pod Białą Górę,

bo stamtąd niedaleko stali? Nie było w tem niebezpieczeństwa, lecz sama myśl, że gdzieś tam na jego ziemi Niemcy mogli szukać przytułku, gniew budziła w Mszczuju. Nuż ich tam kto,

ulitowawszy się, przyjął?

Myśli różne wędrowały po głowie... pochmurniał bardziej jeszcze.

Kleryk powtarzał, co gdzie słyszał i był całe dobrej myśli. Widząc wreszcie, że Mszczuj, jakby drzemiący, nie odpowiada mu, a mając w tejże izbie przygotowane posłanie, usunął się na bok i klął do modlitwy.

Nazajutrz Waligóra postanowił pożegnać księcia; nie chciał tu siedzieć dłużej, niepokój długo mu spać nie dał, obudził go za rania i pędził stąd. Chciał zbyć drugie poselstwo, wrócić do Krakowa i wyprosić się do Białej Góry.

Książę Henryk dnia tego zawczasu wyruszył na polowanie, na grodzie było pusto Peregryn nawet, który nigdy pana nie odstępował, pojechał z nim. O tem wszystkiem Mszczuj dowiedział się dopiero na zamku pustym, ledwie znalazłszy sługę, z którym się mógł swoim językiem rozmówić.

Już miał iść precz z narzekaniem na dzień stracony, gdy drzwi izby, w której się zatrzymał, uchyliły się i dziewczę służebne dało mu znak, aby za nim szedł. Nie wiedząc, co to miało znaczyć, Waligóra, choć niechętnie, kroczył za niem.

W pustej komorze drugiej nie było nikogo. Dziewczyna znikła. Po chwili drzwi się otwały i krokiem chwiejnym weszła Bianka. Bledsza była jeszcze i bardziej zmizerowana i wylękła, niż gdy ją widział w drodze. Z trwogą zbliżyła się ku niemu.

— Bogu dzięki zdrowie wam powraca, — odezwał się Mszczuj, spoglądając na nią.

— Zdrowie? choroba?... — odparła. — Ja sama nie wiem, co się dzieje ze mną... Ta pani ma władzę straszną, wczoraj przemieniła mnie, wzięła moją duszę ze mnie, wycisnęła ją jak chustę i stała się białą i czystą... zapomniałam o wszystkim. nie chciałam nic, tylko z nią być i zostać wieki... Dopóki ona tu była, błogo mi było... gdy odeszła, czy śpię znów, czy roję, czy żyję, nie wiem. Pamięć i strach powracają... trwoga niewoli... Ona moją duszę weźmie ze mnie... Ratujcie mnie! A! tak! siłę ma wielką! Dziś znowu pamiętam i drzę! Niewola mnie czeka i ten sen co wczoraj... śmierć!

Mówiła, a Mszczuj stał, słuchał i nie rozumiał. Zdawała mu się obłąkaną.

— Jakże jabym mógł, choćbym nawet chciał was ratować? — odezwał się z litością. —

Sama widzisz, że jesteś w ich mocy, księżna pobożną i świętą jest, złego od niej obawiać się nie możecie. A ja wyrwać was stąd... nie potrafię.

— Przecież rycerze nie jeden raz porywali niewiasty nawet z klasztorów, — odezwała się

Bianka, — ja o tem słyszałam, będąc jeszcze małą. Śpiewano o tem pieśni.

— Ale ja tu jestem postem i nie tylko skaziłbym się sam, lecz i panu memu krzywdębym uczynił, popełniając gwałt. Młodym to przebaczano, staremu byłoby sromota.

Sierota, zakrywszy oczy, płakać zaczęła.

— Nie macie bo litości nad nieszczęśliwą!

— zawołała. — Ja tylko w was ufam! Zmiłujcie się, wyrwijcie mnie stąd. Siostra Anna, co mnie strzeże, jest w kaplicy. Was tu Pan Bóg sprowadził. Ja nocą wyrwę się z zamku — ucieknę.

Wolę w las bied i z głodu umierać, niż iść w niewolę, musicie mnie ratować! Nie mam nikogo!

Szmer w drugiej izbie mówić jej nie dał, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Waligóra co rychlej ustąpił z komory, przeszedł pierwszą izbę pustą i szybkim krokiem zamek opuścił. Żal mu było obłąkanej, lecz cóż mógł na to radzić? jak ratować? Lękał się i on tej siły, jaką miała księżna przez świątobliwość swoją... przeciwieć się jej, było to walczyć z Bogiem.

Jeden miał tylko środek uniknięcia tego, co mu tu zawikłaniem niebezpiecznym groziło:

uchodzić co rychlej. Nie zważając więc na Kumkodesza, powróciwszy do gospody, kazał się sposobieć ludziom do drogi. Postanowił wieczorem pożegnać księcia i choćby nocą ruszyć ku Poznaniowi.

Kleryk, który z kościoła po nabożeństwie przyszedł, przed południem znalazł wszystko już przygotowane do odjazdu.

— Wasza Miłość chce przyspieszyć podróż? — spytał.

— Muszę, — rzekł Mszczuj, — już mnie nie pytajcie i nie wchodźcie w to; powiadam wam, że dłużej tu siedzieć nie mogę. Jak skoro ksiązę powróci, żegnam go i na konie.

Kumkodesz spojrział i widząc niezmiennie ostanowienie, nie sprzeciwił się, począł też swoją węzełki sposobieć..

Czas do wieczora włókł się leniwo, już mroku w rynku ukazał się myśliwski orszak księcia, wracającego z lasu. Peregryn przybył dowiedzieć się o gościa. Konie stały poodziewane do drogi.

— Chcecie jechać? — zawołał zdziwiony.

— Przybył posłaniec z Krakowa, który mnie zmusza do spieszego powrotu, — rzekł

Mszczuj. — Uczyńcie to, abym mógł księcia pożegnać. Pilno mi jest.

Peregryn nie nalegając, oddalił się. W godzinę już Mszczuj był na zamku.

Ksiązę Henryk właśnie po łowach spoczywał.

— O małym dziś znowu tak nie zapadł z koniem, — odezwał się do wchodzącego, — jak ongi na tej trzebnickiej grzędawicy, gdzie dziś kościół stoi i klasztor? Łowy próżne, a ja zmęczony.

Peregryn mówi, że chcecie stąd precz. Co się tak spieszycie? — dodał. — Jużci nie dla Niemców,

których nie lubicie!

— Przybył z Krakowa posłaniec, — rzekł stary, — muszę.

— Gdy musicie, jedźcie, — odparł Henryk, — a powiedzcież pobożnemu i świętemu mężowi, że Henryk i syn jego, co raz rzekł poprzysiągł, to strzyma, bo duszy gubić nie chce dla wszystkich skarbów znikom świata tego.

Księżę przemówił jeszcze słów kilka a w końcu zmusił Mszczuja, aby od niego przyjął na pamiątkę łańcuch.

— Niemieckiej roboty jest, — dodał śmiejąc się, — ale ci go daje ręka życzliwa w której swojska krew płynie.

Aby nie obrazić księcia, Mszczuj podarek przyjąć musiał. Peregryn go do gospody przeprowadził i właśnie księżyc wschodził za borami, gdy poczet cały za bramami miasta się znalazł. Mszczuj odetchnął wolniej. W mieścisku tem duszno mu było... i obco... chciał je co najprędzej opuścić.

Już się kilkoro staj od bram oddalili w pole, zwolna jadąc a rozpatrując się, gdy za nimi dał się słyszeć tentent i nadbiegli ludzie konni. Jechali w bok, z drogi się rzucając, niespokojni, jakby kogoś szukali, za czemś gonili.

Kilku z nich zbliżyło się i wyminęło Waligórę, inni z tyłu pozostali. Jeden z ludzi począł pytać, co po nocy tak tropią.

— Z zamku niewiasta, do klasztoru przeznaczona, uciekła, — odezwała się pogoń. — Nikt nie wie, jak się wyrwać potrafiła. Podobno w głowie jej było niezdrowo... i w przy- stepie szaleństwa zbiegła. Na wszystkie drogi ściągać ją wysłano.

Mszczuj chciał spieszniej puścić się, taka zdjęła obawa, lecz gościniec był nierówny, doły w nim powybijane, stały kałuże, które omijać musiano. Konie się plątały. Musieli stępią jechać dalej, a pogoń wkrótce zarośla nad drogą strząsłszy, powróciła nazad ku miastu.

Wtem Waligóra postrzegł na gościńcu stojące widmo jakieś, wyciągające ręce ku niemu.

Nim miał czas w bok się rzucić, zbliżyło się do konia i z krzykiem padło przed nim na ziemię.

Po głosie poznał Biankę.

Czeladź i on, ochłonawszy ze strachu, zsiadli z koni ratować omdlałą, która wróciwszy do zmysłów,

za nogi chwyciła starego, błagając, by jej nie opuszczał.

Nie wyrzekłszy słowa, Mszczuj podniósł ją na konia swego, kazał sobie dać luznego i puścił się w dalszą drogę.

Kumkodesz, który nie rozumiał nic, zgorszony był i przerażony. Czyn ten wydawał mu się świętokradzkim, nie śmiał się odzywać i w tył cofnąwszy, myślał, czyby mu nie należało nazad do Krakowa powrócić, aby nie być świadkiem takiej zgrozy i szkarady. Czeladź też Mszczujowa patrzyła po sobie, nie poznając swego pana.

Jeszcze się od miejsca tego na kilkanaście kroków nie oddalili, gdy jak piorun spadła na nich, otaczając ze wszech stron, zbrojna zamkowa hałastrą: rejtry, knechty, pacholki wszystko, co w pogoń ruszyło za zbiegłą sierotą. Napad był tak gwałtowny i niespodziany, że Waligóra nie miał czasu dobyć miecza i cugle w zęby porwawszy, potężne swe dłonie tylko przeciw Niemcom wystawił. Zamieszanie w mgnieniu oka stało się takie, że swoi od obcych rozróżnić się nie mogli.

Niemcom smakowało bicie człowieka o którym wiedzieli, że ich nienawdził, Krakowianom też ucierać się z nimi byłoby na rękę, gdyby nie przemagającą siłą. Jak mrowie obsiedli ludzie zamkowi garść Mszczujową, ścisnęli ją, zgnetli, opasali.

Jeden tylko Kumkodesz, na koniu jadący ze swymi ludźmi, w porę się odbił na stronę i nie mogąc bronić Mszczuja, postanowił ujść, aby o losie jego dać wiadomość. Waligóra byłby się może także, dzięki swej sile, która mu z gniewem powróciła, wybił z pomiędzy knechtów, gdyby z nim nie padł koń, na którego się przesiadł, a na leżącego, nim się mógł podnieść, rzuciło się kilku i przygniotło. Musieli mieć czy rozkaz pojmania go, czy się sami domyślili tego, lecz wszelkich sił

dołożyli, aby nie dać ujść Mszczujowi. Dwu z nich uderzeniem pięścią w skroń

położył na miejscu, kilku ręce pogruchotał lecz nie dali mu się z ziemi podnieść i

natychmiast go powrozami skrupowali. Kilku ludzi wzięto także do niewoli, a reszta w lasy poszła i rozbryzgnęła się, korzystając z ciemności. Pochwycono i omdlałą Biankę z konia.

Z okrzykami tryumfu cała ta hałastrą pociągnęła do miasta. Wrzawa tak była wielka, iż ją na zamku usłyszano i ludzie wybiegli naprzeciw.

Można sobie wyobrazić radość tych, którzy wczorajszego wystąpienia Mszczuja przeciwko

Niemcom i jego pogardy dla języka ich byli pamiętni, gdy ujrzano owego biskupiego posła, pochwyconego na gorącym uczynku gwałtu na drodze publicznej przeciwko niewieście, do orszaku księżnej należącej.

Z wiadomością o tem jedni pospieszyli na gród, drudzy otaczali związanego Waligórę,

sztydząc i naigrawając się z niego.

Wnet wszystko, co przeciw niemu świadczyć mogło, przypomniano: spotkanie w drodze z

orszakiem siostry Anny, potajemne z Bianką rozmowy, potem widzenie się z nią na zamku w czasie niebytności księcia. Było czem dowieść podejścia, zdrady, umowy i gwałtu popełnionego na osobie, przeznaczonej do życia zakonnego. Niemcy z całą zajadłością poduszczali na swego nieprzyjaciela. Książę jeszcze był niepewien, co ma począć, gdy go oblężono, zakrzyczano, zmuszono niejako, aby winowajcę wsadzić natychmiast do więzienia.

Występek był jawny. Biankę schwycono na koniu Waligóry, oprócz tego, broniąc się, ubił dwóch ludzi i kilku okaleczył.

Natychmiast nadbiegający prolokutor (prokurator) sądów dworskich, jak przystało,

Niemiec, począł księciu wystawiać, iż tak okropna zbrodnia bezkarnie ujść nie powinna. Człek ten nadużył gościnności, spiskował w najohydniejszy sposób, popełnił *raptus* (gwałt), *violentią* (uprowadzenie) pod bokiem księcia z pogardą władzy jego, korzystając z poselskiego urzędu swojego, okazawszy się prócz tego niewdzięcznym dla pana, który go przyjął tak dobrotliwie.

Nadewszystko przekonywajacem dla księcia było to, że pobożna pani Jadwiga nie mogła przebaczyć zniewagi swojego domu i niewiasty, którą służbie Bożej poświęcić chciała.

Po krótkim namyśle książę Henryk uległ i wydał rozkaz zamknięcia Mszczuja do więzienia.

Niemcy domagali się nad nim natychmiastowego sądu i przykładowej kary. Nie dość im było trzydziestu, ani pięćdziesięciu grzywien, wołali, że na gardle powinien być karany.

Zbisław i mała kupka Ślązaków nie miała się nawet odzywać.

Tak wprost do grodowego więzienia wciągnięto starego Mszczuja, ludzi od niego oddzieliwszy, a że się siły jego obawiano, pozostawiono, jak był związanym grubemi sznurami.

Stary na wrzaski i wołania ani słowem nie odpowiadał.

XIII.

Ranek był chmurny i na dzień się dopiero zbierało, gdy Jaszko na koń siadłszy, musiał przyłączyć się do kilkunastu koni, które nieznanemu Światopełka powinowatemu towarzyszyły.

Jechali w milczeniu przez całe prawie śpiące jeszcze miasto, z którego okien gdziekolwiek tylko błyskały światła jakby unikali, by ich nie postrzeżono. Prędko wydobyli się z pośrodku zabudowań

małemi drożynami na pole i zaczęli zdążyć ku lasom, nie pilnując gościńca. Dopóki byli w mieście, żaden słowa nie przemówił.

Przodem, na lichym, niepozornym koniu jechał człek bez nakrycia na głowie, porosłej ogromnym włosem, i zdawał się prowadzić. Za nim milczący ów powinowaty Jaksów, dalej poczet cały, do którego się przyłączył Jaszko.

Dopiero, gdy już w lasy wjeżdżali o świcie, mógł się on lepiej rozpatrzeć w tych wśród których się znajdował; w Płocku bowiem oni się nie pokazywali. Byli to ludzie dorodni, silni, plemię jakieś wytrwałe, chłop w chłop szerokopleczyste, ale po twarzach ich widać było dzikość zwierzęcą, coś nie dobrze okiełznanego, rwącego się na swobodę. Jaszko znajdował między nimi a swoimi różnicę wielką, jakby niedawno przyswojonych i do posłuszeństwa nie nawykłych jeszcze.

W lesie przewodnik na małym koniu ciągle ukazywał drogę, a zdawał się wyszukiwać jak najmniej uczęszczaną, wcale więc nie rażno im jechać było, bo się przedzierać musieli to gąszczami, to przez moczary i kępiny, przez kłody i zawały, a do pół dnia nie widzieli ni żywej duszy, ni leśnej chaty.

W lasach z liści ogołconych, panowała cisza tej pory roku, gdy drzewa czem szumieć nie mają, a głos ich letni zmienia się w szmer suchy, w szelest śmiertelny... Tylko gdzieniegdzie łany sosen i świerków weselej zielonemi gałęźmi rozmawiały.

Sądził Jaszko, że dowódzca w drodze się do niego zwróci, zagada, pytać będzie, lecz ani nań spojrzął, zapomniał prawie, jechał zadumany i zdawał się nie widzieć go, nie wiedzieć o nim.

Dobry kawał drogi zrobili, nim dano znak do spoczynku i popasu. Tu już Jaszko wzgardzony, trzymał się na uboczu, płacąc równą obojętnością. Dowódzca spojrzął nań zdala, pozdrowił go tylko od niechcienia i rzucił się na podeślane mu skóry na spoczynek, jak gdyby nocy nie dospał.

Niewesoła to zaprawdę była podróż, towarzysze jacyś nieprzystępni, a choć mu jeść i pić dano, nikt się z nim kumać nie spieszył. W grozie widać trzymanych ludzi, cicho między sobą szeptali.

Jaszko sobie mówił ciągle:

— Aby do Światopełka! droga się przecież kiedyś skończy musi...

Jechali dalej tak samo milczący, pospieszając tak samo, zarwawszy trochę wieczora i nocy.

Spać było trzeba pod gołym niebem na ziemi, bo tylko dla dowódcy szałasik sklecono... Do dnia dawano znać do drogi znowu i tak szło dalej, bez zmiany.

Dowódzca tylko oglądał się czasami i oczyma szukał Jaszka, jakby wątpił o nim... a Jaksą zły już był,

więc się ku niemu nie kwapił.

Choć Jaksza nie znał dobrze drogi, ale wiedział, w którą się stronę kierować byli powinni, i zdało mu się, że niekoniecznie jechali naprost tam, dokąd im było potrzeba.

Drugiego dnia położyli się na spoczynek w lesie, a ludzi dwóch wysłano na zwiady. Jaszko dosłyszał tylko, gdy im nakazywano patrzeć, czy do gródka przystęp był wolny.

Czekając na powrót ich, więcej pół dnia spoczywali, a gdy ci nadbiegli i oznajmili, że jechać było można, zapóźno się zdało nocowali więc w lesie. Rozkazy były dane na przedświt.

Wiedział już Jaszko, iż gdy tu co nakazano, wykonać się musiało; na pierwsze poruszenie ludzi, którzy konie poić poprowadzili, stał i on w gotowości. Mrokiem zaczęli się wydobywać z lasów na mokrą równinę, wśród której łągów widać było jakby rozlaną rzekę i płynące do niej strumienie z puszczy.

Lśniły się zdala stawy i jeziorka, okolica była niska, błotnista, pozarastała trzcinami, sitowiem, łożą i szuwarami, pustynna... tylko wśród niej na pagórku zdało mu się, jakby grodek jakiś widać było.

Wyjechawszy z lasów, dowódzca stanął i dobrze się dokoła rozpatrzył, zanim w dalszą ku grodzisku puścił się drogę.

Dzień się robił, coraz widniej było na świecie. Jaszko teraz wyraźniej mógł już poznać zameczek, wały a nawet ludzi, jak mrówki około niego tłumnie się kręcących. Dym, z za wałów podnoszący się ku górze i rozpląający się po okolicy wskazywał, że tam nareszcie ludzkie mieszkania i spoczynek znaleźć mogli.

Jechali teraz spieszniej przez hacie, groble, liche mostki i brody...

Około zamku poznał Jaksza ludzi, sypiących wał i bijących ostrokoły... Ruch tam był znaczny.

Jeszcze opodal od niego byli, gdy kupka ludzi, spostrzegłszy ich, wyrwała się z podzamcza i szybko się zbliżać poczęła. Wszyscy byli dobrze zbrojni, z włóczniami w rękach, z tarczami, w szyszakach, i żwawo sunęli naprzód. Dowódzca klusem się wysunął przeciw nich, coś zakrzyczał; stanęli i puścili się nazad, jakby oznajmując o nim.

Gdy znikli, w chwilę potem wyjechał bardzo pospiesznie na koniu sam jeden mąż, ku

któremu podążył dowódzca, i zaraz z koni posiadawszy, uścisnęli się jak bracia, bardzo serdecznie, a konie wiodąc w rękę, szli razem ku gródkowi.

Jaksza rad był odgadnąć, kogo dowódzca tak poufale witał, gdy posłyszał pomiędzy ludźmi, którzy obok jechali, szepty:

— Plwacz!

Tem ciekawiej więc począł mu się przypatrywać. Twarzy mało mógł dojrzeć, ale widział ruchy żywe, gwałtowne, rękami okazywane namiętnie, chwilami dochodził głos krzykliwy.

Władysław Odonicz plwał co chwila, okręcając się to w tę, to w tę stronę, a usta mu się nie zamykały. Towarzyszowi ukazywał na okolicę, na wały, rozповідаł coś, przysiadł do ziemi, garbił się, prostował, śmiał mruczał i krzyczał na przemiany.

Tamten słuchał w milczeniu z powagą rzadko słowem przerywając, częściej znaki tylko dawał głową. Dziwiło to Jaszka, że co miał przybyły przed księciem Władysławem być z poszanowaniem, jako dla starszego dostojęństwem, przeciwnie, Plwacz okazywał mu cześć jakąś i ustępował nawet kroku.

Musiał to być ktoś bardzo bliski Światopełkowi, którego opieki i pomocy Plwacz potrzebował i jemu winien był ratunek, gdy z wygnania w mniszym habicie, jak mówiono, wymknąwszy się, przybył doń, znalazł przytułek, poślubił siostrę jego, a teraz swojej dzielnicy, ba, nawet Wielkopolski się dobijał.

Mniej go już dziwiło, że ów pan, któremu się Plwacz kłaniał, w drodze nań mało się oglądał.

Cała jego uwaga była zwrócona na Plwacza; na nim i na Światopełku pokładał nadzieję swej zemsty. Byli to jedyni ludzie, co przeciw Leszkowi otwarcie stawali.

przyszło mu na myśl, iż mógł to być sam Światopełk, który do Konrada potajemnie jeździł, a nie chciał być w Płocku widzianym co go wielką napełniło radością...

Tymczasem już ku okopom się zbliżyli i Jaska mógł przypatrzeć się zamczysku, które właśnie umacniano. Spędzeni z osad wiejskich ludzie, niewolnicy, czerń odarta w łachmanach, niektórzy pół nadzy i w skóry tylko jako tako pozszywane poodziewani, z łopatami i noszami, nasypywali ziemię, bili koły. Nad nimi stojący dozorczy z kijami białymi i z biczami napędzali i krzyczeli. Robota szła z pośpiechem wielkim.

Zamek wydał się Jaszce dosyć mocnym, bo go wody dwóch, jak miarkował, rzek

oblewały dokoła, moczary i jeziorzyska przystęp doń czyniły trudnym. Jedna hać wąska wiodła na grodek, a i tę przekopać było łatwo.

Plwacz prowadził do głównego namiotu gościa, który szedł przodem, wielkiego poszanowania mu nie okazując.

Jaksa sposobił się jako tako tu umieścić, bo już na łaskę dowódcy nic nie rachował, gdy z namiotu wyszedł ksiądz i począł pytać o niego. Oznajmił mu się jako kapelan książęcy, Medan, dodając, że może się w dworcu rozgościć.

— Nie spodziewajcie się wszakże _ odezwał się wesoło, — aby wam tu bardzo u nas było

wygodnie. My sami tu obozem Co chwila się spodziewamy Laskonogiego pod zamkiem, będziemy się musieć bronić Nasz książę ma wiele męstwa i wytrwałości na swoim postawi, ale przecierpieć musimy i głodem przymrzeć.

Rozśmiał się Medan.

— Kto wie, — rzekł, — jak się z Leszkiem skończy!

Umieściwszy tak Jaska, któremu na sercu lżej się zrobiło, widząc, że go nie lekceważą i pamiętają o nim, Medan wyszedł, obiecując go z sobą wziąć na dworski stół żołnierski, gdy polewka będzie gotową.

Minęła może godzina, gdy już nie kleryk, ale pacholę bardzo strojne, w przepołowionej

sukni, pół czerwonej, pół sonej, przyszło zabrać z sobą Jaskę do namiotu książęcego.

Szedł więc rad.

Opłotków uchylwszy, znalazł się przed księciem Władysławem, który siedział, obie ręce na kolanach sparłszy, a obok niego w pańskiej postawie ten, z którym Jaska przybył. Patrzył nań i ciekawie i szydersko.

— Oto Jaska mój! — odezwał się do Plwacza. — Pokłoń się księciu, a teraz i mnie możesz, bo wiesz, że masz przed sobą Świa- topelka któregoś chciał widzieć, a poselstwo sprawić. W

drodze mi się, czem jestem, nie zdało okazywać, tu w Uściu jużem jak domu. A naprzód wiedzieć masz, że my nigdy w Płocku nie bywali!

Podniósł rękę do góry i rozśmiał się złośliwie.

Jaska pokłonił się obu.

— Mów, — rzekł niecierpliwie Władysław, plując już po swojemu i perząc się, — jest tam

kto w Krakowie, coby rozum miał i tego gnuśnika przepędził?

— Na tych, coby chcieli, nie zbywa, — rzekł Jaska. — Ojciec mój nie zapomniał swych

krzywd, ani ja, ani my wszyscy, ilu nas jest. Leszek by już może wyleciał, gdyby go biskup Iwo i duchowieństwo nie podpierało.

— Nic to, — przerwał Plwacz, — ja też mam ich za sobą. O! tak! prawdą jest! Bez nich nic, z nimi trzymać trzeba, chcesz-li być cały i panować. Laskonogi głupi jest, zadarł się z księżmi, przez to wyleciał z Krakowa... a i w Poznaniu się nie osiedzi... nie!

Jakie serce się radowało.

— Jeżeli macie za sobą Konrada, — rzekł, — nie ma się co Leszka obawiać.

Światopełk dał mu znak, by nie mówił o tem.

— Konrad sobie, ja sobie, ja z nim nie mam nic, — rzekł, — z Leszkiem sprawa

— I z Laskonogim, — dodał Jaksa.

— On nic nie znaczy! — wyrwał się Plwacz, — nic! źdźbło! prószyna! słabizna! Wszyscy

go opuszcza!... Polanie pójdą za mną i za duchowieństwem. Próchno! zgnilizna! Nogi mu się te długie połamią i padnie! Choćby we dwóch z Leszkiem za ręce się wzięli, zdążymy ich pokonać!

Mali ludzie są!

— Ale jest biskup Iwo i Krakowianie, a księżę Henryk, — rzekł Jaksa. — Jam oto właśnie

we Wrocławiu był, stamtąd się nic dobrego spodziewać nie można.

Światopełk i Plwacz popatrzyli na się, potem na Jakcę.

— Słuchaj, Jaszku, — odezwał się pierwszy z nich, który widocznie miał tu stanowczy głos i przewagę, — wiem, żeś Jaksa i mój powinowaty, wiem, że ci sadła zaleli za skórę, żeś dużo przecierpiał, ale ja cię nie znam, czyś ty się na co zdał. Ojciec rozum ma i siłę.

— A ja mam serce i chcę zemsty! — odparł Jaksa. — Czy się na co zdam, popróbujcie. Już

to, zem uszedł z Krakowa do was, coś warto.

Światopełk popatrzył nań chłodno i rozważnie, a Plwacz, nie śmiejąc się odzywać, oczy trzymał w niego wlepione.

— Żeście tu przybyli, — rzekł powoli Światopełk, — dobra jest rzecz, ale wyście nam

potrzebniejsi tam, niż tu. Idźno, spoczniej pomówimy o tem, ale mi się zda, że ja was nazad pchnę do ojca.

— Spoczynku ja tak bardzo nie jestem żądny, — odezwał się Jaksa, — ale i powrotu do ojca także. Wy, miłośnicy panie, tego nie znacie, co to człowiekowi z zemstą w sercu siedzieć pod bokiem tego, komu się ią poprzysięgło. Ani pazury niedźwiedzia tak nie szarpią człowieka, jak ta męczarnia! niej

— Zemsty chcesz? No, to pomagaj do niej! — rzekł Światopełk. — Tutaj dwoje rąk twoich nie wiele przyczyni, a tam zrobicie więcej. Nie z próżnemi rękami tam cię pošlemy, będziesz miał co wieść, ino się ja z panem bratem naradzę.

Jaksa chciał odchodzić, ale się zwrócił jeszcze.

— Książd mi tu mówił, — odezwał się — że pod Uściem Laskonogiego się spodziewacie.

A nuż nadejdzie, to ja się z zamku wyrwać nie będę mógł. Jeśli chcecie mnie wysyłać, trzeba wczas.

Światopełk niemal pogardliwie nań popatrział.

— Przecie jam tu jest, — rzekł, — a i ja się, nie chcę dać oblegać. No, a gdyby i nadszedł

Laskonogi, myślisz, że to tak łatwo obsaczyć tę dziurę dokoła? Czyż to ci koniecznie potrzeba gościńca, abyś stąd wyjechał? A czółenkiem po nocy, albo i po pas w bród, nie możesz ?

Jaksa, tą wymówką dotknięty trochę, nie rzekł nic, wyszedł cicho w podwórcę rozpatrywać się.

Dzień tak upłynął do wieczora, a Jaszko, który się był umęczył podróżą, u stołu dobrze

podjadłszy i napiwszy się, znalazłszy kilku Niemców wesołych do kubka, resztę godzin spędził w ich towarzystwie.

Mówiono, że Światopełk rano nazajutrz jedzie do siebie na Pomorze, czekał więc, co mu rozkaże. Późno już w noc miał ledz, gdy go do namiotu zawołano.

Plwacz ze szwagrem siedzieli prawie tak samo jak zrana. Gdy Jaksa wszedł, Światopełk wstał i podszedł ku niemu.

— Postanowiłem tak, jakem rzekł, — odezwał się, — trzeba ci nazad.

— Ano tam już mnie pewnie wywołali i na gardło skazali! — mruknął Jaksa.

— Od czegoż ojciec? — odparł Światopełk. — A nie mogłeś to miesiąc w lesie przesiedzieć, zabłąkawszy się u druha? Czy oni mają koniecznie wiedzieć, gdzieś ty bywał?

Uderzył się w czoło.

— Rozum powinienes mieć, a jeśli go nie masz, na cóżeś się zdał? — ciągnął dalej. —

Dobrze jest mieczem walczyć, gdy inaczej nie można, ale chytrością lepiej, gdy ją kto ma...

I stanąwszy naprzeciw niego, mówił powoli:

— Leszka słuć w polu choćby i Henryka po sobie miał i Laskonogiego, dalibyśmy radę, ale ludzi szkoda i nas też; obejdziemy się mniejszem... Niechaj ojciec poddaje, że my do zgody, do rozmowy, do układów skłonni, że my baranki. Niechaj tu gdzie, w bliskości granic wiec naznaczą, niechaj Leszek zjedzie, jako rozjemca, a już resztę my potrafiemy... Rozumiesz ty? W to trzeba bić.

Jak się nie w smak poszło, co Światopełk powiedział, stał namarszczony.

— Niech Miłość Wasza mi przebaczy, — odezwał się. — Co z tego będzie? Naznaczą

zjazd, napłynie rycerstwa, duchownych, będzie tak, jak nad Dłubnią z księciem Henrykiem, ręce każą podać i zgodę zapiją.

— Ale ja nie Henryk! nie! — krzyknął gwałtownie Światopełk, za ręce go chwytając tak,

że mu się silne palce jego wpiły w ciało. — Mnie nie nastraszy nikt, ani biskup, ani rycerstwo... ani Leszek...

Po białkach śnieżnych ogniście przemknęły mu się źrenice.

— Rób, jak ci mówię, — dodał Światopełk, — bo wiem, co mówię i wiem, co uczynię, a co

powiem, to się stanie.. Skończymy na zjeździe, a no nie tak, jak ty myślisz...

Odstąpił krok.

— Mów, co ci przykazuję, — powtórzył, — ojciec niech nakłania do zjazdu, do rozmowy.

Przyjdę ja, przybędzie Odonicz. Niechaj miejsce mi takie naznaczą, abym niedaleko miał ciągnąć, bo ja się od mojej granicy oddalać nie chcę i nie wierzę im... Rozumiesz, co ojcu powiedzieć?

Powód do zgody jawny. Odonicza z Laskonogim jednak trzeba, a ze mną też skończyć o tę daninę, której ja nie dam. Ale niech się oni jej spodziewają...

Jaszko nie sprzeciwił się już. Poselstwo to wprawdzie nie było mu do smaku, lecz patrząc i słuchając Światopełka, oprzeć mu się było trudno.

Jak się wydawały się plany te bardzo trudnymi do wykonania i niepewnymi, Światopełk się

nie spowiadał przed nim z ich końca, lecz dla Leszka nie mógł on być pomyślnym. Słaby i łagodny książę krakowski nie był w sile walczyć z energicznym i przebiegłym księciem pomorskim.

Odonicz wstał też, potwierdzając po swojemu urywanymi słowami, które gęste plucie na pół rozcinało, co szwagier powiadał:

— Próchno! słabizna! lichota ! Wszystkich ich pokonamy! nie zmożą nas!... Zjazd, niech

będzie zjazd! Niech duchownych naściąga ich przez moich ponawracam... Niech się zjada...

będziemy robili zgodę...

— Przywiesim do niej pieczęć czerwoną — dodał Światopełk.

Raz jeszcze i drugi powtórzono Jaksie, co mówić miał.

— Jutro rano w drogę! — klepiąc go po ramieniu, odezwał się Światopełk, — a pamiętaj o

tem, że umieć milczeć, to rozum większy, niż umieć gadać.

Pilno im tak było Jaszka wyprawić z Uścia, że go do dnia ludzie Odoniczowi zbudzili.

Opatrzono go na drogę; chciał jeszcze ze Światopełkiem widzieć się i pożegnać, powiedziano mu, że już go w Uściu nie było, nocą wymknął się dalej ku domowi.

Ksiądz Medan, który był wstał, sam jeden tylko życzył mu drogi szczęśliwej.

Znowu więc sam, w nieznaney okolicy, z kilkorgiem czeladzi niezbyt świadomej dróg, znalazł się Jaszko, tyle tylko wiedząc, co mu w Uściu rozpowiedziano głucho o gościńcach i przesmykach.

Deszcz padał noc całą, ziemia była rozgrzęzła, a Jaszko kwaśny i zły tak, że nim za nacie wyjechali na suchszy grunt i konia zcwiczył i sługę obił, a kłął nieustannie.

Zła to była wróżba na drogę. Raźniej mu się dopiero zrobiło, gdy z trzęsawisk i błot do lasów się dostał.

Chociaż przestrzegano go, aby wielkich dróg unikał, Jaszko, ufny w siebie, a leniwy nieco, dla wygody puścił się gościńcem.

— A no, pomyślał, — miasto wprost dążyć do Krakowa, nie byłoby od rzeczy nawrócić do

Płocka i tam spocząć.

Gdy się wybrali na gościniec wielki, Jaszko cokolwiek poweselał, deszcz też ustał, a

piaszczysta droga nie była tak dokuczliwa. Tu i owdzie stała karczma, znalazła się szopa, było gdzie spocząć, do kogo zagadać.

Miało się ku wieczorowi, gdy Jaszko o noclegu pomyślał. Przejeżdżający ludzie oznajmili mu o pół mili gospodę, przy której bezpiecznie można się było położyć. Stawali w niej zwykle kupcy, odpoczywali podróżni, można było dostać piwa i chleba, czasem ryby, bo jezioro było niedaleko. Miejsce to zwano Postojem.

Jaksa popędził konia żwawo i ani już patrzył przed niego, zatopiwszy się w myślach, gdy z tyłu usłyszał krzyk jednego z czeladzi swej. Podniósł głowę, mając się zwrócić ku niemu, ale przed sobą

ujrzał widok, który wywołał głos pachołka. Spostrzegł teraz dopiero, że nieopatrznie jadąc, natknął się na jakieś ogromne rycerskie obozowisko.

Postój już widać było o stai parę, a dokoła jak okiem zajrzeć, leżał lud mnogi, Stały konie, namioty jedne były rozbite, drugie właśnie naciągano. Lud ten tylko co był widać z przeciwnej nadciągał strony.

Jaszko byłby się cofnął, gdyby nie to, że go spostrzeżono i kupa ludzi, z których połowa była na koniach, stała tuż. Ucieczka niemożliwą zdawała się. Nie wiedział zaś Jaksza, co za obóz mógł być, i tknęło go, że najprawdopodobniej wojsko musiało być Laskonogiego, który zdążył pod Uście.

Nie było już innego sposobu, jak iść po rozum do głowy, aby nie popaść w ich ręce.

Przybywał od strony Uścia, więc podejrzanym być musiał, iż do Odoniczów należał.

Nim konia potrafił zatrzymać, już się znalazł z ludźmi osaczonym dokoła, wziętym niemal.

Stary, siwy, w pół zbroi człek wołał:

— Stój! Coś za jeden?

Jaksza myślał, co odpowiedzieć, a nie rychło przybywające na usta słowo budziło podejrzenie.

— Kto? skąd? — powtarzano dokoła.

— Od Plwacza musi być! z Uścia!

Jaszko milczał, do siwego się obrócił w ostatku:

— Z Krakowa jestem od pana Leszka posyłany byłem za dworską sprawą.

Wtem jeden z otaczających jął mu się przyglądać.

— Nieprawda! — zawołał. — Ja cię znam! tyś Jaksza! Jaszko Jaksza!

— Ani się zapieram tego, — odezwał się śmieiej Jaszko, — ale chyba tego nie wiecie, że znowu u pana w służbie jestem. Przecie wiadomo, kto ojciec mój.

Ten, co mu zadał, że Jakszą był, głową począł kręcić. Naradzano się cicho. Siwy człek, który miał zwierzchność w obozie, nie mówiąc, co myślał i zamierzał, rzekł sucho:

— Zsiądźcieno z konia. Przenocujecie w obozie, jutro księciu damy znać, bo go tu nie ma.

Od Uścia jedziecie, oczywiście albo po język, lub z językiem, a my na Uście jedziemy, aby lisa z jamy wykurzyć!

— Wziąć go, aby nie uszedł! — dodał ten, — co go poznał.

— Uchodźcie nie mam czego i nie myślę, — zawołał Jaksza. — I tak tu miałem nocować.

— Toś się dobrze wybrał! — rozśmiał się inny. — Straż będziesz miał bezpłatną i koni ci nie pokradną!

Rad nie rad Jaszko z konia złązić musiał, ludzie go otoczyli, drudzy czeladź milczącą badać zaczęli, czy nie z Uścia jechali;

ci słysząc i miarkując, o co szło, zapierali się, ale nie umieli powiedzieć, skąd na tę drogę się wybrali.

Wszystko to mnożyło podejrzenia. Patrzano na Jaszka z ukosa i nie dano mu się oddalić.

Nie chciał się im wypraszać, udając, że pewnym był siebie, rachował też na bliższe poznanie się i lepsze usposobienie po piwie, które z beczek na wozach właśnie toczono.

Omyliły wszystkie te rachuby, gdyż starszyzna, poszeptawszy z sobą, oddaliła się, a ciury, otrzymawszy rozkaz strzeżenia go do jutra, obsiadły dokoła i tyle tylko, że mu zostawili miejsce, aby się mógł na zdjętem z konia siedzeniu położyć.

Jaksza nakrył głowę i udawał sennego, ale sen go nie myślał brać. W obozie też gwar, rzenie koni, śpiewy, bójki całą noc prawie trwały. Chociaż się nie spodziewano od Plwacza napaści nocnej, miano się jednak na pieczy. Nocą jeszcze nowe oddziały przybywały.

Kilka razy Jaszko uchylił opony, patrząc, czy się straż nie pośpią i czy mu się wymknąć nie uda. Zawsze ktoś czuwał, chodził, patrzył, a od koni i ludzi oddalonym był, tak, że się do nich dobrać po ciemku nie było łatwo.

— Otóż tobie wielki gościniec! — mruknął Jaszko, w duszy przeklinając go, — trzeba rai było wygody zachcieć i za gospodą gonić!

W głowie próżno szukał, co miał przed Laskonogim powiedzieć, dokąd go niby posyłano.

Ze zgryzoty i umartwienia zasnął ledwie nad rankiem, gdy z ciężkiego snu zbudziło go uderzenie w bok i wołanie:

— Wstawaj!

XIV.

Dzień był biały. Tuż o kilka kroków na koniu czarnym z długą grzywą stał mąż dobrze

niemłody, mogący mieć lat pod sześćdziesiąt, rysów stężałych, żółty i wynędzniały, szczególnie długich i cienkich nóg, które w obcisłych spodniach niemieckich jeszcze dłuższe i cieńsze wyglądały,

niż były. Dodawały im niepotrzebny już wzrostu buty sznurowane u góry, obcisłe, zakończone nosami ogromnymi, zakrzywionymi, ubranymi w mosiężne błyszczące skóvky. Płaszcz ze szkarłatu ciemnego, bramowany i podszyty futrem, spływał mu z ramion, a pod nim widać było rodzaj koszuli pancernej, z żelaznych kółek misternie splecionej, z blachą na piersiach stalową, w kręgi pozłociste przyozdobioną. Wypukły guz świecący zajmował jej środek. Na pasie złożonym miał u boku miecz, a na haku u koszuli zawieszony mieczyk mały. Ręce ubrane były w rękawice, pokryte z wierzchu żelaznymi blachami. Koń, na którym siedział, miał też kapę naszywaną łuskami żelaznymi, ozdobną kutasami i wisiadły.

Twarz jego obojętna, blada, nic lub nie wiele mówiąca, jakby życiem znudzona, nie miała wyrazu, któryby z niej coś odgadnąć dawał. Patrzył dokoła oczyma bladymi, zmęczonymi, bez zajęcia, oglądał się i nie widział.

Siwy już mężczyzna z odkrytą głową, hełm lekki trzymając w ręku, stał przy nim i

opowiadał mu coś, wskazując na leżącego jeszcze na ziemi Jaszka. Nie wiele to obchodziło słuchającego, który tam i sam tymczasem patrzył.

Poza nim stojący na koniach i pieszo dwór rycerski, chorągiew na wysokim drągu niesiona z jeźdźcem w polu czerwonym mówiły, że to być musiał książę Władysław starszy, Laskonogim zwany.

Wprawdzie strój bogaty, dwór pański, dostojęstwa książęcego domyślać się kazały; ale

władza jego nie dawała się czuć w otoczeniu. Każdy tu sobie poczynał jak chciał, dokoła nawoływano się głośno, rozkazywano, sprzeciwiano się, kłócono, Książę, obojętny i zimny, wcale na to nie zważał.

W obozie ładu i zgody nie było, porządek mały, wrzawa okrutna; nikt o to nie dbał, jakby w obyczaj weszło życie w takim zamęcie.

Jaszko spostrzegł prędko, podnosząc się z ziemi i szykując do rozmowy, na którą go

wołano, że nawet ze stojących za księciem niektórzy, lekce go sobie waząc, pokazywali palcami i szydzili z cicha.

Najczynniej w tem otoczeniu Laskonogiego odzywali się i gospodarowali dwaj niemłodzi

rycerze, których nazwiska obili się Jaksie o uszy. Byli to znani nieprzyjaciele Odonicza, prześladowani przez niego: Borzywój ze Śremu i bogaty Sędziwój, oba ziemianie możni. Zdawna się na nich odgrażał Odonicz, że połapawszy jak zbójów, bez wykupu pościnać ich każe, bodaj nie czekając sądu.

Przebudzony Jaksza zwlekał stawienie się przed Laskonogim, choć go popychano, szarpano i gwałtem ciągniono. Poprawił odzież na sobie, w posłaniu czegoś szukał, tymczasem myślał, co mówić będzie.

Książę Władysław starszy, który się sam tak zwał, dla odróżnienia od młodszego

Władysław Odonicza, nie okazywał najmniejszej niecierpliwości, ani nawet zajęcia tym człkiem, którego mu, jako szpiega, stawić miano.

Spoglądał nań, poziewał, nie nagłąc, aby prowadzono.

Za to Borzywój brodaty i Sędziwój, który poważnie bardzo występował, lecz gwałtownym

był i rozkazującym, pierwsi się ku Jaksie rzucili, pytaniami go głuszając i chcąc wyciągnąć, skąd, po co i od kogo jechał, co tu robił i tym podobnie.

Borzywój targał go za ramiona, Sędziwój głos podnosił i brwi marszczył. Ci, co stali z boku, nim się Jaksą namyślił odpowiedzieć, poczęli wykrzykiwać, że był Jaksą z Krakowa. Drudzy poddawali, iż od Plwacza jechał pewnie. Skupiano się dokoła.

Laskonogi dawał im krzycheć i cisnąć się, cierpliwie stojąc na koniu nieruchomy i czekając końca, który mało go obchodził.

Borzywój widząc, że się Jaszko ociąga, wreszcie za ramię go silnie ująwszy, popchnął przed księcia, aby się tłumaczył przed nim. Widząc, że tu wielkiej karności nie było, a sam książę niezbyt się jego sprawą zajmował, Jaszko odzyskał odwagę.

— Miłościwy książę, — rzekł, przystępując do niego z pokłonem, — nie zapieram się, kto

jestem. Poznano mnie tu przecie, twarzy sobie nie umazałem. Jaszko, Marka wojewody syn — toć prawda. Posłano mnie od pana Leszka za pilną sprawą; powracam do Krakowa.

Popatrzwszy nań trochę, Laskonogi usta wydał i odparł flegmatycznie:

— Za jaką sprawą was posłano? Umilkli ci, co dokoła stali, a dotąd, nie zważając na przytomność księcia, dosyć głośno się spierali z sobą.

Jaksa ośmielał się coraz więcej.

— Miłościwy panie, — odezwał się, — nie mogę mojego pana spraw rozgłaszać, kiedy mi nakazano, bym język za zębami trzymał. Zdrajcą nie chcę być!

Borzywój i Sędziwój pilno nań patrzali, potrząsając głowami, książę z góry także poglądał, lecz nie poruszał się wcale. Odpowiedź zdawała mu się słuszną — spojrział na stronę. Wnet drudzy zakrzyczeli szydersko:

— Wykręty! Musisz ty gadać i tłumaczyć się, bo inaczej cię nie puścimy. Wojenne prawo takie... a ty wprost od nieprzyjaciela jedziesz!

— Albo to my nie słyszeli, — dodał inny, — co Jaszko zrobił z Odrowążami? Wszak ten

sam jesteś, co cię precz z kraju wygnali i do Czech musiałeś uciekać. Leszek cię na gardle chciał karać, a terazby cię posyłał za tajemną sprawą? Ale! ale!

Jaszkowi krew do głowy biegła, zasromał się, w gardle go dusiło.

— Kiedy wszystko wiecie, — zawołał, — to i o przebaczeniu powinniście wiedzieć. Ojcu i mnie pan łaskaw przebaczył, a my mu służym wiernie. Marek wojewodą jest, jak był.

— To prawda, — odezwał się Laskonogi.

— Miłościwy panie, — wtrącił Borzywój, — sprawa ojca a syna nierówne: Marek dawno powrócił do Dłubni, a synowi nie było wolno się pokazywać! Oni zemsty szukają... pewnie do Uścia jeździł, albo do Światopełka, bo to jedna krew.

— A i to prawda! — rzekł oziębłe Laskonogi.

— Więc go nie puszcząć, bo on naprowadzi odsiecz na nas, — wołał Borzywój, — to ptaszek!

Jaszko odwrócił się ku Laskonogiemu, wzywając jego opieki, ale ten oczyma badał swoją radę, niepewien i milczał.

Wszyscy niemal Borzywojowi wtórowali.

— Nie puszcząć!

— Niechaj się złoży, z czem jechał!

— Niech przysięże! — wołano.

— Mnie czekają w Krakowie i pilnie wracać kazano, — odezwał się do księcia Jaszko.

Rozśmiało się kilku.

— Pilno ci, pilno! A no, poczekaj!

Księżę nie wydawał sądu żadnego, żuł coś w ustach i czekał, chcąc, by go wyręczono.

Rzecz w jego przekonaniu nie musiała mieć wagi wielkiej, chociaż niektórzy do niej zbytnią przywiązywali.

— Pójdzie z językiem, policzywszy nas, — mówił Borzywój. — Jak weźmiemy Uście, to

go uwolnim!

Sprzeczkę i rozhowory poczęły się znowu głośne i swobodne, hałaśliwe, tak jakby o księciu zapomniano.

Jaksa, bywały człek, choć na niego następowano ostro, pomiarkował, że dlań najlepszym było zyskać na czasie, zwąchać się z ludźmi, a później znajdzie się sposób wymknięcia. Odezwał się więc, jakby lekcewał tę niewolę:

— Kaze Jego Miłość zostać w obozie, cóż mi tam! będę siedział! Spytają mnie potem, com robił — powiem. Tyle tego, wina nie będzie moja.

Obojętność, z jaką to rzekł, dobrze udana, zrobiła pewne wrażenie na księciu, który popatrzawszy nań, spytał:

— Dawnoś ty z Krakowa?

— Tygodni kilka, — odparł Jaks. Borzywój, który się lękał, aby księżę nie złagodniał, przystąpił do niego, rękę na koniu położył i cicho rzekł:

— Nie może to być, aby go wolno puszczać. Dowodu nie ma, że go posłano, a Jaksowie — ludzie niepewni. Jak Uście opanujemy, niech rusza oznajmić.

Księżę nie sprzeciwił się, ani potwierdził — słuchał. Napróżno zwracał ku niemu oczy

Jaszko, on ich unikał. Nie dawał żadnego znaku. Korzystał z tej chwiejności księcia siwy oboźny, co wczoraj pierwszy Jaszka ujął, odepchnął go na bok od księżęcego konia i rzekł rozkazująco:

— Zostaniesz w obozie! Spojrzał na swoich.

— Hej, Wojbór!

Na zawołanie to zbliżył się żołnierz w pancerzu łuskowym, z głową kudłatą, jasnymi włosami okrytą, uzbrojony dosyć lichy.

— Wojbór! Weźmiesz go z sobą i mieć będziesz na oku, aby nie uszedł!

Usłyszawszy to, młody żołnierz przystąpił do Jaszka i milcząc, wskazał mu drogę. Nie było się co opierać, Jaks rzucił jeszcze okiem na księcia roztargnionego i poszedł posłuszny.

Około Laskonogiego kupili się ludzie i trwała głośna narada. Słysząc było, jak jedni

nastawali, żeby, nie tracąc czasu, iść na Uście, drudzy chcieli, żeby się wprzód rozsluchać i rozpatrzyć. Powolniejsi radzili odpoczywać tu jeszcze przez dzień, gorętsi zaraz pospieszać chcieli przeciw Odoniczowi, nimby się na grodku umocnił. Skończyło się na tem, że opieszalsi, głośniej krzyżąc, przemogli. Niewielki oddział postanowiono wysłać na podjazd, a księżę u Postoju do jutra miał zostać i spoczywać.

Poprowadzono jak w tryumfie Laskonogiego ku szopie, którą miał zajmować. Poza nim jeszcze się dowódcy kłócili i ujadali.

Jaszka tymczasem Wojbór na stronę powiódł i pod drzewami u ogniska przy sobie posadził.

Pilno stróżowi swemu przypatrywał się Jaksza, miarkując, czy łatwo da mu radę. Prosty człek zdał się być, ziemianin ubogi, z dziecka po obozach służący, a na sprawę obojętny, byle miał kawałek chleba i nadzieję łupu. Z oczów mu wielka bystrość nie patrzała. Jaksza nabrał otuchy.

Usiedli pod pniami, nawiązując rozmowę poufałą, którą więzień usiłował uczynić przyjemną, bo mu. szło o pozyskanie stróża. Ten też głaskać się dawał, dobrodusznie słuchał i śmiał się.

Jaszko udawał wesołego i obojętnego; poczęto myśleć o jadle i napitku. Pierwszego nie było w obozie, tylko najprostsze: chleb czerstwy, mięso suszone, kasza, którą z worów dobywano do kociołków. Za napój była woda brudna i piwo kwaśne.

Woj borowi i tego było dosyć, popsutej gęby Jaszko krzywił się. Miał coś przy koniach zapasu z Uscia, zawołał swych ludzi, kazał im stać niedaleko i żywnością ze stróżem się podzielił.

W obozie gwar nie ustawał. Tu i owdzie pochwytny wyrazy na uboczu dawały się dorozumiewać Jaksie, że nie wszyscy tu z Laskonogim trzymali, chociaż z nim szli. Odzywano się różnie.

Podjadłszy, Wojbór obojętny, położył się na ziemi i mimo hałasu, usypiać począł. Jaszkiemu się spać nie chciało, bo mu niewola doskwierała; myślał, jak się z niej wyrwie.

Zdrzemnął się właśnie Wojbór i z otwartymi ustami leżąc, chrapać już począł, gdy dwóch ziemian zbliżyło się do ich ogniska. Uzbrojeni dobrze, wyglądali na starszyznę.

Oddawna już Jaszko widział ich zdala sobie przypatrujących się, dopiero gdy Wojbór usnął, przystąpili doń, kołując ostrożnie i oglądając się po za siebie.

— No cóż? odezwał się jeden półgłosem, — w drogęśmy wam wleźli na złą godzinę!

Jaksa ramionami ruszył.

— Co robić?!

— Nie bardzo to bierzcie do serca, — rzekł drugi. — Nocą lub nadedniem, gdy się popiją i posną, pojedziecie sobie.

Pierwszy dodał zcicha, patrząc na Wojbora:

— Wy taki z Uścia? he!

Jaksa chciał zaprzeczyć, gdy drugi wtrącił:

— Nie bój że się! Co ty myślisz, że my na Uście idziemy? I my i kupa tu dużo takich, co ciągniemy z Laskonogim dla tego, aby się łatwiej do Odonicza dostać.

Jaksa patrzył i mruczał z pewnem niedowierzaniem, gdy towarzysz mruknął:

— Władysław starszy młodszemu nie da rady; tamten chłop żwawy, ten swojego nie pewny.

To mu się chce, to mu się odechciewa.

Pochyliwszy się, szepnął drugi:

— Uście mocne? he? Mają oni tam ludzi? Światopełk mu pomoże?

Jaksa milczał jeszcze, gdy oba poczęli nagłaco:

— Nie zdragajcie się mówić, my swoi! Trzeba będzie — pomożemy do ucieczki.

Dopiero się Jaszko ocknął i dał znak ręką, że im za to dziękował. Posiadali przy nim na ziemi, starszy się do ucha Jaksie nachylił znowu.

— Grodzisko tam mocne? — zapytał.

— Nie dojdziecie do niego ani na strzał z kuszy, ani na strzał z łuku, bo błota i trzęsawiska dokoła, — począł Jaksa. — Jedna suchsza hać prowadzi do bramy, a i tę zawczasu przekopią, będą się trzymali, póki chleba stanie.

Przybyli pokiwali głowami i rozśmieli się wesoło.

— Ludzi pewnie dosyć ma, — rzekł jeden, — jakby mu zbrakło, to z naszych pójdzie dużo, bo się na to nagotowali.

— A Medan tam jest? — zapytał drugi. Jaszko głową potwierdził.

— Wam pewnie się stąd wyrwać pilno, — poczęli znowu po chwili, przekonawszy się, że

Wojbór chrapie, — nie śpijcie tylko w nocy, ludziom każcie, żeby konie mieli pod ręką. Mają oni tu dosyć bez tego do roboty i strzedz was bardzo nie będą. Ścisnęli się za ręce, poszeptali jeszcze między sobą i rozeszli się.

Jaszko nabrał serca, lecz pośród długiego dnia jeszcze się miało zmienić jego położenie, a przynajmniej na to się zanosilo, i nowy dowód go czekał, jak Laskonogi słabym był we własnym domu.

Z południa przyszedł komornik, który go po całym obozie szukał i hukał, aby zaprowadzić pod szopę do księcia. Laskonogi tu odpoczywał na sianie w pośród dworu swego. Zobaczywszy Jakcę, dał mu znak, by przystąpił.

— Prawda to, że cię Leszek posłał z Krakowa? — zapytał niedowierzająco a chłodno zarazem.

— Tak jest! Tak jest, miłościwy panie! — rzekł Jaksza. — Ojca mojego znasz, Miłość Wasza, on mnie z polecenia pana wysłał.

— Powinieneś mówić prawdę i duszy nie gubić, — dodał Laskonogi. — Ja wierzę, że tak jest, no i puścić cię gotowem kazać. Jedź z Bogiem wprost do Krakowa, dam ci jeszcze poselstwo.

Popatrzał mu w oczy, a Jaszko ani mrugnął.

— Powiedz bratu memu miłemu, Leszkowi, żem ja tu, pod Uściem. Będę je oblegał, wezmę. Odonicza ułapię i posadzę w bezpiecznym miejscu, aby się znowu nie wymknął. Niech Leszek mi pomoże. Rozumiesz to? Iwona biskupa Leszek niech uprosi, aby trzymał ze mną.

Chłodno, dziwnie rozśmiał się Laskonogi i ciągnął dalej:

— Moja sprawa, jego sprawa. Jeżeli Odonicz ze Światopełkiem mnie wypędzą, wygnają i jego. Musi mnie bronić, chce-li siedzieć na Krakowie. Odonicz chytry i niespokojny, żarłoczny. Światopełk zbój krnąbrny, a my z Leszkiem w zgodzie żyjemy.

— Będę ja wiedział, co i jak mówić, — odezwał się Jaksza, — gdy mnie Miłość Wasza uwolnić każe. Poselstwo sprawię wiernie.

Książę Władysław ruszył się i kazał komornikowi zawołać Borzywoja. Przyprawiono go z za szopy, za nim zaraz szli inni, choć nie wzywani.

— No co? — ozwał się Laskonogi, — puścićby tego Jakcę, niechaj sobie wraca do

Krakowa?

Stary ziemianin stał, ramionami potrząsając.

— To nie może być, — rzekł chłodno, — tego człeka znają, wiedzą... Szpieg jest jawny, nieprzyjaciół naprowadzi na nas.

Zdało się, jakoby Laskonogi chciał się opierać. Wtem na odgłos rozmowy z obozu

ściągający się ziemianie poczęli za Borzywojem mówić i przeciwzić się. Ze dworu kilku odezwało się za księciem, ale nieśmiało. Borzy wojowi głos podnosili coraz mocniej. Kołem stojąc przy łożu nad głową Władysława, ucierali się, on już milczał, słomę dobył z pod siebie i gryzł ją.

Stał Jaksza, czekając, jak się to rozwiąże. Wrzawie coraz rosnącej nie było końca. W końcu zwrócił się z zapytaniem do księcia, który popatrzywszy dokoła, nie odpowiedział nic. Sprzeczała się, a księżę Władysław, głowę opuściwszy, słuchał.

Borzywój, który z Sędziwojem i kilku swoimi najgłośniej dowodził, że pochwyconego trzeba było trzymać, popchnął Jakszę i kazał mu na swe miejsce powracać.

Odchodząc, słyszał jeszcze zdala, jak się ucierano i śmiał się już w duchu.

— E! no! — mówił sobie, — z takim ładem nie straszni oni Odoniczowi! Prędeż on ich, niż oni jego pobiją...

Legł znowu na ziemi przy Wojborze, rachując na ciemną noc, że ujdzie.

Ci, co mu dopomódz obiecywali, ciągle krążyli zdala i mieli nań oko. Straż około niego

bardzo sroga nie była. Odwołał ktoś Wojbora, który, gdy powrócił nierychło i jakby go spojono umyślnie, napiły był i kłodą na ziemię się obalił.

Na dworze robiło się ciemno, w obozie niedogasłe tylko świeciły ogniska, ale noc nie sprowadzała ciszy. Około beczek rozpoczęła się pijatyka, śpiewy, potem bójki i krzyki.

Wśród zajadłej kłótni, kilkunastu zbrojnych ziemian zerwało się, jawnie odgrażając, i natychmiast uszli bezkarnie drogą ku Uściu do Odonicza, a nocna pogoń ująć ich nie potrafiła.

Jaszkowi więc łatwo przyszło, gdy psykanie postyszał, porzuciwszy Wojbora śpiącego,

dostać się po cichu do swych ludzi, stojących na skraju, siąść na koń i do dnia ukryć się w gęstwinie.

Zdala dochodziły go i tu głosy z obozu Laskonogiego, ale przypatrzywszy mu się z bliska, nie lękał

się, by go ściągano. Starszyzna zbyt wiele miała do czynienia z ludźmi własnymi, ksiązę nie myślał go zatrzymać, czuł się więc bezpiecznym. Rano wszystka ta gawiedź miała wyruszyć pod

Uście.

Dalsza podróż Jaksy szczególnie mu się już wiodła, choć o chłodzie i głodzie, którym tak przymarł i znużył się, że zamiast wprost do Krakowa dążyć, postanowił do" Wrocławia zajechać i u Sulenty odpocząć. O Płocku już nie myślał.

Lice mu się rozjaśniło, gdy naostatek, bramę miejską pominąwszy, w miasteczku się znalazł.

Jechał zwolna, bo konie już nogami ledwie wlokły.

Do dworku Sulenty dobry kawał było drogi.

Tak aż do wrót dobiegł, któremi gościa niespodzianego puszczono do środka.

Wyszedł naprzeciw stary kupiec, a zobaczywszy Jakse, którego się z powrotem tak rychło nie spodziewał, odartego, z chudemi, poobszarpywanemi końmi, zdumiał się wielce.

Potrzebując jednak ojca, musiał się synowi wysługiwać i ugaszczać.

Zaledwie weszli do izby, gdy zwróciwszy się doń, Jaksa zapytał o nowości.

Sulenta ramionami poruszył znacząco.

— Brata biskupa Iwona, — rzekł, —. starego Mszczuja, schwycono pod miastem ze zbiegłą z zamku dziewczyną, że ludzi ksiązęcych potłukł i sądzić go mają.

— Chyba do Krakowa wieść o tem nie doszła i biskup nic nie wie, bo rodzzonego swojego by ratował! — zawołał Jaksa.

— A jakże go ma ratować, — rzekł Sulenta, — gdy na gorącym uczynku został schwycony?

Niemcy się naposiedli, by go rychło osądzić i godziny nie będą czekali potem, okupu nie wezmą a zetną.

Uśmieszek, pełen złości, wykrzywił Jaskowi usta.

— Godziłoby się i mnie, — mruknął, — na te gody poczekać, aby widzieć, jak się

Odrowążowska krew poleje! Mniej jeden będzie!

Sulenta zerknął i nie rzekł nic; bolało go, że Niemcy się mieli znęcać nad jednym z tych, których już dosyć wytępilli na Śląsku.

Jaszkowi teraz i spoczynek miły, do którego spieszył, zobojętniał; co prędzej chciał do Nikosza na zamek, żeby się dowiedzieć, jak sprawa stała. Mimo zapewnienia Sulenty, wierzyć mu się nie chciało, ażeby człek stary mógł popełnić taki gwałt.

Odziawszy się czyściej, pobiegł ku zamkowi. Tu ludzi chodziło dosyć, a wszyscy jacyś zajęci, spieszący się, że na pytania nawet odpowiadać nie chcieli. Z trudnością mógł się o przyjaciela dowiedzieć, a trudniej jeszcze wywołać go było.

Czekał nań u wrót do uprzykrzenia, gdy wreszcie przytoczył się zasapany Nikosz.

— Wy tu znowu? — zawołał, — w samą porę! Wiecie, co się u nas stało?

— Ludzie mi prawią, ale wierzyć się nie chce! — rzekł Jaszko.

— Jam prawie na to patrzył, — odparł Nikosz, — a nie wiem jeszcze, czy to prawda czy kłam. Człek taki poważny i stateczny, dziewczeczka do klasztoru przeznaczona!

Podniósł ręce do góry.

— Szatańskie to sprawy! — dodał z westchnieniem.

— Jakże to było? — spytał Jakska.

— Naprzód stary od rozbójników ją ratował, — począł Nikosz, — potem w drodze widać mniszkę namówił sobie. Na zamku, gdy ona wrzekomo chorowała, a księżę na łowach był, podkradał się do niej. No — i zmówili się! Wieczorem jej nie stało, a on wyciągnął z miasta.

Puściła się pogoń, wzięli ją u niego na koniu, a broniąc jej, stary dwóch naszych najlepszych w miejscu ubił kilku ręce pogruchotał. Ledwie go zmogli

— Cóż? sądzić mają?

— Jutro lub pojutrze! — odparł Nikosz, — i z więzienia prosto na pieniek. Kat już miecz szlifuje.

— Odrowąż! — z mściwym wyrazem zawołał Jakska, — to mi zapłaci za wszystkie nędze tej włóczęgi, z której powracam. Juściż, gdy go ścinać będą, wpuściecie mnie w podwórze, abym i ja popatrzył.

Nikosz ze wstrętem jakimś spojrział nań i nie odpowiedział nic.

— A w Krakowie o tem wiedzą? — spytał Jaksza.

— Nie słyhać! — rzekł lakonicznie Nikosz.

Niespokojny, dłużej się nie puszczając w rozmowę, Nikosz wymknął się nazad do zamku.

XV.

W jednej z izb zamku wrocławskiego za ogromnym stołem tegoż wieczora siedziało trzech

ludzi, zajętych tajemniczą, urywaną rozmową. Na stole, suknem okrytym, para ksiąg, w drzewo i skórę świnią oprawnych, była rozłożona, lecz mrok już nie dozwalał się ich radzić.

Znający obyczaje z tych czasów domyśliłby się z dwóch wielkich, białych, z kory oczyszczonych kijów, lasek sędziowskich, godło urzędu oznaczających, że zebrani w izbie pełnili obowiązki te przy dworze.

Wszyscy rozmawiali po cichu, twarze mieli roznamiętnione, posępne, czoła namarszczone, postawy, jak na sędziów przystało, sztywne i twarde.

W końcu stołu, na osobnem siedzeniu, sparty na poręczy, odpoczywał człek siwych włosów, z wygoloną twarzą, jak przystało, nadymający się wielce. Inni patrzali nań z poszanowaniem i pewną obawą. Ile razy odezwał się, potakiwano. Twarz, o ile ją resztką światła dziennego, z boku oblewając, widzieć dozwalała, zdała się z wosku lepioną, tak była żółta i trupia. Nawykły do surowości i powagi, jako sprawca sprawiedliwości i wyrocznia prawa, człek ten nie miał śladu uśmiechu i uspokojenia w obliczu, które sztucznie sobie stworzyć musiał. Nie można było zgadnąć, czy pod tą maską kryła się dusza łagodna, czy temperament namiętny. Był to sędzia, który i śpiąc nawet, nim być nie przestawał. Ten sędzia, którego mistrzem Adalbertem zwano, rodem był z Niemiec, uczniem Włoch, a sługą księcia Henryka. Znał on wszystkie prawa, nawet zwyczajowe, krajowe, wedle których sądzić był obowiązany, lecz ilekroć znalazł obce, surowsze, zawsze je przekładał nad miejscowe, które, jako nie spisane, żadnej dlań powagi nie miało. Uczonym był i przebiegłym, tak, że w wielu razach duchowni go na poradę do swoich trybunałów wzywali, bo i w kościelnych ustawach był biegły.

Drugim obok niego na ławie był młodszy podsędzia dworu, wyręczający go czasem, lat

młodzieńczych, zaledwie z dojrzałości wyszły, jasnej twarzy, rozumnych oczów, wysokiego czoła, jasnego wejrzenia. I ten rodził się w Saksonii, uczył po świecie, a przybył praktyczne studia kończyć przy słynnym Adalbercie, którego naukę cenił wysoko. Przy braku środków, rękopisów i wykładów, których we Włoszech i Paryżu szukać było potrzeba, nauczyciel był skarbem, miejsce przy nim łaską — i podsędzia Gerwart szczęśliwym się zwał, iż go tu do pomocy przyjęto. Chciwy nauki Gerwart dla niej szczególnie trzymał się Wrocławia i mistrza.

Trzecim pomiędzy nimi był prokurator czyli instygator, którego różnie zwano po urzędzie, Niemiec Herman, niegdyś pono urzędnik miejski w Magdeburgu, człek żołnierskiej postawy, a twarzy małej,

okrągłej i brzydkiej, na której nos, oczy i usta, jak drobne plamy w niedokończonym rysunku, ledwie były widoczne. Na okrągłej jak twarz głowie, jeżył mu się włos twardy, jak szczecina, niepomiernie odrastający i nieposłuszny. Wielkiej siły, stworzonym był raczej na oprawcę, niż na inne narzędzie sprawiedliwości. Znano go z okrucieństwa. Miał też straż zwierzchnią nad więźniami i biegłym był we wszystkich praktykach sądów Bożych (*Ordalia*), których warunki umiał określić, czy szło o rycerską bitwę w szrankach, czy o walkę na kije, o próbę przez ogień, czy przez wodę. Znał się też na wymierzaniu kar, gdy szło u ucinanie rąk, nóg i inne cielesne wymiary sprawiedliwości. A że najmniejszej nigdy nie okazał słabości, nikomu folgi nie czynił i surowo trzymał podwładnych, bez niego się obejść nie było można. W ulicach uciekano, zobaczywszy tego straszego Hermana, który wszelkie przekroczenie dojrzał, o wszystkim wiedział, a jeżeli osoba poszlakowana nie należała do jurysdykcji książęcej, po przyjacielsku władzom innym ją wskazywał. Dla niego dom żaden nie był tak szczelnie zamknięty, żeby doń oko jego się nie wcisnęło, nie było cichej rozmowy, którejby on cudem jakimś nie podsłuchał. Drżeli przed nim własni jego domownicy i rodzina, bo każdego czasu gotów był ich oddać w ręce

sprawiedliwości. Pełnił tak gorliwie swe obowiązki i uczynił z nich taki nałóg, że gdy zaskarżyć nie miał kogo, życie mu się przykrzyło. To szukanie występku czyniło go w poszlakowaniu winnych tak straszliwie biegłym, że często w ulicy łapał ludzi, których z wejrzenia poznawał jako złoczyńców, choć o ich przestępstwie nie wiedział.

Herman należał do wielkich czcicieli mistrza Adalberta, był jego dostarczycielem

namiętym i z długoletniego doświadczenia zawsze prawie mógł wyprorokować karę, jaka wymierzona przezeń być miała.

Ludzie ci, zebrani w izbie, naradzali się nad sprawą wielkiej wagi; widać to było po ich sfałdowanych czołach i zadumanych obliczach.

Jeden, zwany ówczesnym językiem prolocutor, instygujący Herman, miał oblicze spokojne i zdziwione niemal tem, iż sędzia i podsędek tak ważyli, co jemu wprost słowem jednym zdawało się bardzo do rozwiązania łatwem.

— Świadectwo niewiasty, — mówił powoli, każdy wyraz wymawiając z przyciskiem

Adalbert, — świadectwo niewiasty przed sądem nic nie znaczy. Ułomna istota porusza się pod władzą chwilowego uczucia namiętności, nie waży w sobie nic, idzie za popędem; więc, chociażby poprzysięgła, iż

Odroważ ów nie winien jest, my na to zważać nie możemy.

— Na cóż tu świadectwa, przysięgi i dowody? — przerwał Herman. — Schwytany na

uczynku! Chociażby, jak przynależy, stawiał świadków dziewięciu dla oczyszczenia się co

świadkowie przeciw oczywistości? Stary zaś widać tak jest przekonany, iż na swą obronę nic powiedzieć nie potrafi, że nawet ust nie otwiera, jakby oniemiał.

Sędzia i podsędzia patrzyli na mówiącego Hermana prolokutora z ciekawością wyęzowaną.

— Siostra Anna, osoba poważna, — dodał, — powiada, że w podróży po owem przybyciu na ratunek od łotrzyków, stary ciągle z jej towarzyszką był w rozmowie, często pół cichej. Zastała ich, wracając z kościółka. Dziewica Bianca ciągle ku niemu zwracała głowę, dając znaki porozumienia.

— Lecz, czcigodny prolokutorze, — przerwał żwawo Gerwart podsędzia, — jeżeli świadectwo niewiasty nic nie waży, toć i słowa siostry Anny w rachunek wchodzić nie mogą.

Uśmiechnął się złośliwie nieco mistrz Adalbert i podniósł rękę do góry.

— Rozróżniać potrzeba, — rzekł, — świadectwo osoby, która przez śluby, Bogu złożone, nabiera charakteru poważniejszego od dziewicy, którą za współwinną uważać trzeba.

— Zatem, — odezwał się Gerwart, obracając się z pytaniem do sędziego, — onaby też musiała być ukaraną?

Sędzia znowu musiał uśmiechnąć się z tej logiki trochę za żywej.

— Nie mamy prawa karania osób, już poniekąd do jurysdykcji duchownej należących, — rzekł. — Wprawdzie owa Bianca nie jest jeszcze zakonnica, lecz gdy księżna nasza do tego stanu ją przeznaczyła, zatem wychodzi z pod władzy naszej.

Chwila milczenia przerwała naradę, z którą się nie zdawano spieszyć.

— Wyznaję w pokorze ducha, — odezwał się podsędzia, patrząc na swego nauczyciela, — że sprawa ta cała ciemną jest dla mnie. Człowiek podżyły, prawie stary, o którym powszechnie mniemanie jest, iż nigdy namiętnościom się nie dał powodować i od owdowienia żony nawet nie pojął, nagle dający się takiej poządliwości owładnąć, bez względu na osobę, czas, miejsce...

— Cóż tu niepojętego? — zawołał, poruszając się Adalbert. — Tysiące mamy przykładów, iż starcy w namiętnościach swych najsprośniejsi są Przypomnij sobie historię niewinnej Zuzanny...

Wszystko te jasne, oczywiste i dowodów niepotrzebujące, — zawołał, głos podnosząc

Herman prolokutor. — W drodze już zawiązuje się stosunek występny, następuje pewnie zмова.

Płocha niewiasta dostatkami i nadzieją swobody uwieść się daje. Mszczuj przedłuża pobyt swój na

dworze, wybiera chwilę, gdy księcia nie ma i na zamek się wkrada, wślizga aż do komnat niewieścich, wyjeżdża w nocy pospiesznie, ucieka... Uwiedzenie jest i gwałt oczywisty...

— Jeżeli za zgodą owej niewiasty, — przerwał Gerwart, — więc gdzież gwałt?

Sędzia powstał groźno...

— Gwałt, — zawołał, — zachodzi zawsze, choćby na umyśle słabej istocie był zadany.

Gwałtem są obietnice, ofiary, słowa namowy... Niewiasta się daje porwać, otumanić, usidlić... Jako wąż oczyma, ofiarę swą ten człowiek znękał i przymusił do posłuszeństwa.

Podsędzia umilkł.

W izbie panowało milczenie. Herman wyszedł, aby kazać rozniecić światło. Sędzia i podsędzia siedzieli w zamyśleniu. Drzwi się otwały i wiodąc za rękę Biankę, weszła siostra Anna.

W twarzy sieroty, na której widoczne były ślady łez palących, malowało się rozdrażnienie, do rozpaczony prawie dochodzące. Szła, krzyżyk trzymając w rękę, oczy to nań spuszczając, to podnosząc rozognione na sędziów.

Herman stanął z boku.

Szła aż do stołu i tu zatrzymawszy się nagle, podniosła w białych rękach krucyfiks do góry.

— Mów, — odezwał się Adalbert nakazująco, — mów a pomnij, że masz przed sobą nie tylko sędziów ziemskich, ale i wiekuistego sędziego, który nas słucha.

Chwilę trwało milczenie, Bianka patrzyła na krzyż ciągle.

— Na tego Chrystusa ukrzyżowanego, którego wizerunek trzymam w grzesznych rękach moich, — odezwała się głosem, w którym słyhać było łkanie stłumione, — przysięgam wam, ten człowiek jest niewinny! Jam winna!...

Głosu jej zabrakło. Siostra Anna wzdrygnęła się; Herman, stojący w kącie, rzucił się tak, że go słyhać było nogami bijącego o podłogę, Adalbert zzymnął się, jednemu Gerwartowi oczy zabłyśły jakby radością.

— Jam winna! — mówiła dalej, na siłę się zmagając — jam winna! Lękałam się klasztoru,

nieczując się godną służyć Bogu. Wychowana byłam na światowym dworze, dusza moja trwożyła się. Jam pierwsza niewinnego starca o ratunek błagała, on mnie do cierpliwości nakłaniał. Nie wiem gama, co się ze mną stało, gdy pobożna księżna przybyła, przemówiła, pobłogosławiła mnie.

Uspokoił się duch mój, trwoga przeszła. Zachorowałam potem, a gdy odjechała księżna, która miała władzę nademną, wróciła trwoga... wróciła rozpacz. Napadłam, błagając starca o ratunek; gdy przypadkiem oknem zobaczyłam go wchodzącego do zamku, sama po niego posłałam sługę. Uciekł strwożony... a moja trwoga i rozpacz tak rosły, że, wiedząc o odjeździe jego, z zamku uciekła, na drodze padłam przed nim, domagając się, aby mnie wziął z sobą... Nie porwał on mnie, jam mu się sama narzuciła! Tak mi, Boże, przebac i pomóż (podnosząc krzyż, powtórzyła) prawdę mówię!

Płacz przerwał jej mowę gorączkową.

— Dziś, — dodała, — miłosierna księżna rozpedziła strach mój, odmienioną jestem,

spokoju pragnę i spoczynku, chcę pokutować, lecz błagam was, niech krew niewinna nie spada na mnie!

Mistrz Adalbert uśmiechnął się, głową potrząsając. Gerwart patrzył nań, chcąc odgadnąć, jakie ta mowa czyniła wrażenie. Herman, oburzony, w ciemnym kącie niecierpliwymi krokami przechadzał.

Bianka z wolna pokłękła, krzyż podnosząc do góry.

— Przysięgam! — powtórzyła.

Głos jej słabnął, chyliła się w tył, gdy siostra Anna pospieszyła chwycić ją na rękę omdlałą.

Gerwart ruszył się był, jakby go litość zdjęła, lecz surowy wzrok Adalberta na miejscu go zatrzymał.

Potrzeba było wynieść omdlałą. Silna dziwnie mimo wychudzenia siostra Anna ujęła ją

wpół i dźwignęła, głowie dając na ramieniu swem spoczywać; Herman otworzył drzwi i widok trupio bladej sieroty znikł im z oczów.

Milczenie panowało dość długo. Adalbert przesunął księgi, machinalnie zabawiając się

niemi. Gerwart patrzył nań, czekając i nie śmiejąc się odezwać. Herman, od drzwi powróciwszy, stanął w drugim końcu stołu, twarz mu wykrzywiało wzburzenie, jakiego doznał.

— Niewiasta niespełna rozumu, — zawyrokował sędzia, — pamięci nie ma i tworzy sobie

baśń ze strachu krwi, której każda niewiasta się lęka więcej bodaj, niż grzechu.

— Lecz przysięga! — odrzekł młodszy, — ważyłaby się na krzywoprzysięstwo?

— Sama nie wiedząc o niem, bo widocznie pamięć ją odbiegła, — odparł sędzia. —

Opowiadanie jej nie zgadza się z wypróbowanymi i dowiedzionymi wypadkami.

Podsędzia przeczyć się nie ośmielił.

Posiedzenie zdawało się skończone, a było tylko przygotowaniem do uroczystego sądu, który się miał odbyć nazajutrz. Adalbert nakrył głowę i wstał, ruszył się Herman, Gerwart się wahał i zdawał czegoś jeszcze pragnąć.

— Ja w tej sprawie, — odezwał się do nauczyciela, — jestem tylko ciekawym uczniem twej mądrości, mistrzu; pozwólcie mi się oświecać i uczyć. Nie zabronicie mi, abym w więzieniu obwinionego widział dziś, nim na sąd stanie?

Adalbert trochę pochlebstwem ujęty, stanął namarszczony i zamyślony. Herman widoczne okazał nieukontentowanie.

— Uczyć się rzecz chwalebna, — rzekł zapytany, — badać obwinionych nie zdrożna.

Możecie pójść, lecz spożytkujcież bytność waszą dwoiście, a skłońcie występnego do skruchy.

Niech zezna co uczynił, niech nie zapiera się czarów i napojów, jakich użył, niech oplakuje i spowiada się.

Nisko pokłonił się, dziękując, Gerwart i ruszył, nie oglądając się na Hermana, który w izbie pozostał.

Po wyjściu jego Adalbertus, na drzwi wskazując, szepnął do prolokutora:

— Nadziei wielkich młodzian, ale dojrzałości potrzebuje i hartu!

— Miękki jest, — mruknął Herman, — a kto nożem być musi, ten ostrym i rzeżącym być powinien.

Szybkim krokiem, korzystając z pozwolenia, Gerwart spuścił się z wąskich schodków ku na pół pod ziemią znajdującemu się więzieniu. U drzwi jego dębowych drzemał klucznik, stary człek grubych rąk i nóg, ponurej twarzy, której skórę wiek pogarbił i stwardnił. Znał on swą

zwierzchność i na widok podsędziego podjął się z wolna z pieńka, na którym siedział. Gerwart na drzwi mu ukazał. Ujął natychmiast drąg, którego koniec w mur był wpuszczony, i odpierać go zaczął. Ciężkie drzwi skrzypnęły na zawiasach, podsędzia wszedł.

W sklepionej niskiej izbie było ciemno... musiał się u progu wstrzymać, lękając w ciemności na więźnia natracić.

Stróż tymczasem do bocznej izby, w której inni pachołkowie siedzieli, poszedł po drzazgę i zapaloną przyniószony, w szczelinę na nią przeznaczoną w mur zatknął. Wyszedł.

Na posłaniu słomianem postrzegł Gerwart starca skrępowanego, z rękami w tył związanymi, który

gwałtownie się rzucić chciał, aby uniknąć jego wzroku, lecz nogi i ręce zdrętwiały od powrozów, siłę mu odjęły.

Gerwart stanął nad nim w pewnym oddaleniu i pozdrowił go swym językiem. Oczy

Mszczuja zabłysły, nie odpowiedział nic.

Głosowi swemu podsędzia starał się nadać wyraz łagodny, zagadał raz i drugi, lecz stary milczał uparcie. Domyślając się, że przyczyną milczenia mógł być język, Gerwart, który pilno się uczył mowy miejscowej, przemówił doń po polsku.

— Przychodzę do was nie ze złą wolą, — rzekł, — ani bym was dręczył i pastwił się;

prowadzi mnie miłosierdzie. Małym człekiem jestem, podsędzia, ale i ja mógłbym coś uczynić, gdybym wiedział, co jest do czynienia.

Mszczuj słuchał uważnie, zlekka westchnął, nie mówił nic.

— Macie-li co na obronę, — mówcie mi! Niewiasta, która była przyczyną nieszczęścia tego, zeznała przed nami i poprzysięgła, że sama winną była, lecz jej świadectwo wagi nie ma.

Słyszając te słowa, Mszczuj się poruszył nieco.

— Tyś Niemiec? — mruknął.

— Człowiek jestem, — odparł Gerwart.

— Człowiek? — szydersko zapytał stary i zamilkł.

Ratujcież się, jeśli można, — dodał podsędzia.

Czekał na odpowiedź.

— Nie można! nie można! — wyrwało się Mszczujowi, jakby mimo jego woli. — Niemcy

jesteście wszyscy, sprzysięgli na nas bijcież i zabijajcie, gdyśmy w mocy waszej, abyście prędzej kraj posiadli. Słowem się nie obronić od was, a ręceście mi związali.

— Po co sąd? — ciągnął dalej z goryczą — na co tu sędziowie? Zawołajcie oprawcę i

każcie zdjąć głowę z karku. Napijcie się krwi naszej, odejdzie wam na czas jej pragnienie.

Słowy temi nie zrażając się, młody podsędzia nie poruszył się z miejsca, czekał, aby stary ochłonął.

— Nie obwiniajcie nas, ale los wasz a zrządzenie Boże osobliwe, którego ciosy niezbadane są — rzekł zwolna. — Sami przyznać musicie, iż przeciwko wam mówi wszystko, a za warni jedna ta niewiasta, której słabemu umysłowi wiara daną być nie może.

Mszczuj rozśmiał się.

— Zetnijcie mi łeb, — odezwał się porywczco. — O jedno proszę: przyślicie mi przed

śmiercią kapłana naszego, boć ich tu jeszcze znajdzie się kilku. Duszy mej gubić prawa nie macie, pójdzie ona świadczyć o sprawiedliwości waszej i wołać o pomstę. Krwią moją Bóg się może poruszy!

— Lecz czemuż bronić się nie chcesz? — zawołał Gerwart.

— Bo obrona na nic, — zawołał Mszczuj.

— Czują Niemcy, żem ich wróg, muszą mi życie odjąć.

Zamilkł nagle.

— Mnie nie oskarżajcie, — począł podsędzia łagodnie, — Bóg mi świadkiem, żem tu przyszedł, w myśli ratunek mając.

Uderzył się w piersi.

— Inna chyba w tobie krew płynie, — odezwał się Mszczuj, — choć was Niemcy za swego

ochrzcili; ja nie wierzę, aby który z was miał dla obcego serce. Macie je pewnie dla swoich, z nami wojna wieczna, bo nam ziemia dwojgu za ciasna. Nic nie rzekę, — zamruczał uparty stary. —

Chcecie więc, abym niewiastę słabą obwinał, którą strach uczynił na pół szaloną? Cóż z tego, że mi ona sama zaszła drogę za bramą miasta? — ludzie to moi widzieli, alem winien, żem na koń ją wsadzić kazał.

Mszczuj przerwał nagle.

— Księdza mi przyślijcie, — więcej nie chcę nic!

Wtem coś mu na myśl przyszło, pewnie te dwie istoty niewinne, które w domu zostawił, i oczy mu się zwilżyły, blask łuczywa zaświecił we łzach.

Gerwart stał pogrążony w zadumie, gdy się dał słyszeć szelest jakby spadającego czegoś na ziemię.

— Bóg wielki! — westchnął podsędzia pochylił głowę i powoli, patrząc na podłogę w jedno miejsce, wyszedł za drzwi, które się natychmiast za nim zamknęły.

Przy świetle dopalającej się wewnątrz drzazgi smolnej Mszczuj dostrzegł w tem miejscu,

kędy stał Gerwart, upuszczony na ziemię nóż. Chciwie wlepił weń oczy.

Waligóra miał siłę olbrzymią. Jakaś nadzieja nieokreślona, dziwna wstrząsała nim całym. Z wysiłkiem niezmiernym począł się posuwać na barłogu, usiłując dosięgnąć tego błyszczącego narzędzia. Na czoło pot mu wystąpił kroplisty.

Łuczywo zgasło, kilka jego węgli czerwieniało na podłodze. Twarzą ległszy na ziemi, czołgał się starzec, aż pochwycił w zęby żelazo.

Zsunął je potem za siebie, na plecy i pełznąć znowu, usiłował dosięgnąć rękami.

Skrępowany zaledwie dłonie miał wolne.

Na ostatek poczuł chłodne dotknięcie żelaza w palcach i ujął je. Zdrętwiałe dłonie z trudnością się poruszały... lecz wola, spotęgowana do czynienia cudów, wróciła im siłę... Najbliższy z powrozów Mszczuj powoli rzezać począł.

Po długiej pracy powolnej sznur pękł i część więzów cisnąć przestała, ręce uczuły się wolniejsze.

Waligóra podniósł się, szarpnął postronki i potargał je w kawałki. Chwila jeszcze, a nóż przecinał sznury na nogach. Chcąc się podnieść całkiem, uczył dopiero, że długie skrępowanie obezwładniło go. Potrzebował wyciągnąć stawy, rozgiąć kości, w których czuł ból niezmierny.

Lecz cóż znaczy ból, gdy świta nadzieja swobody?...

Waligóra dźwignął się, otrząsł jak niedźwiedź, czuł, że odzyskiwał dawną siłę.

Była noc, mógł być wolnym. Zdało mu się, że już nim jest. Ostrożnie powlókł się ku oknu, wysoko w ścianie pomieszczonem. Teraz dlań nie było niepodobieństwa, wszystko się zdawało możliwem. Dosięgnięcie okna było fraszką, pochwycił kamienie, opasujące ja i podniósł się ku niemu. Żelazna krata tkwiła głęboko w mur wpuszczona.

Jedną ręką trzymając się, drugą Waligóra chwycił w pośrodku kratę, mocować zaczął i uczył, że się poruszała. Kamień jeden spadł mu na pierś i potoczył się na ziemię. Raz i drugi Mszczuj wstrząsnął pręty żelaznemi, które się pogięły, i część wydobył z muru. Chwyciwszy, jak ząb ze szczęki, dobył kratę. Okno stało powyszczerbiane...

otwarte. Było dosyć obszerne, aby się niem wydobyć można.

Wśród tak nadludzkich wysiłków, Mszczuj zamiast się czuć osłabłym, nabierał siły tej olbrzymiej, jaką miał niegdyś. Wracała mu z nadzieją.

Nie rzucając z ręki żelaznej kraty, która mogła służyć jako oręż do obrony, Waligóra wsunął się w okno, przewalił na nie i chwytając muru, którego kamienie pod jego palcami się poruszały, wydobył się z więzienia cały.

Okno było nad samą ziemią umieszczone... dotknął jej nogami, tchnął całą pierśią. Obejrzał się dokoła. Na tle ciemnej nocy mury ciemniejsze jeszcze sterczały zewsząd... lecz ludzi i straży nie było. Podwórze, w którym się znalazł, zamknięte, puste, zavalone gruzem i śmieciem, nie miało wyjścia, lubo noc go dostrzedz nie dozwalała. Poszedł więc, rękami macając mury, szukać furty.

Mur z polnego kamienia wznosił się wysoko, mógł tylko zmuszony drapać się do wierzchołka. Wrota żadne dlań nie były straszne, był pewien, że je teraz strzaska i wyłamie.

Od pierwszej połaci muru począwszy, włókł się dysząc, a rękami okrwawionymi mury badając. Omal krzyk nie wyrwał mu się z piersi, gdy uczył drzwi pod palcami. Nie potrzebowały one wysiłku i łamania, bo drąg je zamykał ze środka. Podnieść go musiał i odrzucić, aby się znaleźć za murami... może już na swobodzie!

Z pośpiechem obalił tę ostatnią przeszkodę. Za wrotkami wał spadał stromo w głęboki przekop zamkowy, w który Waligóra się spuścił. Stała w nim zgniła woda po kolana... dalej już ciągnęło się błoto, łąka...

Noc nie dozwalała widzieć nic, oprócz tego, co pod stopami. Wśród ciszy wielkiej, przerywanej w dali wołaniem stróży miejskich, pilne ucho Waligóry pochwyciło odległe rzenie koni. Nie mogły się one paść na wyschłej już i beztrawnej łące... lecz obozował ktoś może pod murami, przybywszy po bram zamknięciu.

Waligóra począł iść, nasłuchując i rozpatrując się. Oczy jego oswajały się z ciemnością, instynkt stary człowieka, co w polach i lasach spędził pół wieku, powracał spotęgowany jasnowidzeniem. W dali już czerniała mu kupka koni, do wozów poprzywiązywana. Ludzie w nich spali.

Zbliżając się, Mszczuj nie spieszył z porwaniem tej łatwej zdobyczy, starał się rozeznaczyć, który z tych koni poniesie go najdzielniej i nie da się drugim wyścignąć.

Lecz w wyborze nocnym los i szczęście stanowić musiały.

W chwili, gdy podchodził już do wozów doszła go wrzawa na grodzie. Ludzie około murów biegali i krzyczeli. Odkryto jego ucieczkę.

Za grzywę porwawszy pierwszego z brzegu, Mszczuj skoczył mu na grzbiet i powróż, którym koń był przywiązany, zerwał jak nitkę. Nie potrzebował uzdy ani wodzów; nawykł był dawniej dzikie konie, nogami ścisnąwszy, pięścią kierować.

Budzili się ludzie na wozach, gdy Mszczuj już pędził czwałem, sam nie wiedząc, dokąd, byle precz, precz, jak najdalej od tego miasta. Dobiedz do lasu było ocaleniem.

Zdała błyskały już światła u murów i otwartej furty, odzywały się rogi, słychać było tętent.

Mszczuj gnał zdyszanego konia na lasy!

XVI.

Halki zanuciły po swojemu piosnkę... ale im nie brzmiała tak, jak gdy podobną śpiewał

Gero, a Hans mu cicho wtórował.

Pływały wieczory długie, jesienne na Białej Górze, a ksiądz Żegota widząc, że Hans się już poruszać może, przypominał, iż czasby od srogiej uwolnić go trwogi. Obu im i chciało się w świat, i żal było te śliczne dziewczęta porzucać.

Gero nawet ważył się na myśl zuchwałą, aby Halki uwieźć z sobą. Lecz jakże z niemi przebyć niepostrzeżonym kraj obcy i uniknąć pogoni?

Hans miał myśl inną: chciał powracać do domu, zebrać oddział rycerzy i knechtów, napaść na Białą Górę i pochwycić dziewczęta, potem lotem błyskawicy dobieć się do saskich granic. W

młodych głowach roiły się sny niedorzeczne, w których dalej widać nie było nad to jedno, by dziewczęta mieli w swej mocy. Hans zaprzysiągł, że kochająca go matka pozwoliła mu za żonę wziąć choćby obcą, byle on ją umiłował. Gero nie myślał nawet o małżeństwie.

Rozmarzali się i upajali każdego wieczora więcej, a Dzierla, patrząc na to, rozgrzewała się i radowała, jak zziębły podróżny, gdy sobie dobrego ognia napali. I ona nie patrzyła daleko, dość było jej na tem, że się to kochało.

Nasłuchawszy się szwargotu chłopców, który nie zupełnie rozumiała, biegła patrzeć na dziewczęta, jak się one ciekawiły, dopytywały, jak tęskniły za chłopcami.

O starym Mszczuju nikt tu nie myślał, oprócz podżupana, który Boga prosił, aby nie

powrócił rychlej, aż Niemców się pozbę- dzie z zamku i wykurzy te miejsca, w których po nich mogło coś pozostać, bo był pewien, że Waligóra uczułyby w powietrzu którym oddychali,

przytomność Niemców.

Jesień była już późna, gdy jednego wieczora Dzierła wprowadziła znów Gerona i Hansa do

izby, na sen dawszy starej prządce. Każdego dnia bliżej siadając na ławie przy dziewczętach, Gero i Hans skończyli na tem, że tuż się przy nich mieścili po stronach obu i chwytali je za tych rączek dwoje, które były wolne; wrywały się im, drżały, a czasem kruciuchno dawały przytrzymać.

Dzierła stała bliska, służąc za tłumacza niepocziwego, bo im mówiła, co chciała, aby miłość dziecięcą rozżarzyć.

Gero powtarzał piosnkę swoją: "Tyś jest moja, jam jest twój", gdy wśród ciszy wielkiej, ciszy nocnej coś jak wicher zaszumiało na zamku.

Stało się coś strasznego, niepojętego, od czego zadrgał cały gród. Psy zerwały się, wyjąc, konie zadrżały w stajniach, ptacy na berłach rzucali skrzydłami niespokojnie... ludzkie głosy płaczliwe, zdziwione, przerażone słyhać było od wrót. Czeladź powybiegała z komór, izb, szop i rzucanie drzwiami rozległo się po grodzie.

Dziewczęta ze strachem niezmiernym, krzykiem skoczyły, szukając schronienia, obudziła

się prządka z szalonym jękiem. Dzierła ledwie miała czas Gerona i Hansa wyrzucić za drzwi, a sama padła na progu.

Krzyki od bramy zbliżały się i słyhać było tętent konia, który biegł aż do drzwi dworu: tu nagle wstrzymany, na cztery nogi runął i obalił się.

Nad nim stał Waligóra.

Lecz on to li był, czy duch jego, widmo z drugiego świata?

Ludzie oczom nie wierzyli. Stał w podartej odzieży, z rozczochranym włosiem, z

okrwawioną pierśią, z poranionemi nogami bosemi, wzrokiem obłąkanego, oglądając się dokoła.

Telesz, który nadbiegł za nim, czeladź, parobcy, niewiasty nie śmieli przystąpić doń, oczom nie wierząc, by on to mógł być.

Zachwiał się Mszczuj na nogach osłabłych, potarł rękami po twarzy i przez otwarte drzwi, zataczając się, wszedł do izby.

Dwie Halki stały wylękłe w kątku, gdy go ujrzały na progu, i krzyknawszy, pozakrywały oczy, myśląc, że widmo ojca ujrzały.

Waligóra, spojrzawszy na swe ognisko, zobaczywszy białe sukienki córek, jakby zmysły

odzyskał. Za nim przez drzwi otwarte cisnęli się ludzie, omdlałą Dzierłę odrzuciwszy na stronę...

Mszczuj zawołał na dzieci

Głos jego poznawszy, dziewczęta rzuciły się ku niemu i przybiegłszy, zawisły mu na szyi.

Z oczów starego ciekły łzy razem i krew płynęła; ścisnął dziewczęta i łkał ze szczęścia. One go pytać nie śmiały, dla czego wracał tak okrwawiony i odarty; on nie mówił nic.

Telesz dopiero, przekonawszy się, iż pan to był z ciała i kości, a nie widmo i duch jego, przystąpił z pokłonem i pytaniem, z uzaleniem i trwogą.

— Paneczku nasz złoty, sokole, co tobie? co z tobą? Miły Boże, krew... rany... zbójcy...

Halki płakały... Baby, zdala stojące, szeptały dziwując się i chciały już biedz po ziola, płachty, po wodę.

Waligóra długo nie odpowiadał nic, oko jego utkwilo gdzieś w głębi izby i krwią zaszło, otarł je, nie odwracając od miejsca, na które było zwrócone. Nagle począł drżeć, powstał i pędem, rozepchnawszy tych, co na drodze się znaleźli, pobiegł, rzucił się w przeciwny kąt izby. Na ławie leżała niemiecka rękawica Gerona.

Waligóra pochwycił ją, jak jastrząb porywa małe ptaszę, oczy mało mu z powiek nie wyskoczyły, podniósł ją do góry i ryknął z bólu.

Wszyscy z trwogi odrętwieli.

Stary, dusząc tę rękawicę w dłoniach swych żylastych, jęczał, krzyczał, a wyrazu wśród tego wybuchu rozeznac nie było można.

Halki obie na widok rękawicy omdlały. Telesz upadł na kolana. Niewiasty, widząc

Mszczuja w gniewie zabijającym, wściekłym, uciekły z izby.

Z rękawicą tą w ręku Waligóra ruszył wprost na Telesza, niósł ją podniesioną, potem rzucił mu ją na policzek z taką siłą, że krew trysnęła, wnet podniósł i znowu ryczeć począł, oglądając się.

Potrzeba mu było ofiary: nogą pchnął podżupana, bo tego za mało mu było, wyszedł z dworu w ciemności na podgórze, ale nie wiedząc jeszcze, co czyni.

Telesz się za nim włókł na klęczkach, chwytając za nogi, którymi stary precz go odrzucał.

— Panie, panie! — wołał, — jam nie winien... jam nie winien!

Wtem z ciemności wynurzyła się postać blada, trup, czy żywy człek, z oczyma świecącymi.

Był to ksiądz Żegota.

— Jam winien! — rzekł, — ja! masz mnie! zabij!

Waligóra krok odstąpił od niego.

— Dajcie mi ich! — krzyknął, — tu! dajcie mi ich!

— Rannych śmiertelnie Niemców ja wziąłem pokryjomu na zamek, ja, dla miłości

Chrystusa... ja, — począł ksiądz, — ubijże mnie!

Waligóra stał, trzęsąc się cały. Telesz podniósł się z ziemi. Odwrócił się do niego Mszczuj.

— Daj mi tu ich! daj mi ich! — zakrzyczał.

W mgnieniu oka podżupan, skinąwszy na parobków, poleciał.

Ksiądz Żegota stał, jak dobrowolna ofiara, która się doprasza nieuniknionego męczeństwa.

Stary nie mówił nic, nie patrzył nań, w rękach miał podniesioną rękawicę niemiecką i drżał.

Wszyscy umilkli, w dali słychać było łomot i rzucanie się ludzi po zamku, wrzawę, pogoń i urywane krzyki.

Dwie Halki, które stara prządka otrzeźwiła, podniosły się, jak ze snu straszego

przebudzone i stały płacząc, drżące. Czasem chyliły się, słabnąc, to dźwigały w milczeniu, aż stara zmusiła je usiąść na ziemi. Siadły, objąwszy się i płakały.

Na podwórzu straszniejsze od krzyku, który się rozlegał niedawno, panowało mil-

czenie. W dali tylko coś wrzało... biegali ludzie.

Waligóra stał, patrząc w ciemność... w oczach latały mu płatki jasne i plamy krwawe.

Kroki słyszeć się dały z daleka, ale ociągające się, powolne, bojaźliwe. Telesz przyszedł i stanął z rękami spuszczone. Niemców nie prowadzili, nie było ich.

Strzęsiono gród cały.

— Podpalić szopy! ognia! — krzyknął Waligóra, — skryli się! Niech wszystko idzie na

popiół, byle oni zginęli!

Mówiąc to, Waligóra wpadł przez drzwi otwarte do izby, pochwycił dwie główne rozpalone i wybiegł na podwórze z niemi.

— Palić wszystko! — krzyczał zajadły, miotając zarzewie.

Telesz zdrętwiał.

Parobek bliżej stojący, posłuszny, chwycił głównię i pobiegł do najbliższej szopy, wtykając ją w dach słomiany.

Waligóra patrzył obłąkanemi oczyma. Podżupan chciał iść do ognia dla ugaszenia, pchnął go i obalił na ziemię.

— Straże u wrót, u furty, na wały! Żywa żeby mi nie uszła dusza... Ognia na cztery rogi!

Wtem ksiądz Żegota padł na kolana przed nim ze złożonemi rękami.

— Panie — zlituj się! — prosił Żegota

— Niemców mi daj! — odparł, przystępując stary.

— Nie wiem, gdzie są! — wyjęknął ksiądz z pokorą. — Wziąłem ich ja z miłosierdzia, nie ja wydawać ich będę na stracenie. Życie mi weź!

Głownia, zatknięta w mokrą strzechę, nie zatliwszy jej, gasła; wtem biegiem przyskoczył parobek, wołając:

— Konie porwali z szop i zbiegli!

— W pogon! koni! — zawrzeszczał, miotając się stary.

I, jak stał, sam naprzód się rzucił do stajni. Potłuczony Telesz pobiegł za nim; co żyło, odbijało wrota, chwytalo konie i leciało z zamku na pola.

Noc była czarna, straszna... przepaścistych ciemności. W jej głębinach znikli, rozproszeni na wszystkie strony, jeźdźcy. Na grodzie, pootwieranym, pustym, zostały płaczące kobiety, dzieci, pacholęta, ci tylko, co posłusznie za panem w szaloną pogon naoslep puścić się nie mogli. Dwie Halki, płacząc, usnęły na ziemi.

Ksiądz Żegota z Dobruchem poszedł otworzyć kaplicę i ukląkł przed ołtarzem na modlitwę.

Chciał, aby go stąd, jak męczennika, wywleczono na śmierć, której się spodziewał.

Długie godziny nocy płynęły tak, płynęły, zdając się przedłużać. Pianie kogutów tylko, odzywające się niekiedy, mierzyło tę nieskończoną przedzę ciemności i milczenia.

Zaczęło dnieć, gdy pierwsi ludzie, znużeni, konie prowadząc w rękach, powracać zaczęli.

Waligóry nie było.

Dzień białiał coraz jaśniej. Parobcy ściągnęli się ciągle, powrócił Telesz; wszyscy ścigali nadaremnie. Jeden Mszczuj nie powracał.

W kaplicy zadzwoniono na Mszę. Dźwięk dzwonka tego przebudził Halki. Były nawykłe

być mu codzien posłuszne; wstały drżące i, ujawszy się za ręce, poszły do ołtarza.

Ksiądz Żegota odprawiał Mszę ze spokojem powszednim. Dobruch mu służył. Po Mszy oba klękli i odmawiali modlitwy. Halki też odejść nie chciały, bo im się zdało tu najlepiej i najbezpieczniej.

Słońce się z za grubych chmur przebiło, a starego Waligóry doczekać się jeszcze nie mogli.

Z ludzi żaden nie spotkał go w pogoni. Telesz siadł na koń z małą gromadką, by szukać pana.

Było południe już, gdy stara prządka, nie spokojna, poszła do kaplicy po dzieci. Płacząc, wyciągnęła je stamtąd gwałtem prawie, aby je nakarmić i otulić. Wiało jesiennym chłodem mroźnym.

Halki szły posłuszne, nie mówiąc słownie płakały już nawet, bo łez im nie stało, oczy

miały czerwone, lica blade, chwiały się, jak kłosa w burzę. Mijały szopę, której wrota stały otworem; stara prządka spojrzała w nią i krzyknęła. Halki powtórzyły jej krzyk, oczy ich zwróciły się za starą.

W głębi szopy przez otwarte wrota widać było na ciemnym jej tle coś białego, wiszącego, jak płachta u belki. Była to stara Dzierła, która się powiesiła na pasku.

Dziewczęta pozakrywały oczy, pobiegły skryć się do dworu, a stara krzyknęła na ludzi.

Natychmiast gromada ich napełniła szopę; uciał ktoś pasek, ale ciało już było zimne, głowa martwa wisiała na piersiach z wysadzonemi na wierzch oczyma. Na włosach wetknięte wczoraj kwiatki, trzymały się jeszcze, na piersi dzwoniły sznury pereł. Dzierła nie żyła.

Ludzie, mrużąc, pospiesznie paskiem jej, rozerwanym na kawałki, dzielić się zaczęli... a trup pozostał w szopie.

Wieczór już był, gdy Telesz się pokazał we wrotach zamkowych; jechał zwolna na koniu, za nim na noszach z gałęzi czterech ludzi dźwigało ciało, czy trupa Waligóry. Stary miał głowę krwawą i piersi poranio- nie.... od gałęzi i upadku, ale od ostrego miecza. Żył jeszcze, dyszał —

milczał.

Zaniesiono go na postanie i baby przyszły obmywać i okładać rany. Halki przybiegły z

płaczem do ojcowskiego łoża. Uczuł ie przychodzące, bo oczy otworzył; nie rzekł nic, pierś tylko żywiej mu się poruszać zaczęła. Dał z sobą czynić, co chciano.

Kto go ranił, Telesz nie wiedział; znalazł go w lesie leżącego na ziemi, krwawego, bez przytomności Koń powrócił, cięty w szyję, na grodzisko.

Podżupan pytał go próżno; Waligóra nie chciał, albo nie mógł odpowiadać na nic. Żelazna siła tego człowieka umiała zwalczyć znużenie, głód, rany, gniew szalony, wszystko, co pojedynczo innego zabiłoby. Nie dbając o życie, dawał z sobą czynić jednak, co chciano; posłuszny był, jak dziecko, ale milczał, jak niemowlę.

Oczy otwarte raz zwróciwszy na dzieci, dopóki sen go nie zmorzył, nie przestawał tak patrzeć na nie. Lecz byłyż to te dwa kwiatki świeże, jakimi je porzucił na zamku, gdy biskup uprowadził go stąd z sobą? Cień chyba tych ślicznych Halek wesołych, smutny, blady, milczący!

Ksiądz Żegota w nieustannej trwodze oczekiwał kary; Telesz codzień zjawiał się, jak po rozkazy, stawał u łoża, narzucał się panu i odchodził, nic nie zyskawszy, oprócz obojętnego wejrzenia. Waligóra jęczał czasem, nie mówił nigdy. Gdy Halki go pytały o co, odpowiadał im skinieniem głowy. Nie żądał nic, nie prosił o nic, dawał się karmić jak dziecię, zrzekł się własnej woli, chciał umrzeć, a nie mógł.

Rany goiły się cudownie, widać było powracające siły, których użyć się wzdrażał. Baby potrzęsały głowami, patrząc nań, a i Telesz sądził, że czaszka, mieczem przecięta, odjęła mu rozum i pamięć.

Wreszcie rany bliźnić się zaczęły i nic już nie było do czynienia przy starym, a Mszczuj nie wstawał jeszcze.

Jednego dnia zrana Telesz przywłókł się wcześniej niż zwykle. Stał u łoża; Waligóra spał jeszcze. Wpatrzony w tego pana, którego nawykł był słuchać skinienia, obezwładnionego i niemego, stary podżupan, co przy nim wiek przeżył, począł po cichu płakać.

Wtem Mszczuj otworzył oczy, przetarł je i po staremu spartłszy się na rękach, usiadł.

Podniósł głowę ku Teleszowi.

— Idź, — odezwał się głosem dawnym, — księdza mi wywieź stąd precz... dać mu ziemię i

dworek na Zawalach... postawić kaplicę. Niech go nie widzę więcej — idź, żeby go tu nie było. Nie czyń mu nic, nic.

Sługą Bożym był, ale nie moim. Pan Bóg obronił mnie.

Skinął. Telesz, który z radością słuchał iakby odrodzonego pana swego, natychmiast wysunął się za drzwi.

Waligóra położył się na łożu znowu. Nadeszły Halki. Popatrzał na nie... i wyciągnął ręce.

Pierwszy raz przycisnął je do piersi. Im się z wielkiego szczęścia na łzy zebrało. O przeszłość nie spytał je, o sobie nie mówił nic. Chciał zapomnieć. Życie od tego dnia zaczęło powracać do dawnego trybu.

Z Krakowa nie było wiadomości aż do tych dni. Nazajutrz po wywiezieniu księdza Żegoty, który, płacząc, starą swą kaplicę, domek i Dobrucha, przy niej zostającego, opuścił, zjawił się u wrót Kumkodesz z Krakowa. Telesz poszedł z obawą o nim oznajmić.

— Czego oni jeszcze chcą odemnie? — zamruczał Mszczuj, — wszakżem niespełna życie dał, a może więcej, niż życie?

Wpuszczono Kumkodesza, który znowu miał twarz dawną, wesołą, rozumną a spokojną.

— Ojciec nasz przysłał mnie do Miłości Waszej, — odezwał się, — z błogosławieństwem i za językiem. Długo o was nie mieliśmy wieści żadnej... dopiero parę dni temu zasłyszeliśmy, że Pan Bóg szczęśliwie was do domu przywiódł.

— Szczęśliwie! — odparł Mszczuj, skinąwszy nań, — tak, szczęśliwie. Chodźno tu chodź!

Włóż palec w tę bliznę na czerepie; a co? schowa się?

Rozkrył piersi.

— Patrzajże, — dodał, — a i to niezgorsza pamiątka. Obie z rąk Niemców którzy mi mój dom splugawili. A co? powróciłem szczęśliwie? Księdza Żegotę, starego, poczciwego sługę, musiałem wygnać precz, bom nań patrzeć nie mógł. On mi tu ich do domu naprowadził.

— Jakich Niemców? — zapytał Kumkodesz.

Waligóra odwrócił głowę i zamilkł.

— Ojciec nasz ma nadzieję, że do nas przyjedziecie, że go znowu nawiedzicie, — dodał

Kumkodesz.

— Do czego? — zamruczał Waligóra. — Głowy nie mam, ręce już nie te, co były. Jam się

tam nie przydał i wątpię, aby kto inny się na co zdał.

Kumkodesz próbował się uśmiechać.

Waligóra wstał z łoża.

— Bracie mój! — zawołał. — Powiedz biskupowi, niech mi życia resztę zostawi! Dałem go dużo nadaremnie, — mało co zostało... niech dożyję na grzędzie. Zlitujcie się nademną!

Złożył ręce błagająco.

— Jam poseł mizerny, — odparł Kumkodesz — Ojcu naszemu ani śmiem, ni mogę powiedzieć nic przeciw jego woli, dla mnie świętej. Lepiejby wam pojechać samemu i powiedzieć, co chcecie. Jedźcie ze mną.

Waligóra spojrział w bok i nie odpowiedział nic. Zawołał sługi i kazał gościa przyjmować.

Kumkodesz na wyraźny rozkaz gospodarza siadł za stół i skromnie pożywał dar Boży, a

Mszczuj po izbie chodził.

Drugiego dnia kleryk w kaplicy pieśni śpiewał z Dobruchem, bo Mszy nie było komu odprawiać. Nie mówił nic, ale nie odjeżdżał. Wieczorem spytał tylko:

— Kiedy Wasza Miłość raczysz do Krakowa? bo ja sam nie pojedę, a tam mi pilno.

Mszczuj ramionami dał odpowiedź.

Trzeciego i czwartego wieczoru kleryk powtórzył toż samo pytanie. Siedzenie jego w Białej Górze zaczynało staremu dokuczać.

— Trzebaby powracać, — odezwał się piątego dnia Kumkodesz, — bo ksiądz biskup czasem mnie do małych potrzeb używa, to mu tam będzie tęskno za swą starą miotłą.

— Wracaj z Bogiem, — odparł Waligóra.

— Sam? Oczów bym nie śmiał pokazać.

Naostatek jednego dnia Waligóra się zzymnął... i gdy Kumkodesz go spytał, odparł:

— Pojadę jutro! Ale wrócę natychmiast bom tam piąte koło do wozu.

Kumkodesz chciał go w rękę pocałować — Miłościwy panie, — zawołał, — piąte koło

zapaśne więcej znaczy jak wszystkie cztery... kiedy się stare ułamie!

I Waligóra wyjechał do Krakowa.

XVII.

Była to wigilia Godów (Bożego Narodzenia), a w kościółku św. Trójcy, niedawno zakonnikom kaznodziejskiej reguły oddanym, sposobiono się do niezwykłego u nas jej obchodzenia.

Dominikanie od uczniów Franciszka z Assyżu, z którymi się bratali tak, jak ich mistrze

niegdyś połączyli się w miłości dla Chrystusa, wzięli ten zwyczaj uroczystego wystawiania żłóbka, szopki i cudownych narodzin Zbawiciela. Już od lat kilku co rok się to powtarzało w Krakowie przy takim natłoku ludu, że go szczupła jeszcze naówczas świątynka pomieścić nie mogła.

Wieczór był mroźny; na czarnem niebie świeciły gwiazdy wyiskrzone, w kościele widać

było pozapalane światła, gęsto gorejące... Przy bocznym ołtarzu tłoczyli się ciekawi i pobożni.

Oslawiony dokoła zielonemi gałęzmi świerków, cały on gorzał mnóstwem lampek ustawionych tak, że wkoło niego aureolę tworzyły. Migotały one barwami różnemi, uplecionemi w wieniec ognisty.

W pośrodku, jakby żywe, tylko mniejsze, niż żywi ludzie, widać było święte postacie: w

niebieskim płaszczu klęczącą Matkę Najświętszą, w ciemnym - łysego Józefa, spartego na kiju pielgrzymim. W żłóbku promienistym, uwinięte w białe powijaczki, leżało Dziecię ukoronowane.

U góry nad niem widać było klęczące w obłokach Anioły, rozmodlone i wpatrzone w Dziecinę, niżej — pastuszków ubogich, wołka i osiołka na klęczkach. Zdała świeciła na niebie gwiazda, która miała królów ze Wschodu przywieść do żłóbka świętego.

Wszystko to było jak żywe, a niewidzialna jakaś siła żłóbkiem zwolna, jak kolebką,

poruszała, co w wielkie zdumienie wprawiało przytomnych.

Księża, klęczący na stopniach, nucili głosem łagodnym pieśń tak wesołą, iż się serca

radowały. Czuć było w niej nowinę zbawienia, przyniesioną przez dziecinę ubogą, w żłóbku na sianie złożoną, której hołd pierwszy składało, co na świecie najbiedniejszym było: spracowany wół, pogardzony osiołek, głodni i zziębli pastuszkowie.

Ten, co się tak rodził na rozdrożu w Betleemie, miał też wyzwolić ludzi, a najprzód

biednych i tych, co najniżej stali..., niewolnych pastuszków, istoty, co z wołem i osłem w pocie czoła

pracowali na pogardę. Do nich się miało odezwać pierwsze jego słowo.

I twarze patrzącego na żłóbek ludu śmiały się nowinie odkupienia, choć jeszcze nie rozumiały zbawczego jej słowa. Dla ludu ze wsi był to widok nowy ten żłóbek, mówiący im jaśniej i dotykalnie, niż z kazalnicy rzucone słowo, które ledwo wybrani pojęli.

Cisnęli się i kłaniali wszyscy, a słuchali pilnie pieśni, którą radzi byli zrozumieć. Czuli tylko wesołość jej, odmienną od zwykłego tonu żałobnych i pokutnych śpiewów kościelnych.

Kościół też tego wieczora przedstawiał widok różny od nabożeństw codziennych, nawet twarze mnichów się śmiały, a patrząc na nich i słuchając, uśmiechali się pobożni. Ten i ów poczuwał się swobodnym i dokoła żłóbka rozmawiano jak na ulicy. Niektórzy mieszczanie podśpiewywali; nie było to grzechem w dniu wesołej nowiny.

Między innymi rozczulony, ze złożonemi rękami, nędznie odziany, żarliwie się modlił

Hebda, niby jeden z tych pastuchów biednych, w podartej kozuszyne, z lichy poobwiązaniem nogami, z obnażoną piersią wyschłą

Modlił się a płakał, lecz z twarzy, mimo łez, widać było radość jakąś, a dwaj księża, co klęcząc obok niego, pieśń zawodzili, patrząc nań, cieszyli się wielkiej pobożności nędznego człowieka.

Hebda, skończywszy modlitwę, zapatrzył się oniemiały w żłóbek, jakby istotnie widział te narodziny dobrowolnie ubogiego, który ubogich miał z bogacić.

Wtem potrafił go ktoś: był to znajomy nam Kumkodesz, który także przyszedł się pomodlić i podziwować z prostotą dziecięcą. I jemu jaśniały lica. Miał on chwile takie w życiu, gdy rozum swój i naukę gdzieś rzucał, jak węzełki niepotrzebne, a stawał się prościuchnym człowiekiem, który tylko czuje i używa, co Bóg zesłał.

Zobaczywszy Kumkodesza i poznawszy go, Hebda chciał mu ustąpić; kleryk nie pozwolił

na to: klął przy nim za pan brat, czując, że tego dnia i w tem miejscu wszyscy byli równi. A byliby oba w tej kontemplacji świętego żłóbka pozostali, gdyby w kościele nie stał się szmer i lud nie zaczął się rozstępować, bo go urzędnicy z laskami w rękę, w kozuchach z kun i soboli, z łańcuchami na szyi na stronę rozsuwali.

W głębi ukazał się znany ludowi książę Białowłosa ze swą twarzą piękną, zamyśloną i

łagodną. Szła z nim żona, za nim dwór, kapelani, komornicy, służba, wszyscy od święta strojni i bogato poodziewani. A jak na dworze mieszały się narodowości, tak w sukniach i przyborach widać było największą rozmaitość.

Leszek modlił się, zapatrzony w żłóbek i Dziecinę, lecz mimo dnia wesela i mimo pieśni

radosnych na twarzy jego widzieli wszyscy z poza obłoku kadzideł chmurkę smutku jakiegoś.

Książę krakowski, starszy między Piastami, panujący spokojnie, żyjący szczęśliwie, którego Bóg córeczką i synkiem pobłogosławił, którego kochali wszyscy, który sprawiedliwości, wzorem ojca, był pilnym szafarzem, w tym dniu nie czuł się szczęśliwym. Jakieś przeczucie kołatało do serca jego i mówiło mu:

— Nie dożyjesz drugiego dnia takiego, pieśni tych nie posłyszysz już więcej!

Książę odpychał myśl natrętną, cisnęła mu się naprzykrzona i ciężka na skroni, jak wieniec męczyński. Księżna też patrzyła, jakby strwożona i smutna, na ołtarz i na sposepniałą twarz mężowską.

A mnisi wesołą pieśń coraz głośniejsze nucili.

Hebda i Kumkodesz, dla których w małym kościółku nie było miejsca, wyszli na ulicę.

Znali się z sobą dobrze. Hebda był wszakci w opiece biskupa Iwona, a Kumkodesz sługą jego.

Często bardzo kleryk odziewał ubogiego, karmił go i strofował; Hebda nawykł szanować go, a był z nim poufalej, niż z innymi.

Gdy się znaleźli na ulicy, żebrak pochwycił połę szaty kleryka i pocałował ją z pokorą.

— Patrzajże! znowu mi ty marznąć będziesz! — zawołał Kumkodesz. — Opończy już nie masz, chodaki nowe pewnieś chyba przepił! Niepoprawny ty jakiś!

— Ojczulku, — odezwał się Hebda, — opończę mi ta baba zdarła, co to wiecie, w głowie się jej pomieszało... Drżała z mrozu... Mnie ciepło... Chodaki dałem Łabie, bo miał nogi bose...

Hebdzie gorąco.

To mówiąc, sparł się na kiju i poskoczył, nogami uderzając jedną o drugą. Wśród tej wesołości, jakby mu co na myśl przyszło, przystąpił do Kumkodesza, szepcząc mu:

— Panaście widzieli? Błady jest i chmurny, czuje on to, co ja.

— A ty co czujesz? — spytał Kumkodesz.

— Ile razy spojrzę nań, czy jedzie miastem, drogą, czy się modli w kościele... widzę zabójców koło niego, miecz nad głową i pana nagiego w ranach.

Kumkodesz potracił go gniewnie.

— Jak ta baba, co ci opończę wzięła, szalony jesteś! — krzyknął.

Hebda głową rzucił.

— Com winien, kiedy jedno widzę wciąż czy słońce świeci, czy noc... byłem pana zobaczył, wnet mi się przewraca w nagiego i porąbanego, — odparł Hebda. — Żegnam się i odpędzani marę, to cóż? myślicie, że ustępuje? Nie, krzyż ją przetnie na dwoje na czworo, a kawałki stoją przed oczyma!

— Dzięki Bogu, panu naszemu nic nie grozi! — począł Kumkodesz. — Myśl ty ino o sobie.

I chciał iść, aby się od żebraka odczepić, ale Hebda kroczył za nim.

— Prosiłem ja świętego ojca naszego, — mówił ścigając go ciągle Hebda, — aby mnie

przeżegnał i mary odegnał. Nic nie pomaga! Com winien, że mi za karę takie dano oczy, które widzą, czego nie ma na świecie i daj Boże, by nie było? Chodzi żywy człek, to ja go widzę trupem, śmieje się baba — mnie się zda, jakby płakała, wraca wesele — u mnie w oczach pogrzeb... niosą do chrztu dziecko — wydaje mi się, że zbójca jedzie.

Kumkodesz się rozśmiał.

— Toć ci ojciec nasz zawsze mówi: módl się, — rzekł, zbywając się natręta.

— Jak mogę, to się modlę! — westchnął Hebda i wysuwając z podartego rękawa

dyscyplinę, pokazał ją klerykowi. — I modlę się i biję do krwi. Myślicie, że boli? Gdzie tam..

jakby mnie kto głaskał.

Zamilkł nagle. Wlókł się jednak za Kumkodeszem aż do wrót biskupiego dworca.

— Ojczaszku, — rzekł, gdy się ku nim zbliżyli, — prośbeczkę mam do ciebie!

Kleryk się odwrócił.

— Jałmużna rozdana, kłapcia już u nas nie ma, — odparł.

— Nie chcę ja nic, — zawołał Hebda, całując róg jego sukni, — tylko żebyście świętemu

biskupowi powiedzieli, że szalony Hebda pana naszego wciąż widzi nagim a miecz nad głową jego!

Kumkodesz machnął ręką i wszedł na podwórze, drzwi zatrzasnął za sobą. Hebda postać

chwilę, uderzył się silnie kilka razy w piersi kułakiem i zamyślony, pozostał na mrozie w ulicy.

W chwilę potem orszak książęcy ciągnął nazad na zamek na ucztę wieczorną, którą po

całodniowym poście zastawiano. Hebda, stojący zdala, zobaczył go, krzyknął i dłońmi obiema zakrył

sobie oczy, jakby widoku tego znieść nie mógł.

A Leszek jechał spokojnie, za czeladzią, niosącą pochodnie, i dwór jego wesoło gwarzył.

rozradowany pieśniami kościelnymi. Otwarły się wnet i wrota dworca, z których wyjechał i biskup Iwo na zamek, bo tam nań czekano z wieczerzą.

W mieście, które dnia tego świeciło wszystkimi oknami, jakby się w nim ludzie, północy czekając, spać nie kładli, rozległ się tętent: jezdnych kilku pędem wielkim spieszyło do zamku.

Jeden z nich głowę miał przewiazaną chustą białą i rękę obwiniętą płachtami; na towarzyszach jego widać było rany i zbroje potłuczone.

Hebda spojrział, gdy przeciągali, i znowu zakrył oczy...

Zniknęli we wrotach zamkowych.

Leszek już był we dworcu swym, a biskup stawał w przedsieni, gdy gromadka jezdnych tuż

nadbiegła. Spojrział Iwo na nich i jęk wyrwał mu się z piersi. Nie trzeba było pytać nawet o nowinę, jaką nieśli.

— Beno! tyżeś to? — odezwał się biskup strwożony, zwracając się do niemłodego człowieka z głową i ręką obwiązaną.

Jęknął za całą odpowiedź, gdy ludzie pomagali mu zsiadać z konia. Potem przywłókł się do biskupa i po rękach zaczął całować.

— Beno! zbójcy cię napadli w drodze? co z tobą? — odezwał się biskup.

— A! — westchnął przybyły, spierając się na ramieniu sługi, — zbójcy, zbójcy, ale nie na drodze; napadli nie mnie, tylko zamek, którego stróżem byłem postanowiony. Biada mnie! biada nam! Światopełk opanował Nakło!

Biskup, słysząc to, cofnął się na krok i twarz jego oblokła się boleściwym wyrazem.

— Światopełk więc wypowiedział nam wojnę! — zawołał.

— Ani ją wypowiadał, ani się jej kto mógł spodziewać, — rzekł jękliwie kasztelan. — W

pokoju z nim byliśmy, któż się napadu mógł spodzierać? Garść nas w Nakle siedziała. Nagle, nocą oskoczył nas z siłą wielką; nimeśmy się na obronę zebrali, wyrabano bramy. W podwórzach przyszło nam ucierać się z nimi, broniliśmy się do ostatka, jeden przeciwko dziesięciu, i ot, ilu nas uszło z życiem!

Kasztelan westchnął.

— Synowie moi! — zawołał i nie dokończył.

Rozmowa głośna w przedsieni, którą na dworcu słychać było, wywoływać zaczęła

ciekawych. Wszedł z nimi z wesołą twarzą Leszek, właśnie gdy kasztelan opowiadał o wzięciu Nakła, posłyszał i załamał ręce. Stał za biskupem, nie widziany przez niego. Z ust mu się nie wyrwał nawet jęk, tylko głowę spuścił na piersi i ujął zwolna rękę Iwona, który się ku niemu obrócił. Odgadł przy sobie Leszka.

— Panie,— odezwał się poważnie — ludzi nam żal, krwi chrześcijańskiej rozlanej, lecz Bóg wie, co czyni! Imię jego niech będzie błogosławione! Dobrze się stało, co on zrządził. Lepiej jest mieć jawnego nieprzyjaciela, niż druhów fałszywych. Odkrył się i obnażył Światopełk czem jest!

To mówiąc, biskup za księciem począł iść do dworca, rękę wyciągnąwszy ku kasztelanowi, krocącemu za nim. W wielkiej izbie, oświetlonej pochodniami, które pacholęta trzymały, był właśnie zastawiony do wieczery stół, białym obrusem okryty. Stała już księżna z niewiastami swojemi, czekając na pasterza i pana, w głębi — urzędnicy i dwór...

Na widok Benona z głową, krwawą chustą obwiązaną, okrzyk zdziwienia i przestachu przebiegł cały ten orszak, który się weselić gotował.

Leszek, blady, szedł ku miejscu swemu ze zwieszoną głową i zajął je, biskupowi wskazując siedzenie przy sobie. Iwo Benona zmusił też zabrać ławę, od której mu się krakowski kasztelan odsunął... Cisza panowała długa... Iwo skinął i kapelan książęcy rozpoczął odmawiać błogosławieństwo.

Słuchali go wszyscy, stojąc...

— Głosił to dawno Światopełk, — odezwał się biskup, — że mu się Nakło do Pomorza jego należało, że zostało oderwane od niego.

W takich smutnych rozmowach upływała wieczera, którą gorzko było pożywać wszystkim; niemal noc cała upłynęła na radach, co poczynać.

Leszek, skory do wojny z początku, już wprędce odezwał się, iż należało wszystkim używać środków, aby Światopełka pokonać grozą samą.

Gdy w zamku na Wawelu smutna ta wieść trwożyła i niepokoila wszystkich, we dworze

Marka wojewody, do którego wiadomość o wzięciu Nakła doszła kilka godzin wprzód, panowała źle ukrywana radość.

Wojewoda, Jaszko i kilku zaufanych, napawali się powieścią, przyniesioną przez mniemanego posłańca. Marek nazajutrz miał być na zamku.

Nie dając znać po sobie, iż już był zawiadomiony, po nabożeństwie kościelnym stary Jaksza udał się z Leszkiem do dworca. Na drodze urzędnicy oznajmili mu o przybyciu Benona.

Przyszedł więc przed księdza z ubolewaniem krzykliwym, głośnym, tem gwałtowniejszem, że było udaniem. Zrywał się, jakoby zaraz na Światopełka chcąc iść, wyrzekając się w nim krwi swojej.

— Siłę mamy, miłościwy panie, — wołał, stojąc przed Leszkiem, — skiniecie tylko, a pójdziemy nawet z księciem Konradem razem i zgnieciemy go. Słuszna jest, byście mu odebrali rządy Pomorza waszego.

Leszek już był z wojennego zapału ostygł i inne miał myśli.

— Przystało nam, — rzekł łagodnie, — siłę mając, mieć pomiarkowanie. Damy czas

Światopełkowi do ukorzenia się, do namysłu.

Wojewoda swą wierność i gorliwość w sprawie pana chcąc okazać, tem mocniej za wojnę natychmiastową obstawał. Według niego, zimową porą odzyskanie Nakła było łatwiejszem, nie potrzeba było dać się w niem nieprzyjacielowi umocnić i zabezpieczyć. Inni mu też z rycerstwa potakiwali, a biskup Iwo słuchał i milczał.

Nie upłynął ten dzień bez nowych posłańców i wiadomości. Z Płocka od księcia Konrada przybył jeden z jego przybocznych z oznajmieniem o wzięciu Nakła i radą braterską. Konrad poufnie Leszkowi tę myśl właśnie dawał, którą on sam już miał wprzód. Donosząc o stracie, kazał razem dać do zrozumienia, iż do powetowania jej ciężkoby mu teraz było czynnie się przyłożyć.

Życzył więc książę Konrad zwołać zjazd wszystkich książąt, aby na nim razem ze światopełkiem, spór i wojna Odonicza z Laskonogim, ugodą, przez wszystkich ułożoną i poręczoną, zakończone zostały..

Leszek niczego innego nie pragnął. Biskup Iwo, który przytomnym był, przyzwalał także.

— Zwołajmy zjazd, — rzekł, — lecz nie dosyć na nim władców świeckich: zjedziemy

wszyscy my z ojcem naszym gnieźnieńskim na czele, zwołamy przedniejsze rycerstwo ziem wszystkich i uczynimy pokój, zaprzysiężony na długo.

Wojewoda Marek, który się jeszcze na zamku znajdował, niby przeciwnym się okazał zjazdowi, w istocie tak mówiąc, iż go popierał.

Na wszystkie strony wyprawiano posłów i listy, a biskup Iwo nie mniej od samego księcia był czynny: on miał wezwać braci swych i skłonić gnieźnieńskiego pasterza.

Znowu więc Mszczuj, którego mimo jego woli starał się zatrzymać przy sobie, był mu

potrzebnym. Jemu jednemu zawierzyć mógł, iż wiernie znieśie, co mu zdanem zostanie... Stary, który siedział tu, niepokojąc się o dzieci, wrywając się ciągle, nakoniec otrzymał przyzwolenie Iwona, który ściskając go, rzekł mu:

— Jedź do dzieci, pociesz się niemi, po- błogosław je, powierz je dobrej pieczy, lecz

powracaj do mnie, abyś mi był pomocą. Miejsce twoje u boku Leszka; z dniem każdym więcej lękam się Jaksów i wojewody.

XVIII.

Jesień była. Nadchodził dzień, w którym właśnie pokładano nadzieje. Sposobiło się

wszystko ciągnąć na kresy ku Pomorzu, do Gąsawy, gdzie zjazd był naznaczony. Światopełk i inni z nim zrozumieli wybór miejsca tego jako groźbę. Leszek ciągnął z częścią wojska swojego, a inna miała, jak mówiono, być w pogotowiu i jeśliby pomorski książę nie upokorzył się z dobrej woli, łatwo mu było i Nakło odebrać i ścigać go dalej.

Nic jednak nie wróżyło, ażeby wielki zbór książąt i duchownych miał się rozejść

bezsukutecznie. Leszek miał za sobą i z sobą. niemałą własną powagę, nietylko duchowieństwo całe, ale Henryka śląskiego, Konrada i Laskonogiego.

W Krakowie wybierano się wesoło, choć wielce strwożona księżna płakała, zaklinała i prosiła, aby mąż nie jechał.

Nękania postrachami temi Leszek musiał wezwać biskupa Iwona, ażeby słabej niewieście

włał męstwo. Grzymisława uległa naukom duchownego, zamilkła, nie mówiła więcej nic, lecz łzy jej z oczów płynęły, a nieme usta milczeniem jeszcze błagały: zostań!

Leszek naprzemiany był jednych dni gotów jej usłuchać, to, wstydząc się małoduszności,

przyspieszał wyjazd ze swej stolicy.

Przodem już wyciągały tabory biskupa i książęcy, aby w małej wioszczynie przysposobić

dla mnogich panów przyjęcie. Stawiano szopy, budowano łaźnie, bez których się naówczas nikt nie obchodził, a książęta, wychowani przez matki rusinki, przywykli byli do niej. Z książęcych i duchownych majątności i grodów zwożono siano, składano stogi, zsypywano zboża, mąki i krupy dla mnogiej czeladzi, spędzano trzody, na rzeź przeznaczone.

Każdy z pasterzy wiódł z sobą oprócz duchownego dworu rycerstwo swe, urzędników, czeladzie, namioty. Na miejscu nic się znaleźć nie mogło, wszystko więc trzeba było ciągnąć z sobą.

Biskup Iwo miał jechać razem z księciem, a księciu towarzyszył dwór świetny i mnogi.

Pomimo starań Marka wojewody Mszczuj pozostał przy księciu i był też wyznaczony jechać z panem.

Na kilka dni przed wyjazdem księżna powołała do siebie tak jego, jak innych, obdarzyła i zakłęła, aby przy panu dzień i noc stali, czuwając.

Ludzie poważni rozumieli tę niewieścią obawę i tłumaczyli ją, chociaż nikt nie miał

najmniejszej trwogi, ani podejrzenia. Przy takiej sile, w takiej gromadzie, cóż się Leszkowi stać mogło?

Drugim takim przerażonym był nieszczęśliwy Hebda, który biskupowi drogę zabiegał, na

kolana się przed nim rzucał i prawił po szalonemu urojenia swoje, iż księcia widział ciągle we śnie i na jawie nagiego, ranami okrytego. Lecz na słowa szalonego któż mógł zważać? Gromiono go i odpędzano, a Hebda nie ustawał w swem prorocctwie.

Lękano się, ażeby nie zabiegł drogi Leszkowi, nie przestraszył księżnej, gdyż nieustannie kogo spotkał, ostrzegał o niebezpieczeństwie; była więc mowa o zamknięciu go w szpitalu św.

Ducha na czas pewien, pókiiby z Krakowa nie wyruszono.

Biskup, mający nad nim wielką litość, który choć wyposażał kościoły i klasztory, ale około domu sam jeden pieszo chadzał często, na parę dni przed naznaczonym wyjazdem jak zwykle spotkał Hebdę na swej drodze do kościoła św. Trójcy.

— Ojcze, mój święty, ojcze litościwy! — zawołał żebrak, goniąc za nim, — nie puszczajcie pana stąd nie puszczajcie, bo ja krew widzę... krew i miecze!

Iwo stanął.

— Człecze uparty, — rzekł surowo, — ażali nie wiesz, że bez woli Pana włos z głowy

człowieka spaść nie może? Szaleństwu twojemu lituję się, a prorocत्वom nie wierzę, ale gdy drugich trwożyć będziesz... chcesz, abym zmuszony, zamknąć cię kazał?

Była to najstraszniejszą groźba, jaką Hebdzie uczynić mógł pobożny biskup. Nie lękał się on ani głodu, ani chłodu, ale samo przypuszczenie niewoli i zamknięcia we wściekłość go wprawiało. Stał drżący.

— Ojciec miłosierny! — krzyknął, ręce do góry podnosząc, — nie uczynicie tego, bo macie litość nad biednym pokutnikiem. W ciemność mnie skutego rzucić — toć śmierć!

— Milcz więc! — rzekł biskup, — jać nakazuję!

I krzyż nad nim uczynił. Żebrak, jakby cudem rażony, usta zamknął, ale oczy krwawe podniósł do nieba i błagał o ich rozwiązanie. Szedł za biskupem i jęczał.

— Nie rozwiążę ci ust, nie, — mówił Iwo, — idź, módl się za grzechy, a ludziom męstwa potrzebnego nie odejmuj.

Doprowadziwszy biskupa do kościoła, Hebda nie śmiał wniknąć za nim. U progu się położył krzyżem.

Od tego dnia głosu z ust jego nie posłyszano, biegał tylko przerażony, rękami coś pokazując, bijąc się w piersi i szyję, to na zamek, to ku północy palce wyciągając.

Przyszedł naostatek dzień do wyjazdu naznaczony.

Nadszedł i biskup Iwo, pocieszając księżnę, a zapewniając, że nad panem wszyscy czuwać będą, błogosławił jej i modlił się; mimo to, gdy rozchodzić się mieli, księżnę omdlałą sługi na łóżko zaniósł.

Leszek, już w panczernej koszuli, z hełmem na głowie, wziął jeszcze małego Bolka na ręce i przycisnął go do piersi, wziął Salomeę, która go, zazdroszcząc bratu, za suknie ciągnęła, i ucałował oboje.

Tęskno mu było rozstawać się ze swym dworem spokojnym, żoną i dziećmi, lecz trwogi nie miał żadnej.

Po drodze był Wrocław, skąd książę, zabrać miał z sobą już gotowego Henryka i biskupa wrocławskiego, chociaż ten raz już z Iwonem Odrowążem o pierwszeństwo w hierarchii spór

zawiódłszy, a w którym Iwo ustąpił, niezbyt się na zgromadzenie kwapił.

We Wrocławiu oczekiwano Leszka z licznym dworem. Wyjechał Brodaty przeciw niemu z

sercem dobrem i myślą dosyć wesołą. Nie zmieniło jej nawet to, że spostrzegł w orszaku Mszczuja, przeciw któremu, choć się jego niewinność okazała jawnie, zawsze ząb miano za nienawiść ku Niemcom. On mógł mieć większy żal przeciw tym, co go tak okrutnie męczyli, chociaż mieli świadectwo niewinności. Trzymał się też na uboczu, do nikogo nie zbliżając, lubo Perygryn pozdrowił go z rozkazu książęcego i rozmowę rad był zawiązać.

Przez dzień cały, który we Wrocławiu przestać musiano, zanimby ksiązę Henryk przodem

swój obóz wyprawił, a Leszek spoczął, Mszczuj na zamku nie postął Trzymał się w mieście gospody, dla tej części dworu wyznaczonej.

Ze starszyny krakowskiej towarzyszył Leszkowi Marek wojewoda, który w orszaku swym,

choć nie jawnie, miał syna Jaszka, bo ten gwałtem mu się uparł i zaklął, że choćby sam do Gąsawy podąży.

Wojewoda z synem zamieszkał u Sulenty, przyjmującego opiekuna swego z wystawą

wielką. Sam on, żona i czeladź przybrani byli świątecznie, dom kobiercami powyścielany, stół przez cały dzień zastawiony.

Wojewoda, zmuszony być około księcia, mało z tego korzystał, ale Jaszko z obozu różnych przyjaciół sprosiwszy, nie zapominając o Nikoszu, i kazawszy drugich przywołać, używał ochoczo darów Sulenty Wszystkiego było w bród, wesołość wielka.

Popiwszy się, przyjaciele Jaszka i on sam byliby poszli w skoki, starego Sulentę chcąc

wyciągnąć także, gdyby było komu grać, ale gędźby nie stało. Wykrzykiwano więc w niebogłoso, korzystając z tego, iż dworek kupca daleko był od grodu położony.

— Daj Boże, — odezwał się pół pijany Nikosz, — ażebyście tak wesoło wracali, jak

jedziecie. Mnie także kazano do tej Gąsawy z końmi, ano mi się tak nie chce, żebym się z tego wykupił.

— Mnie ta podróż nie pachnie, — mówił dalej, — wszystko się jakoś składa na złą wróżbę.

Peregrynowi z Weissenburga, co jest przy księciu, baba wyprorokowała, że z drogi nie powróci i stary się wypowiedał.

Rano nazajutrz ciągnęli dalej, z większym orszakiem, Mszy wprzód wysłuchawszy, przy

której ksiązę Henryk pobożnością swą budował wszystkich. Biskup wrocławski jechać nie chciał,

opowiadał się chorym. Archidyakon błogosławił na drogę i wszystkim ten lud ruszył, mając jeszcze spotkać się i połączyć z księciem Konradem, który bratu chciał towarzyszyć.

Tak w ciągu podróży rosło otoczenie Leszka i siła jego.

Konrad, obozem się położywszy w polu, czekał na brata i wyjechał na milę przeciwko

niemu z dworem swym, kapelanami, urzędnikami dworu i orszakiem znacznym, bo mu o to szło, aby się w oczach ludzi nie mniej okazał od Leszka.

Nie zawsze tam dostawało na występ świetny, ale choć pozór być musiał, aby dumie

Konrada dogodził. Mszczuj spojrzął tylko, gdy się witali, na gościńcu, ażali z sobą nie prowadził

Krzyżaków; nie dostrzegł ich tu jednak. Czy rad był temu, czy gniewny, nikt z niego nie poznał.

Od niejakiego czasu, gdy na dworze z rozkazu biskupa znajdować się musiał, z twarzy mu

nic wyczytać nie było można: posępna była, jednaka, zubożała i zastygła.

Już się cały ten tabor zbliżał do celu podróży, gdy jednego dnia przed wieczorem ujrzano orszak dosyć znaczny, który zdawał się jadących książąt oczekiwać.

Na czele jego był mąż z cienkimi nóżkami na koniu, w którym poznano księcia

Władysława starszego. Za nim cały dwór jego, w dość rozpięchłej i nieporządnej gromadzie i odzieży, na której widać było ślady wojny, niewczasów i tułaczki, żwawą zajęty był rozprawą jakąś, bo wszyscy rękami wywijali i zdala dochodziła wrzawa z wykrzykami.

Leszek jak dla wszystkich dobrym był uprzejmym, tak i dla Laskonogiego, który mu raz bez zezwolenia stolicy zająć nie chciał, a potem z niej dobrowolnie ustąpił, okazywał czułość największą. Jak tylko go poznano, sam on naprzeciw pospieszył. Ujrzawszy to książę Władysław podjechał spieszenie i spotkali się, podając sobie ręce. Leszek za dobre ku sobie serce płacąc, witał

go prawie ze łzami; Laskonogi, któremu się niepowodziło i który w opiece krakowskiego księcia całą miał nadzieję odzyskania swych ciągle najeżdżanych posiadłości, nisko się kłaniał przed młodszym krewniakiem, i pierwsze słowo, które wyrzekł, było:

— Witajcie, dobry mój opiekunie... Już też bez was z ostatniegoby mnie bratanek wygnał.

Widzicie, prawie tułaczem jestem... On i szwagier jego naposiedli mnie.

Ręką wskazał na niewielki dwór swój.

— Ludzi mało co przy mnie zostało! Ziemianie poszli za szczęściem, do Odonicza! Ratuj,

jakeś miłosierny!

— Bądźcie dobrej myśli, — odparł Leszek, — po to jedziemy do Gąsawy, aby wasz. spór z

Odoniczem, a mój ze Światopełkiem zakończyć zgodą. Bóg łaskaw, zrobimy ją!

Laskonogi się uśmiechnął, a że drudzy książęta nadjeżdżali, zbliżył się naprzód, pokłonem witając księcia Henryka, który mu głową skłonił, potem Konrada. Ten ledwie dał znak, iż go poznał, popatrzył na mały i lichy orszak, na bladą i zmęczoną twarz Władysława i milczał.

Leszek, który jechał przy Henryku, dał przy sobie z drugiej strony miejsce Laskonogiemu.

Orszak jego, z tyłu zajechawszy, połączył się ze Ślązakami, Krakowianami i Mazurami.

Dano znać, że arcybiskup gnieźnieński, Wojciech, zbliżał się.

Poruszyli się wszyscy na tę wiadomość, przygotowując się do przyjęcia go jako naczelnika Kościoła i rzeczywiście naówczas najpotężniejszego władcy.

Sparty na lasce wysokiej, z rękojeścią z kości słoniowej, jechał siwy, poważny Wincenty z domu Nałęczów, okryty płaszczem z fioletowego bławatu, podszytym sobolami, w czapce, która miała kształt książęcych. Dwaj klerycy szli pieszo po bokach wozu, który ciągnęły konie, pokryte oponami sukienkami.

Ujrzawszy książąt, zwrócił się ku nim starzec i ręką złożoną do błogosławieństwa, na której pierścień biskupi widać było, począł zdala żegnać ich krzyżem, uśmiechając się łagodnie.

Zatrzymał się wóz szkarłatny, stanęli jezdni; Leszek pierwszy przyszedł rękę arcybiskupa ucałować. Cisnął się za nim Henryk, choć do zwierzchnictwa stolicy gnieźnieńskiej nie należał, dalej szli Laskonogi i Konrad.

Na obliczu arcybiskupa można było rozpoznać jaki go z nimi łączył stosunek. Po ojcowsku witał Leszka, z poszanowaniem Henryka, zimno i niemal surowo Laskonogiego, z którym byli w nieustannych sporach, obojętnie Konrada. Z biskupem Iwonem uściskali się jak bracia i jak równi, chociaż Iwo chciał w nim poszanować starszeństwo jego Kościoła.

Około głowy swej znaleźli się tu już wszyscy pasterze: Paweł Grzymalita poznański,

wiekem najmłodszy, Jan Gozdawa płocki, Michał kujawski, wszyscy Polacy i dzieci tych ziem, których dusze mieli w opiece.

XIX.

Gąsawa, osada niewielka, znikła wówczas wśród obozów, szop, stajen, szałasów i

namiotów, które się w koło niej rozłożyły. Na kilka dni przed św. Marcinem już tu gwarno było, jak na targowisku, i ci, co się zbierali, pomieścili się po różnych kątach.

Nad skleconymi naprędce szałasami widać już było gdzieś zielone wiechy szynków,

indziej rozmaite znaki. W kilku kuźniach, na pół w ziemi, pracowały miechy, w innych warzyły się kociołki ze strawą, około której uwijały się baby. Niemcy porozkładali swe kramiki, porozwieszali płachty różnobarwne, kaftany gotowe, nawet kawałki zbroi, noże zapasne, jakich używano.

Szewc z Saksonii wystawił buty owe z nosami, które były oznaką wytworności i

zamożności. Włoch rozwiesił błyskotki i fraszki. Nieuchronna przy obozie gawiedź płci obojga, kuglarze, błazny, dziewczęta z kwiatkami na głowach, fartuchami podkasanymi i nożykami u pasa, zawodziły półgłosem piosnki, trzymając się nieco zdala.

Namioty i budynki, mające książąt pomieścić, otaczały rodzaj rynku dokoła. Przed każdym z nich stały drągi wysokie, na których chorągwie zawieszone być miały. Z tyłu za nimi wielkim kołem, podzielonym na części, które średnim budynkom odpowiadały, szły obozy każdego z panów tak, że mieli swych ludzi tuż za sobą.

W pośrodku na placu wyładowywano wozy, przeprowadzano konie, starsi z laskami

białymi utrzymywali porządek. Z trudnością to przychodziło, bo w zbiorowisku takim ludzie nieustannie to o miejsce, to o żywność, to po pijanemu o nic się spierali.

Okolo dworu Leszkowego, nieopodal wystawiona była wspólna dla wszystkich łaźnia, z

której dachu noc i dzień wychodził dym i para się dobywała. Wielkie kamienie, nagromadzone okolo olbrzymiego ogniska, musiano ciągle do czerwoności rozpalać i wodę na nie lać, aby każdego czasu można się było parzyć. Ławy w niej szły dokoła ogniska aż do szczytu, ogromne stosy winników, sukien i płótna leżały na dolnych dylach i ludzie nadzy do posługi byli gotowi.

Dla pospolitego ludu opodal były łaźnie mniejsze.

Przy pańskim budynku niewytwornym, na mech skleconym a dranicami pokrytym, długa

szopa, słupami wewnątrz podparta, przeznaczona była na wspólne uczyty i narady. Tu się i paręset ludzi pomieścić mogło.

Pomiędzy książęcym dworem a obszernym domem arcybiskupim, bo się tam niemal całe

duchowieństwo, oprócz kapelanów, miało mieścić, nieco wyższy, drewniany, szczupły budynek był przeznaczony na kaplicę, gdyż kościoła we wsi nie było. Drewniany krzyżyk na dachu odróżniał go tylko od innych.

Rynek ten, choć nie wytwornie, ale dosyć chędogo wyglądał, dwory były ze świeżo ściętego drzewa powznoszone czysto i zręcznie. Tu i owdzie nawet słupki pozaciosywano foremnie, a przy dachach powycinano małe ozdoby. Okienka niewielkie miały z wewnątrz zasuw, a dla ciepła i sukienne zasłony. Podłogi nie wszędzie wyśpieszono, zastępowały je klepiska, jedliną i słomą pokryte.

Listopadowy chłód zmuszał już ogrzewać się wszędzie, zawczasu więc dnia tego obłoki

dymu unosiły się nad obozowiskiem i wiatr je, jak chmurę, unosił powoli ku lasom, które zewsząd widnokrąg zamykały.

Dokoła placu stały dwory książęce, arcybiskupi, łaźnie, izbice, komory powyznaczone

zawczasu tak, aby każdy miał osobne schronienie. Więc dla Światopełka domostwo było przy Odoniczowem; ale to dotąd pustką stało.

Około chaty Plwacza garść się już ludzi zwijała, gdy Jaszko przybył nad wieczorem. Mógł

się tu zbliżyć, nie obudzając podejrzania, bo Mszczuj, wcześniej przyjechawszy, Leszkowe komory oglądał i dla pana przysposobiał przyjęcie.

W obozie tych dni coraz było weselej. Jak biały dzień już około szynków ludzie gromadami stali, ten i ów podśpiewywał. Po namiotach kosterstwo szło w parze z kubkami. Piszczalki, kobzy i różne brzękadła odzywały się ze wszech stron głosy niezgodnemi.

Pomimo starań tych, co nad obozem zwierzchność mieli, ludzi rozkiełznanych trudno było

już powściągnąć. Leszek, gdy się przed nim skarżono, folgować kazał, mówiąc:

— Niechaj się zabawia!

Zabawiano się dni kilkanaście.

Musiało już być nad ranem. Kury piałły znowu, na niebie coś jak szara pręga nad lasami się ukazało. W obozach gdzieniegdzie musieli się budzić ludzie, głuchy szmer dochodził Mszczuja.

Dzień dlań był pożądanym, bo noc wydała się jak wiek długą.

W wielkiej łaźni nigdy nie gasnący ogień podkładać zaczęto na nowo, gdyż dym buchnął

nad dachem i z głównego dymnika, zaczerwieniony, od dołu wystąpił, niosąc iskry, które się na dach posypały.

Mszczuj słyszał ze swego miejsca, jak rzucano przynoszone drzewo. Przez szpary i otwory przedzierało się światło.

O tej porze zazwyczaj w obozie ludzie już do koni wstawać byli powinni, nic się jednak nie poruszało, nic nie budziło, kamiennym snem odpoczywali po beczkach, wypróżnionych wczora.

Z wielką pociechą swą pochwycił Mszczuj mały szmer na pańskim dworcu. Leszek zwykle

wstawał bardzo rano, przychodził doń kapelan, z którym odmawiał modlitwy, szedł potem do łaźni i parzył się najczęściej, gdy jeszcze drudzy spali. Dworscy wstawali naówczas i w izbie przygotowywano poranne jadło.

Waligóra oddychał lżej, z odmykanych wewnątrz drzwi miarkował, iż księżę obudzić się musiał. Pilnie mając ucho na szmer najmniejszy, od strony obozu Plwacza chwycił coś nakształt szczęku oręży i przechodzenia ludzi.

W obozie ks. Konrada ruszało się też, i dziwu w tem nie było, bo ranek się robił widocznie.

Gęsta mgła tylko nie dozwalała go dojrzeć na niebie, lecz budowle rysowały się wyraźniej, ciemności rzedniały zwolna.

Dniało. Drzwi dworca otwarto i Waligóra postrzegł księcia Leszka, okrytego opończą i idącego do łaźni.

Kilku rozespanych ludzi szło przed nim z odzieżą i płachtami

Waligóra pomyślał, że się straż jego skończyć mogła wreszcie i chciał już stanowisko opuścić, gdy zdala usłyszał dobrze mu znany tentent koni, który nadzwyczaj prędko się przybliżał.

Umiał nawet rozeznąć, iż wedle wszelkiego podobieństwa oddział ów, czy stado biegło niemal cwałem. Nie mógł nic innego przypuszczać nad to, że wskutek wczorajszych nakazów, po wsiach sąsiednich rozstawione konie pędzono do obozu.

Zarazem na stanowisku Plwacza ruch się stał jakiś, ostrożny lecz znaczny, i ciche głosy poczęły dawać hasła. We dworze ks. Konrada choć światła nie było, odsunęła się okiennica.

Dostrzegł wychyloną głowę, która zdala się nasłuchiwać i szybko potem znikła, a za nią zaparto okno. Waligóra, jakąś mimowolną ogarnięty trwogą, chwycił za miecz, który miał u pasa.

Tentent coraz głośniejszy, coraz pospieszniejszy słyhać było, już dochodzący do krańców obozu, tuż, tuż. Straże ani się ozwały, więc musiało to być stado.

Wybiegł już z za węgła Mszczuj, gdy wśród owego hałasu wyraźnie rozeznawał szczęk mieczów.

Nie było chwili do stracenia. To czego się lękał, dokonywało się; obóz spał, napad jakiś się gotował. Myśląc tylko o panu bezbronny, Mszczuj nie widział już ratunku nad ułatwienie mu ucieczki. Wkrótce byłoby za późno, wbiegł więc poza dwór i własnego konia, który w gotowości stał, pochwywszy, pędem z nim ku łaźni skoczył, wołając, ile miał siły... a raczej krzyząc już tylko, aby ludzi pobudzić.

Nim z koniem powrócił nazad Waligóra, już nadciągający napastnicy byli o kilkanaście kroków od placu.

Wołaniem przestraszony Leszek, jak stał nagi, ukazał się we drzwiach łaźni; Mszczuj konia mu podawał.

— Uchodź, panie! — wołał.

Księżę zaledwie miał czas skoczyć na koń, gdy drożyną wiodącą z pomiędzy dworów, około domu Odoniczowego, wypadli zbrojni ze Światopełkiem na czele. Ten, z podniesionym mieczem w rękę, leciał wprost na dworzec Leszka, całą prowadząc gromadę, gdy ujrzał nagiego księcia, wymykającego mu się i cwałem bieżącego drogą, która wiodła ku Martynowu. Część Światopełkowej drużyny z ludźmi Plwacza padła na dworzec główny, inni na zajmowane przez ks. Henryka i Laskonogiego... Światopełk sam oszalały gnał za Leszkiem.

Na pustej tedy drodze, ku Martynowu prowadzącej, począł się on wyścig, którego zakładem było życie.

Koń Leszka dzielny, ale ciężki, biegł, o ile mu sił starczyło, nagłony nogami siedzącego na nim księcia... Światopełka, choć ciężar dźwigał większy, bo ten był uzbrojony, młodszy był, zwawszy i świeżo wzięty, zyskiwał więc co chwila i przybliżał się coraz więcej.

Nagi, potem okryty, przeziębły Leszek modlił się, już czując nadchodzącą chwilę ostatnią.

Uderzał konia rękami, bił nogami, położył się na nim cały, leciał... Lecz tuż za sobą słyszał kopyta końskie, oddech zdyszanego zwierzęcia, chrzęst zbroi nieprzyjaciela.

Światopełk był wściekły, lękając się, aby mu wróg nie uszedł, ostrogi wbijał koniowi w brzuch, smagał go płazem — począł wołać:

— Nakło! Nakło! dam ci ja dziś krwawe Nakło... ostatnia godzina twoja wybiła!

Leszek ani miał siły, ani chciał odpowiedzieć. Przerazało go jedno, że był bezbronnym; ani miecza, ani oszczepu, ani drzazgi nawet, którąby mógł w oczy cisnąć napastnikowi, zbójcy.

Rycerska krew burzyła mu się w żyłach...

Umrzeć było niczem, lecz być zabitym, nie zadawszy nawet rany, nie podniósłszy nawet ręki na wroga, zgniecionym być tak mizernie, stawało się gorszem od śmierci.

W biegu już, Leszek ręką pochwycił drąg z płotu, stojącego nad drogą, i wyrwał go obłam znaczny. Koń ustawał... Światopełka głos nad uchem mu brzmiał — Nakłem.

Lecz w brzasku ranka opodal widać było wioskę, w której mogli się znajdować ludzie, mogli znaleźć żołnierze.

Byli we dwu tylko sami, bo reszta rycerstwa Światopełkowa padła na rabunek dworca i uśpione obozowisko.

Mógł więc Leszek mieć jakąś nadzieję, że dobiegłszy do Martynowa, skryć się i obronić potrafi.

Światopełk też obawiał się tego, i koniowi jego krew się lała od ran ostrogami zadawanych.

Nagle Leszek uczuł gorący oddech na swem ciele, jego koń ustawał. Dłoń, w rękawicę żelazną odziana, chwyciła go za kark i ośliznęła się po nim.

Nadeszła ostatnia chwila obrony. Leszek owym odłamem drąga, który trzymał w ręku, uderzył w twarz nadbiegającego Światopełka, koń jego spłoszony skoczył w bok. Leszek, korzystając z tego, kilka kroków ku wsi się posunął.

Lecz pomorski zbój wnet konia zmusił do nowej pogoni i znalazł się nad Leszkiem.

Raz jeszcze książę zdołał odbić cios, który mu był przeznaczony, ale kruche drzewo na żeleźcu poszło w drzazgi. W tej chwili miecz Światopełka, wymierzony w czaszkę, rozplątał ją.

Zachwiał się Leszek, trzymając konia jeszcze, gdy drugie uderzenie krwawą pręgą szyję mu przecięło.

Koń książęcy padł na przednie nogi i obalił się z nim. Światopełk skoczył ze swojego, zabierając się rąbać jeszcze leżącego i bezbronnego, gdy oczy Leszka już zachodzące śmierci mgłą, zwróciły się ku niemu. Był w nich wyraz tak przejmujący, iż Światopełkowi ręka zadrgała, spuścił ją, stanął, jakby nagle ze snu krwawego przebudzony.

— Com ci uczynił? — odezwał się łagodnym głosem Leszek. Światopełk stał niemy.

— Com ci winien? — coraz słabnąc, powtórzył książę, któremu krew lała się z czaszki i opływała nagie piersi.

W głosie czuć było konanie... Oczy trzymał wlepione we wroga, bez zajadłości, bez wyrzutu... jakby mu tylko niemi chciał powtórzyć, czego już nie mógł ustami.

— Com ci uczynił?

Szaleństwo i gniew Światopełka ustępowały widocznie jakiejś grozie, której chciał się obronić naprzóno.

Westchnienie wyrwało się z piersi konającego, nad którym Światopełk mimowoli się pochylił. Raz jeszcze Leszek otworzył oczy i ujrawszy nad sobą tę twarz zbójcką, dziwnym wyrazem trwogi napiętnowaną, zamruczał niewyraźnie:

— Niech Bóg ci przebaczy! ja — przebaczam!

Światopełk, usłyszawszy te słowa, zerwał się nagle, przebaczenie było dlań jakby policzkiem...

Z nową wściekłością popchnął trupa nogą.

Miał już siadać na koń, gdy kilku jeźdźnych nadbiegło. Byli to jego druhowie, a Plwacz między nimi.

Ten, ujrawszy trupa obnażonego na ziemi, z okrzykiem radosnym skoczył zaraz ku niemu, śmiejąc się dziko, plując i coś niewyraźnie bełkocząc. On jeden okazywał tę radość, której reszta ludzi objawić nie śmiała. Na twarzy Światopełka było więcej niepokoju i przerażenia, niż radości.

Milczący, siadł na koń, nie odezwawszy się słowem do Plwacza, który się jeszcze nasycił widokiem trupa.

Gdy się to działo między Gąsawą a Martynowem, w obozie ludzie Światopełkowi rabowali dworzec, chciwi łupu. Jeden ich oddział zaraz po najściu oskoczył księcia Henryka Śląskiego; on sam w łóżku jeszcze leżał.

Wyłamano drzwi i zabójcy wtargnęli do izby, nim Peregryn, który spał obok, miał czas przypaść na obronę pana swego. U łoża księcia stał miecz, którego w pospiechu nie mogąc dobyć z pochwy, Henryk bronił się nim, zasłaniając od razów, gdy Peregryn nadbiegł ledwie przyodziany i swem ciałem zasłaniając księcia, na nim się położył. Kupa napastników zaczęła rąbać bezbronnego, siekać razem jego i leżącego pod nim księcia Szlązkiego, tak, że wkrótce wierny Peregryn ducha wyzionął. Henryk też, pod trupem leżący, nie dawał znaku życia.

Niezbyt bogaty sprzęt księcia, który od czasu, jak uczynił ślub czystości i pobożności, strzegł się wszelkiego zbytku, nie nęcił tu długo zbójców; chwyciwszy co było pod ręką, zbiegli gdzieindziej obfitszego szukać obłowu.

Laskonogi osobiwem szczęściem nie spał, gdy Światopełk nadciągał. Nie miał on

najmniejszego przeczucia, aby zjazd w Gąsawie tak tragicznie się miał zakończyć, jednakże niezwykła o tej godzinie wrzawa strwożyła go. Wziął miecz i hełm, wybiegając do swych ludzi w tej samej chwili, gdy napastnicy drzwi wyłamali i mieli się rzucić na niego. Korzystając ze zmroku, książę pobiegł wprost do koni, chwycił pierwszego, jakiego znalazł pod ręką, i puścił się polem ku lasom. Nie ścigano go, szukając po kątach, bo ludzie Światopełkowi byli przekonani, że zbiedz im nie miał czasu.

Książę Konrad Mazowiecki, co nie uszło później ludzkiego oka, znalazł się zbrojnym i

gotowym do ujęcia, gdy wrzawa na placu oznajmiła o napadzie. Kilkunastu jego zbrojnych ludzi dobrze siedziało na koniach, odjechali więc spokojnie prawie, bez przeszkody, co go dało później w podejrzenie, iż jeżeli w spisku udziału nie miał, przynajmniej musiał być o nim uwiadomiony.

Nim ci z biskupów, którzy byli w Gąsawie, gdyż inni znajdowali się w Trzemesznie,

przebudzeni zostali i mogli wniknąć do kaplicy, z której Iwo chciał, krzyż wzięwszy, wprost wystąpić z nim na zbójców, krwawa owa tragedia była dokonana. Gawiedź tylko plondrowała po kątach, unosząc opony, suknie, zbroje i co tylko mogła pochwycić. W obozie, ludzie zbudzeni ze snu twardego, potracili głowy. Nie mogli znaleźć oręża, który ręka jakaś niewidzialna pousuwała i potrząsa słomą i sianem. Koni nie było. Przerażeni swą bezbronnością, ludzie uciekać zaczęli, nie mieli czem i nie wiedzieli przeciw komu się bronić.

Jedni pierzchli w lasy, drudzy chowali się po dołach, inni stali jak upojeni jeszcze, nie pojmując, co tego zamieszania było przyczyną.

Mszczuj, podawszy konia Leszkowi, znalazł się niemal sam jeden przeciwko całej tej kupie, która nań następowała. Wcale go to nie ustraszyło, wiedział, że zginie, dla tego właśnie postanowił

drogo kazać opłacić śmierć swoją. Zbrojni, którzy na dworzec wprost spieszyli, przyparli go tylko do ściany łaźni... kilku płałnął, ale następowali coraz nowi z pośpiechem i na walkę żaden nie miał

czasu. Cięć parę rozbiło mu czapkę i lekko zraniło mu głowę.

Ludzie ci, co innego mieli na myśli: smakował im rabunek, do którego nie chcieli się dać wyprzedzić. Minęli więc zgniecione i poranione Waligóre i ten miał się za nimi rzucić, gdy z boku ukazał się Gero z krzykiem, jakby nań dawno czatował, przypadając do starca. Z drugiej strony Jaszko z za węgła z tyłu mieczem oburęcznym uderzył Mszczuja w głowę i w chwili, gdy Niemiec z przebitą piersią padał na ziemię, Mszczuj przykrył go sobą.

Jaszków kord pozostał mu głęboko w czaszce, tak, że Jaksza go dobyć nie mógł. Waligóra

drgnął ostatnim wysiłkiem jeszcze, jęknął i ducha wyzionął. Niemca zabitego miał pod sobą...

Wśród tego zamieszania, gdy swoi od obcych rozpoznać się nie mogli, Jaszko pozbawiony

miecza, zaledwie odstał nieco, gdy Światopełkowi ludzie, mimo, że im hasło jakieś krzyczał, napadli go i zasiekli. Piękna zbroja, którą wdział na siebie tego ranka, była przyczyną zabójstwa; nie dali mu bowiem zastygnąć i natychmiast poczęli go odzierać z niej i z szat, o które się z sobą pokłócili.

Na polach dokoła, wśród podnoszącej się mgły, widać było uchodzących kupami ludzi, pogonie i krwawe walki.

Zaledwie nadjeżdżający napawrót Plwacz, kaplicę i mieszkanie księży potrafił ochronić od znieważenia rabunku. Pomorzanie Światopełkowi, na pół jeszcze poganie, nie szanowali świętości żadnych, a tem mniej tych, które u nieprzyjaciela znajdowali.

Dzień cały przeszedł na zbieraniu trupów, na rozgrabianiu żywności, na zwycięskiej rozpuście. Przez cały ten czas żyjący jeszcze księżę Henryk Śląski leżeć musiał, przykryty trupem swego wiernego Peregryna, ranny, obłany krwią zastygającą... nie śmiejąc dać znaku życia.

Plwacz, który wpadł na chwilę do izby z kilku ludźmi, popatrzył na łożo w milczeniu, zamruczał coś i wysłiznął się chmurny Związki krwi łączyły go dawniej z Henrykiem.

Wieczorem cała gromada Światopełkowa zaczęła z wozami i łupieżą zabierać się, odciągając ku Nakłu. Ludzie, którzy się pochowali po zaroślach, w trzcinach nad stawem, w lesie, ostrożnie zaczęli ku zburzonemu i opustoszałemu wracać obozowi.

Jedni z pierwszych byli Niemcy księcia Henryka, z których kilku dostało się do izby i posłyszawszy jęki rannego, natychmiast zdjęli z niego zabitego Peregryna.

Potrzeba było spieszyć z ocaleniem jeszcze żyjącego księcia, który cudem i bohaterskiem poświęceniem się swojego wiernego sługi, pozostał zresztą tchu w piersi i oznakami życia.

Natychmiast ludzie ci przygotowali nosze z gałęzi i wśród ciemności nocnych podążyli do lasu. Po drodze przyłączyło się do nich więcej zbiegów, tak, że z małym oddziałem miał księżę Śląski nadzieję dostania się do Wrocławia.

Jakie były następstwa tego dramatu strasznego, opowiadają dzieje. Światopełk z Pomorzem oderwał się zupełnie od Polski. Śmierć Leszka wywołała walkę pomiędzy Henrykiem Śląskim a Konradem o opiekę nad wdową i małoletnim Bolesławem, długie wojny i niepokoje.

Laskonogi nie przestał bronić się temu bratankowi, który w końcu ogarnął całą dzielnicę polską.

Smutne dzieje tych czasów są jednym ciągiem bojów dla panowania, panowania dla bojów.

Jedno duchowieństwo wśród tego zamętu stoi niewzruszone na swem stanowisku w obronie prawa,

którego idea zaciera się i mąci.

W ostatku prawem jedynem był oręż, który wszystko rozstrzyga.

* * *

Document Outline

- [I.](#)
- [II.](#)
- [III.](#)
- [IV.](#)
- [V.](#)
- [VI.](#)
- [VII.](#)
- [VIII.](#)
- [IX.](#)
- [IX.](#)
- [X.](#)
- [XI.](#)
- [XII.](#)
- [XIII.](#)
- [XIV.](#)
- [XV.](#)
- [XVI.](#)
- [XVII.](#)
- [XVIII.](#)
- [XIX.](#)